

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 1 (316) • ROK MMXXII • STYCZEŃ 2022



W NIEZNANĄ
PRZYSZŁOŚĆ

ISSN 1425-3917



9 771425 391707



W styczniu przypadają związane z II wojną światową rocznice wejścia Armii Czerwonej do wielu miast naszego regionu. Częstochowa zajęta została 16 stycznia 1945 roku. Mimo że hitlerowcy mieli plany, by bronić miasta do samego końca, oddziały radzieckie zdobyły Częstochowę w ciągu jednego dnia – dzięki temu ocalała zabudowa i jasnogórski klasztor. Nie obyło się jednak bez strat – na zdjęciu groby radzieckich żołnierzy poległych podczas walk o miasto.

Szczegóły str. 31



Ksiądz Wojciech Grzywocz 40 lat mieszkał w Afryce – był misjonarzem na placówce w dżungli. Od 1976 roku w Kamerunie przebywał na południu kraju, w jego francuskojęzycznej części. Najpierw przez 21 lat był księdzem w Djoum i następnie 19 lat duszpasterzem w Melondo i okolicznych wioskach. Jego losy to niezwykle życiorys, przybliżający też realia dzisiejszego Kamerunu, kraju zacofanego i biednego. Na zdjęciu degustacja otrzymywanego domowym sposobem wina palmowego.

Szczegóły str. 50



Familoki – domy tworzące na Górnym Śląsku robotnicze osiedla już dawno stały się tradycyjnym elementem tutejszego przemysłowego pejzażu i na stałe zrosły się ze śląską obyczajowością. Niegdyś symbol wysokich standardów życia w mieście, obecnie odchodzą w przeszłość. Historię tych domów, a także proces ich przemijania opisuje Edward Wiczorek. Na zdjęciu: Katowice Giszowiec, przykładowy dom dwurodzinny.

Szczegóły str. 68



KATOWICE
dla odmiany



Z smutkiem żegnamy

Jacka Durskiego,

poetę, prozaika, rzeźbiarza, malarza, członka Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego.

Jackek Durski urodził się w Poznaniu 16 października 1943 roku, zmarł w Sosnowcu 30 grudnia 2021. Odszedł wybitny artysta, poeta, nasz przyjaciel.

Zarząd Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego

Nr 1 (316). Rok MMXXII. STYCZEŃ 2022

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztukaStali współpracownicy:
EWA BARTOSMAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIESŁAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
MARIAN SWORZEŃ
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WAROŃSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.pl

DTP: Lechosław Węglorz, Marcin Gołaszewski

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.**Warunki prenumeraty:**
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskglt.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 4 *Alojzy Czech* 85-LECIE UCZELNI
14 *Ks. Henryk Pyka* OPATRZNOŚĆ W KSZTAŁTACH ARKI PRZYMIERZA
16 *Beata Brachaczek-Świerkot* ŚLĄSK W SERCU. JÓZEFA ROCKSTROHA OBRAZY UKRYTE
19 *Peter Wiescholek* DOM TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NATURY
20 *Stefan Gierlotka* KS. DR GUSTAW KLAPUCH. INICJATOR RUCHU INTELIGENCJI KATOLICKIEJ
22 *Grzegorz Sztoler* CUD NAD MAPĄ HINDENBERGA
24 *Grzegorz Sztoler* ZAWSZE BYŁEM POD WRAŻENIEM DZIEŁA HINDENBERGA! ROZMOWA
Z DREM HAB. PIOTREM GREINEREM, DYREKTOREM ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO
W KATOWICACH
26 *Kamila Gallus* XVII EDYCJA OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU „O LAUR ZAWODZIAŃSKI”
31 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* PIERWSZE DNI NOWEJ WOLNOŚCI
36 *Tadeusz Loster* POWSTAŃCZY KAPELAN Z SIEMONI
38 *Wojciech Lipowski* MILCZENIE ŚNIEGU
42 *Zbigniew Lubowski* POŻARY TYLKO W CZWARTKI
44 *Antoni Wilgusiewicz* TO MY JESTEŚMY MIASTO. TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LWOWA
I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
50 *Janusz Plewniak* Z FAMILOKA DO KAMERUŃSKIEJ DŻUNGLI
55 *Bartłomiej Majzel* KORESPONDENT Z MARIACKIEJ. JACEK DURSKI
56 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* MACIEJ CIEMNY I MACIEJ JASNY. O DWÓCH
TŁUMACZ(ENI)ACH ULISSEA
68 *Edward Wieczorek* FAMILOK STORY
75 INDEKS ALFABETYCZNY NAZWISK AUTORÓW I ICH PUBLIKACJI ZAMIESZCZONYCH
W MIESIĘCZNIKU „ŚLĄSK” W ROKU 2021

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 69 GALERIA: ŚLĄSKIE FAMILOKI W OBIEKTYWIE

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Beata Rokosz* WIRUS
8 *Edward Zyman* PO LATACH. ROZMOWA Z SAMYM SOBĄ
12 *Beata Rokosz* WIERSZE
26 WIERSZE NAGRODZONE W XVII OGÓLNOPOLSKIM KONKURSIE POETYCKIM „O LAUR
ZAWODZIAŃSKI”
48 *Juliusz Wątroba* WIERSZE
63 *Aleksander Wilkoń* WIERSZE

FELIETONY

- 29 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* JO CI PRZAJA!
30 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* UCIECZKA DO WISŁY
40 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* „WSZECHNICA GÓRNOŚLĄSKA” – DOKUMENT CZASÓW
I LUDZI TWORZENIA
46 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* OPEROWY ROBERTO SKOLMOWSKI,
„CARMINA BURANA” I „WESELE FIGARA”
47 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* ODEJŚCIE SZCZEREJ KOMPOZYTORKI

KSIĄŻKI

- 58 *Weronika Górka* SZOPIENICKA HERSTORIA
59 *Andrzej Handzlik* PRZENIKAJĄCY UPADEK
60 *Andrzej Juchniewicz* TAKA MIŁOŚĆ SIĘ NIE ZDARZA
61 *Teresa Tomsia* SZCZEGÓLNE TCHNIENIA CHWIL
62 *Piotr Skowronek* ZROZUMIEĆ ŚMIERĆ
74 KSIĄŻKI NADESLANE

64 NOTATNIK KULTURALNY

Na okładce:

Świąteczna instalacja świetlna w Gliwicach. (fot. M. Buksa / UM Gliwice)

85 lat

Akademii Ekonomicznej w Katowicach

Pierwszy adres uczelni ul. Krasieńskiego 3 (gmach Śl.T.Z.N.) źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe





WIRUS

gdyby przenosiły go tylko zwierzęta
można by je wszystkie zakopać albo spalić

bylibyśmy ocaleni i mielibyśmy ciągle
czyste ręce

Wyższe Studium – Wyższa Szkoła – Akademia – Uniwersytet 85-lecie uczelni

ALOJZY CZECH

Nie jest to jakiś okrągły jubileusz, ale na śląskim gruncie ma znaczenie. Dotyczy bowiem jednej z dwóch uczelni, które powstały w okresie międzywojennym i zachowały ciągłość funkcjonowania. Katowicka uczelnia ekonomiczna założona została jako **Wyższe Studium Nauk Społeczno-Gospodarczych** w 1936 roku. **11 stycznia 1937 rozpoczęła nauczanie.** Reaktywowana w 1945 r., jako Wyższe Studium istniała w tej postaci do 1949 roku. Wtedy to nastąpiło nominalne przekształcenie w **Państwową Wyższą Szkołę Administracji Gospodarczej**, by w 1950 roku zostać **Wyższą Szkołą Ekonomiczną**. Ta z kolei w 1974 roku stała się **Akademią Ekonomiczną**, zachowując imię nadanego w 1972 roku patrona – Karola Adamieckiego. W 2010 roku uzyskała status **Uniwersytetu Ekonomicznego**. Każdy z tych okresów jej istnienia i działania posiadał charakterystyczne cechy, owocował w różne, mniej lub bardziej pozytywne zdarzenia, przy zachowaniu instytucjonalnej ciągłości z poprzednim wcieleniem. To swego rodzaju fenomen zmian formalnych i bycia zarazem tym samym.

Wyższe Studium Nauk Społeczno Gospodarczych (WSNSG: do roku 1939)

W czasach PRL-u zżymano się, gdy pisano, iż Studium powołane zostało jako efekt towarzyszący budowaniu kapitalizmu państwowego, lecz w latach 30. XX wieku na Śląsku nie było alternatywy. Stopniowo przejmowany był przez państwo polskie tutejszy wielki przemysł: koncern górniczo-hutniczy Huta Pokój SA, jeszcze potężniejsza Wspólnota Interesów SA czy Dobra i Zakłady Przemysłowe księcia von Pless. W kolejce stały Zakłady Hohenlohego SA. W 1937 roku traciła ważność Konwencja Genewska, na przeciąg 15 lat regulująca – przynajmniej w teorii – problemy polsko-niemieckie. Dało się zauważyć odpyły wyższego i średniego niemieckiego personelu administracyjnego. Napływ kandydatów z różnych stron Polski do stanowisk w tutejszym przemyśle

nie zawsze był mile widziany. Potrzebne były własne kadry, przynajmniej elementarnie wyedukowane. Nic dziwnego, że w gabinetach i korytarzach Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego powoli narastała atmosfera przychylna powstaniu placówki o charakterze szkoły wyższej stopnia na razie zawodowego.

Wraz z menedżerami wielkiego przemysłu urzędnicy wyższego szczebla utworzyli w połowie 1936 roku Towarzystwo Popierania Wyższych Studiów Społeczno-Gospodarczych – prawnego właściciela przyszłej uczelni. Na jego czele stanął **dr Tadeusz Kupczyński** (1885-1967), ówczesny naczelnik Wydziału Oświecenia Publicznego, ale osobami o wpływie decydującym byli **dr Edward Kostka** i **dr Marian Dworżański**, obydwaj zafani urzędnicy wojewody **dra Michała Grażyńskiego**. Pierwszy był naczelnikiem Wydziału Prezydialnego, drugi – Wydziału Samorządowego, także członkiem Śląskiej Rady Wojewódzkiej. To oni przygotowywali dokumentację wraz z kolejnymi statutami dla zakładowej uczelni; obydwaj też zostali wykładowcami. Niewdzięczne zadanie kontaktów z Ministerstwem Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wzięł na siebie naczelnik Kupczyński. Było to trudne z powodu prowadzonej reformy szkolnictwa wyższego. Ustawa z dnia 22 lutego 1937 roku o prywatnych szkołach wyższych pozwoliła na formalne zaistnienie uczelni. Wielokrotnie zmieniany statut minister Wojciech Świątosławski akceptował dopiero 17 kwietnia 1939 roku. Nauczanie tymczasem trwało już 3 lata i było dziełem **dra Józefa Lisaka** (1902-1984), wizytatora szkolnictwa zawodowego w województwie śląskim, którego oddelegowano z Urzędu Wojewódzkiego do organizowania i kierowania Wyższym Studium. Szło to dość dobrze, gdyż nawet wojewoda Grażyński w mowie budżetowej za rok 1938 chwalił Studium, iż dobrze się rozwija. Jego preferencją jednakże szkoła bynajmniej nie była.

Od strony merytorycznej to właściwie dr Lisak był autorem i animatorem pomysłu na uczelnię ekonomiczną w Ka-

towicach. Do tego musiał jednak przekonać establishment urzędniczy z dr. Kupczyńskim na czele. Gdy sprawa była przesądzona na tak, opracował i wdrożył koncepcję nauczania indukcyjnego na Wydziale Organizacji Przemysłowej. Program zakładał kształcenie od wiedzy konkretnej, jak rachunkowość czy wybrane technologie na pierwszym roku do przedmiotów ogólnych na roku trzecim czyli ekonomii społecznej i polityki gospodarczej. Po drodze narastał zakres ogólności. Wcielony w życie projekt był niespotykany w praktyce szkolnictwa wyższego w Polsce, ale na Śląsku miał służyć tutejszemu przemysłowi, dostarczając kadry średniego szczebla zarządzania. Na jego użytek dr Lisak napisał też monografię zatytułowaną *Ekonomia jednostkowa. Nauka o przedsiębiorstwie* (WSNSG, Katowice 1939), będącą jedną z najważniejszych publikacji ekonomicznych jakie powstały na Śląsku.

Grono wykładowców składało się z praktyków życia gospodarczego, którzy wykazywali zacięcie badawczo-publikacyjne. Oczywiście, walorów dydaktycznych nie można było sprawdzić inaczej, niż w samym działaniu. Pewnie różnie z tym było. Do przedmiotów ogólnych w rodzaju etyki, ekonomii czy od 1938 roku przedmiotów z prawa zapraszano wykładowców z ośrodków akademickich Krakowa, Lwowa i Warszawy. Pojawiały się pierwsze skrypty, dużą w tym rolę odegrał Bratniak, studencka organizacja związkowa. Słuchacze pochodzili z Katowic i najbliższych miejscowości, liczne grono dojeżdżało z położonego w województwie kieleckim Zagłębia Dąbrowskiego. Byli także studenci z innych regionów polski, jeden z nich w ostatnim przedwojennym roczniku deklarował narodowość rusińską. Kobiety stanowiły poniżej 10% słuchaczy, wszystkie niezamężne. Czesne było umiarkowane, zajęcia – codziennie od poniedziałku do piątku w godzinach popołudniowych. Tolerancyjnie patrzono na słuchaczy bez zatrudnienia, którzy tylko studiowali. Jedną z przesłanek powstania Studium bowiem było podnoszenie kwa-

lifikacji osób już zatrudnionych. Perspektywy rozwoju wyglądały umiarkowanie dobrze, ale kapryśna Klio, muza historii, miała inne wybory. Na czas wojny i okupacji działalność trzeba było przerwać.

Wyższe Studium (po wojnie)

Uruchomione zostało już w lutym 1945 roku, ale kształcenie na studiach rozpoczęło jesienią. Wcześniej były różnego rodzaju kursy, w zależności od zapotrzebowania. Określenie to stało się tak powszechne, że nawet przez jakiś czas uczelnię nazywano kursami dra Lisaka. Ważniejszym jednak pozostaje fakt, iż Studium znalazło się w całkowicie nowym położeniu. Przedwojenne instytucje władz formalnie były, nie posiadając jednakże żadnego znaczenia. Właściciel Studium – Towarzystwo Popierania Wyższych Studiów – istniało na papierze, a z Kuratorium pozostał tylko biskup St. Adamski, od którego WSNSG odwróciło się plecami. Przedwojenny wojewoda był na emigracji, menedżerowie znaczących instytucji przemysłowych nie żyli. Zresztą same te instytucje około-przemysłowe nie zostały reaktywowane. Mężem opatrnościowym w miejsce pięcioosobowego Kuratorium został wojewoda nowego województwa śląsko-dąbrowskiego **Aleksander Zawadzki**. Początkowo był pełen akceptacji i poparcia dla inicjatyw podejmowanych przez władze Studium, jak i dziejących się wokół niego. Potem zaczęły pojawiać się oznaki zniecierpliwienia i dystansu.

W czerwcu 1945 ostatecznie upadła inicjatywa utworzenia uniwersytetu w Katowicach. Komitet, któremu przewodził dr Lisak, rozpadł się, a liczni znaczący uczeni w nim obecni szukali miejsca poza Śląskiem. Wraz z popierającą swego rektora młodzieżą WSNSG prowadzona była spektakularna akcja walki o pełne prawa akademickie dla uczelni. Pisano i wręczano memoriały, „łapano” prezydenta Bieruta na lotnisku w Muchowcu, wysyłano delegację do Ministra Oświaty – na próżno. Odpowiedź Departamentu Szkół Wyższych była niezmiennie zyczliwa i wymijająca, zaś wiceminister W. Bieńkowski informował, że akademizacja WSNSG jest w pozytywnym sensie przesądzona. W 1946 roku dr Lisak wpadł na pomysł utworzenia Akademii Społeczno-Lekarskiej w Katowicach. Bazą byłyby wydziały Wyższego Studium (prawo i ekonomia) oraz kadra likwidowanego Polskiego Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu w Edynburgu. Przyjechał dziekan prof. Antoni Jurasz, znakomity chirurg z Uniwersytetu Poznańskiego sprzed wojny. Prasa się rozpisywała w krótkich wzmiankach o projekcie. Ale do porozumienia nie dochodziło, mimo przeglądu obiektów, które mogłyby zostać bazą kliniczną dla kadłubowego uniwersytetu. Prof. Jurasz opuścił kraj, pozostając na emi-

gracji. Zmieniła się za to aura przychylności wobec pomysłów dyrektora WSNSG. Zaczął tracić zaufanie politycznego lidera regionu.

Za to dydaktyka rozwijała się nadzwyczajnie. Wróciła garstka słuchaczy przedwojennych, trwał napływ młodzieży młodszej. Pęd do wiedzy był bez precedensu. Zróznicowani wiekowo słuchacze byli bardzo aktywni i pomysłowi. Działy organizacje studenckie, były liczne akcje samopomocowe (liczne skrypty, rozdział żywności i ubrań, stołówka, własne domy wczasowe w Puszczykowie-Zdroju, bale charytatywne), wracały pasje sportowe. Indukcyjny program się chwiał, ale starano się go nadal utrzymać. Nie było już kłopotu z wykładami, niektórzy chętnie dojeżdżali z innych ośrodków, szczególnie prawnicy ze zniszczonego Wrocławia. Magnesem przyciągającym były godziwe stawki, na które Lisak przeznaczał dotacje z Urzędu Wojewódzkiego, zasilające tzw. burzę profesorską, funkcjonującą nieformalnie w jego mieszkaniu.

Wyższa szkoła po raz pierwszy (Państwowa Wyższa Szkoła Administracji Gospodarczej PWSAG)

Od 1946 roku przy WSNSG prowadzono na zlecenie Ministerstwa Przemysłu i Handlu trwające dwa semestry tzw. centralne studia. Słuchaczami byli pracownicy przemysłu delegowani z całego kraju. Pierwszym było Centralne Studium Kontroli Ekonomicznej, rok później ruszyło Centralne Studium Rachunkowości, dalszym miało być Centralne Studium Planowania, w zamierzeniu – powołanie Zakładu Kształcenia Nauczycieli Szkół Zawodowych. Sąsiedztwo ministerialnego Centrum Szkolenia Zawodowego (w przerobionej na użytek dydaktyki strzelnicy) z nową siedzibą Studium w Zawodziu ułatwiała kooperację. Jedni i drudzy na tym zyskiwali, tak na prestiżu, jak w działalności merytorycznej. Poszukujący formuły dla katowickiej uczelni jej kurator wojewoda A. Zawadzki 16 grudnia 1947 roku podpisał umowę o współpracy Studium z Ministerstwem Przemysłu i Handlu. W praktyce oznaczało to stopniowe jej przekazywanie z Ministerstwa Oświaty w gestię MPiH. Miało to swoje dobre strony. Uczelnia zyskiwała możnego protektora, ale były też złe – mogła być co najwyżej wyższą szkołą zawodową. Starania o akademizację odeszły w siną dal, jakkolwiek placówka nadal funkcjonowała w oparciu o dekret z 28 października 1947 roku o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego.

Dalsze dzieje przypominają zmiany niczym w kalejdoskopie. Skoro znajdujemy się w gestii Ministerstwa Przemysłu i Handlu to trzeba ruszyć z kształceniem w zakresie handlu. Studia na Wydziale Organizacji Przemysłowej odbywają się

bez zmian, za to przy wzrastającej liczbie chętnych. Powstał nowy Wydział Handlowy. Nie przewidziano tylko skutków, rozpoczętej niebawem na szczeblu centralnym, tzw. bitwy o handel. Nie pasował do tej układanki bardzo popularny wśród słuchaczy Wydział Administracji Publicznej. MPiH nie było zainteresowane w kształceniu prawników. W 1948 roku Wydział wszedł w fazę stopniowej likwidacji, która trwała do 1951 roku. Protesty Wojewódzkiej Rady Naukowej w Katowicach nic nie dały. Także obojętność wykazało Ministerstwo Administracji Publicznej, którym nb. kierował były premier E. Osóbka-Morawski, znający z autopsji katowickie Studium z racji uczestnictwa w jubileuszu 10-lecia w 1946 roku. Zresztą przekształcone zostało niebawem w Ministerstwo Gospodarki Komunalnej. Ceniona katowicka szkoła nauk politycznych, bo tak ją potocznie określano, z wolna przestała istnieć.

Formalny akt przejęcia, równoznaczny z upaństwowieniem Studium nastąpił 19 lutego 1949 roku (z datą wsteczną od 1 października 1948). Uczelnia stała się **Państwową Wyższą Szkołą Administracji Gospodarczej**. Przejmujące szkołę Ministerstwo, z tak ważną wtedy osobą, jak Hilary Minc na czele, już wiedziało, że jego dni są także policzone. Było tworem bezwładnym, który został zlikwidowany 22 kwietnia 1949 roku. W jego miejsce powołana została Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego (kierowana przez byłego ministra Minca) oraz ministerstwa: Przemysłu Rolnego i Spożywczego, Górniczego i Energetyki, Przemysłu Ciężkiego oraz Przemysłu Lekkiego. Do żadnego nie pasowała katowicka PWSAG. Należy przypuszczać, żaden nowy resort nie chciał potencjalnego kłopotu. Tym bardziej, że przesądzone już było utworzenie ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki (12 maja 1950 roku). Tak więc po niemal roku 3 marca 1950 roku Państwowa Wyższa Szkoła Administracji Gospodarczej ponownie wróciła w gestię Ministerstwa Oświaty.

Jednocześnie wiosną 1949 roku nastąpiła zmiana na stanowisku rektora. Nie przechodziła płynnie: dr Lisak, który położył ogromne zasługi w założeniu i potem rozwoju Studium, podał się do dymisji, gdyż nie był w stanie uczynić transparentnym narastających niejasności wokół powojennego prowadzenia uczelni. W szczególności chodziło o dotacje, jakie w różny sposób otrzymywał ze środków Urzędu Wojewódzkiego. Nie zawsze znajdowały uzasadnienie w oczach instytucji kontrolnych, których zresztą do tego celu powołanych nie było, jak również reguł gospodarowania pozyskiwanymi funduszami. By wzmocnić swoją pozycję – gdyż tracił w oczach protektora – w 1947 roku wstąpił do Polskiej

Partii Robotniczej. Dlaczego tak późno? – pytano retorycznie. Na łamach „Trybuny Robotniczej” (1947, nr 64) wyjaśniał, iż do tej decyzji musiał dojrzeć, nie chciał tego kroku czynić pochopnie. Niewiele to pomogło. W grudniu 1948, po złączeniu się PPR i PPS w PZPR, nie został zweryfikowany. Wojewody Zawadzkiego, pod którego parasolem ochronnym się znajdował, od 1 listopada 1948 już w Katowicach nie było. In-sygnia władzy trafiły do **dra Zygmunta Izdebskiego** (1907-1986), prawnika, od samych początków wykładającego „encyklopedię nauk prawnych” w WSNSG. Ale przyjęcie nowej funkcji nie bardzo odpowiadało Izdebskiemu. Był bowiem profesorem Politechniki Śląskiej, prowadząc tam Katedrę Nauk Prawnych. Miał ustabilizowaną sytuację po latach walk polityczno-publicystycznych promujących pro-ustrojowe rozwiązania, m.in. poprzez nowe zdefiniowanie narodowości pozwalające wg uznania rozwiązać problem wojennej volkslisty ludności śląskiej. Widać jednak tak postanowiono i ster rządów w uczelni, naznaczony ostrym kursem ideologizującym, trzymał do 1952 roku. Za jego kadencji dokonała się zmiana oblicza szkoły. Jak później pisał przysły rektor prof. Alojzy Melich, walka o marksistowskie oblicze uczelni została szybko wygrana. Dokonane i egzekwowane zmiany były tak radykalne, iż sam rektor Izdebski odczuł dyskomfort środowiskowy i prosił o przeniesienie. Został mianowany rektorem WSE w Łodzi, z równoległym etatem w Uniwersytecie Łódzkim. Historia – tym razem indywidualna – dopisała przewrotny epilog. Jeszcze w 1967 roku Zygmunt Izdebski był jednym z głównych zaproszonych prelegentów zorganizowanej przez WSE w Katowicach konferencji czczącej 50-lecie Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Parę lat później nastąpiła niezwykła przemiana. Zrezygnował z pracy w Uniwersytecie Łódzkim, obejmując w 1976 roku Katedrę Prawa Cywilnego na Akademii Teologii Katolickiej. Taka wolta nie mogła ująć bezkarnie. Minister Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki gen. Sylwester Kaliski wstrzymał proces uwyzyczajnienia.

Wyższa szkoła po raz drugi (WSE)

Od roku akademickiego 1950/1951 nastąpiła unifikacja kształcenia ekonomicznego. Wszystkie akademie i wyższe szkoły handlowe oraz szkoły administracyjno-gospodarcze wzorem warszawskiej Szkoły Głównej Handlowej przekształconej rok wcześniej na Szkołę Główną Planowania i Statystyki otrzymały jednolity program nauczania bazujący na doktrynie marksizmu-leninizmu-stalinizmu. Zostały zarazem wyższymi szkołami ekonomicznymi. W tym także uczelnia katowicka. Zmiana dla niej była daleko idąca. Odszedł na zawsze induk-

cyjny program kształcenia, zresztą będący już w kompletnej rozsypance. Wydział Handlowy został zlikwidowany, słuchacze bez pytania o zdanie inkorporowani do utworzonego Wydziału Finansowego. Wydział Organizacji Przemysłowej przemianowano na Planowania Przemysłu i na długie lata pozostanie znakiem charakterystycznym uczelni w Zawodziu. Utworzono strukturę katedralną. Były trudności z obsadą. Nie można było łączyć posady w gospodarce czy administracji z etatem w szkole wyższej. Niewielu wykładowców zdecydowało się na przejście do szkolnictwa. Ale i tak posiłkowano się zleceniami. **W roku 1952/1953 przyznane zostało uprawnienie do studiów magisterskich**, o które przed laty toczono bezskuteczną kampanię. W latach planu 6-letniego nauczanie prowadzone było w układzie branżowym. Kształcono specjalistów z zakresu ekonomiki węgla, hutnictwa, chemii i budownictwa, przy czym w równym stopniu obowiązywały przedmioty kierunkowe, jak i ideologiczne. Znaczenia nabrała podstawowa organizacja partyjna, która – przy bezpartyjnych rektorach – miała ogromny wpływ na wszystko, co się działo w uczelni. Epitet czerwonej szkoły nad Rawą stał się w recepcji miejskiej, czy może regionalnej, powszechny.

Październikowa odwilż 1956 roku także zaznaczyła się w uczelnianym życiu. Po raz pierwszy odbyła się elekcja rektorska, którym został prof. Marian Frank (1910-1979), ówczesny prezes katowickiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, przy którym rozwinął niebywałą akcję wydawniczą oraz zainicjował cykl dorocznych konferencji wiślańskich na temat problemów nurtujących upaństwowione przedsiębiorstwa. Obsługiwane były przez zespół katedralny. Powstało stowarzyszenie absolwentów. Fala wywołana odwilżą jednak gasła, prof. Frank uznawany przez młodych działaczy partyjnych za nazbyt burżuazyjnego uczonego nie dotrwał do końca kadencji. Ale ścisła kooperacja z PTE została utrzymana w obydwu wymiarach. **W 1959 roku uczelnia otrzymała prawo doktoryzowania, dziesięć lat później – habilitowania**. Wygaszono Wydział Finansów. Na całą dekadę uczelnia stała się jednowydziałowa, choć z pełnymi prawami akademickimi. Powstały zespoły badawcze, określane w powszechnej recepcji szkołami naukowymi: szkoła ekonomiki przedsiębiorstw prof. Franka oraz szkoła ekonometryczna powstała za sprawą przybyłego z Warszawy prof. Zbigniewa Pawłowskiego. Ciekawym zjawiskiem wewnątrz-uczelnianym był przerost znaczenia niektórych placówek usługowych. Na przełomie lat 50./60. taką pozycję uzyskała biblioteka kierowana przez mgr Marię Czaplicką. Do dziś korzystając można z cennych zakupów, także pozycji zagranicznych, wtedy dokonanych,

a sama Pani dyrektor pełniła nieformalną funkcję pełnomocnika rektorów do specjalnych poruczeń. Utworzona też została czytelnia, z której korzystali adepci wszystkich uczelni miasta. W ogóle uczelnia miała szczęście do dobrych służb bibliotecznych. Inną placówką nadmiernie wbitą w ważność, zwłaszcza w końcu lat 60., było Studium Wojskowe, edukujące w doktrynie wojennej obozu miłującego pokój studentów uczelni artystycznych oraz powstałej w 1964 roku filii UJ. Jeden dzień w tygodniu przez całe studia był zmarnowany. Mówiono, iż WSE jest agendą Studium Wojskowego. Ruszyło też nauczanie w punktach konsultacyjnych w Opolu, Bielsku-Białej, Częstochowie i Rybniku. Dziś pozostał tylko kampus rybnicki z posadowionym tam wydziałem zamiejscowym.

Marzec '68 nieoczekiwanie dotknął uczelniane zasoby ludzkie. Przybyło tzw. docentów marcowych. Ale emigracji nie było. Zupełnie się nie wspomina za to emigracji z wczesnych lat gomułkowskich. W końcu lat 50. opuścili szeregi wykładowców doc. k. n. e. Aleksander Kagan, mgr Teofil Grol oraz będący już w Warszawie dr Marian Kałuski. Pierwszy z nich po ukończeniu słynnego Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR – jedyny przypadek z Katowic – był kierownikiem Katedry Ekonomiki Przemysłu. Należał potem do establishmentu urzędniczego Izraela. O drugim więcej by mogli powiedzieć ówcześni studenci Wyższej Szkoły Muzycznej, gdzie wymieniony wykładał filozofię marksizmu. Ku rozbawieniu słuchaczy usiłował interpretować utwór muzyczny w kategoriach nowej doktryny. Trzeci z wymienionych opuścił kraj po inkorporacji Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej do Uniwersytetu Warszawskiego, w której był rektorem. W 1951 roku został tam służbowo przeniesiony. Potem pod nazwiskiem Natan Spiegel zasłynął jako znawca filozofii klasycznej, w szczególności Arystotelesa.

W tymże 1968 roku powstał Uniwersytet Śląski. Mała uczelnia, jaką było WSE, zachowała instytucjonalną odrębność. Nie zawsze tak się działo. **W 1972 roku Wyższa Szkoła Ekonomiczna w Katowicach otrzymała imię Karola Adamickiego** (1866-1933), patronującego uczelni do przemianowania jej w uniwersytet. Patron spełnił swoje zadanie jako symbol problemowego pokrewieństwa zagadnień technicznych i ekonomicznych, w dobie transformacji ustrojowej specjalizujący się w zarządzaniu inżynier pochodzący z Dąbrowy Górniczej całkiem dobrze uzasadniał swoją patronacką pozycję.

Akademia Ekonomiczna Przemianowanie nastąpiło w 1974 roku. Akademia Ekonomiczna im. Karola Adamickiego na dobre zagościła w świadomości

mości i pamięci mieszkańców miasta. Kontynuowała w prostej linii kierunki rozwoju nominalnej poprzedniczki. Faktycznie, trudno znaleźć wyraźniejszą demarkację, jak to było przy poprzednich zmianach. Znakiem szczególnym uczelni był wzrost jej znaczenia ponad merytoryczne kompetencje za sprawą partyjno-politycznych karier jej głównych przedstawicieli: rektorów Alojzego Melicha (członek KW PZPR, przewodniczący komisji WRN) i Zbigniewa Messnera (WRN, I sekretarz KW PZPR, wice-premier, premier). Wstrząsem były lata powstania NSZZ „Solidarności” i ruchu z tym związanego. Doszło szybko do zawiązania uczelnianej komórki, ale ważniejsze było pęknięcie społeczności akademickiej na część – głównie starszych samodzielnych pracowników – dystansującą się oraz młodsze pokolenia gremialnie przystępujące do związku. Podział ten jeszcze pogłębił się w pierwszych tygodniach stanu wojennego, kiedy część pracowników przywdziała mundury i zapewniała poprzez dyżury bezpieczeństwo uczelni przed zagrażającym elementem antysocjalistycznym. Czyli tak naprawdę przed drugą częścią własnej społeczności. Do liderów ruchu solidarnościowego należeli doktorzy Zygmunt Barczyk, Józef Kolonko i Jędrzej Krakowski. Pierwszy i trzeci byli internowani.

W straconej dekadzie lat 80. w rytmie pozbawionym większych nadziei, prowadzono bieżącą działalność, wzmocnioną w zakresie badań nad rynkiem, konsumpcją i usługami, co w dużej mierze wiązało się z przybyciem do Katowic prof. prof. Teodora i Józefa Kramerów oraz ich współpracowników z Wrocławia. Wydarzeniem były obchody 50-lecia Uczelni obchodzone z wielkim rozmachem w 1987 roku. W tym celu wynajęte przestrzenie „December Pałast”, gdzie już zdomowała się WOSPRiTV, tętniły życiem imprezy jubileuszowe. Homagium zdało się nie mieć końca, a koncert słynnej orkiestry pod dyr. Antoniego Witte stał się kulturalnym wydarzeniem. Gości – ze względu na obecność premiera rządu – było co niemiara. Dzień wcześniej były jeszcze promocje dr h.c. Trzeba podkreślić, iż oszczędna polityka w zakresie przyznawania tych stopni bardzo podniosła ich prestiż.

Drugim etapem istnienia uczelni pod szyldem akademii był czas transformacji. W 1992 roku zreorganizowano wydziały, porządkując przynależność do nich przywróconych do życia katedr. Z wydziałów-matek: Zarządzania i Ekonomii z biegiem lat wyłoniły się kolejne: Finansów i Ubezpieczeń oraz Informatyki Ekonomicznej i Komunikacji Społecznej. Ta ilość fakultetów będzie warunkiem przekształcenia w uniwersytet przymiotnikowy. Póki co panował nastrój zmiany. Nauczający pryncypiów gospodarki na-

kazowo-rozdzielczej ochoczo zabrali się za wykłady promujące liberalny kapitalizm. Wielu pracowników zakładało własne biznesy, nastąpiła era wieloletowości. Nikt nie przypuszczał, iż już za progiem czai się rewolucja digitalna, która odmieni tak biznes, jak naukę i nauczanie. Do tego doszedł wymóg internacjonalizacji. Zawiała globalizacja wraz ze skutkami, które przyniosła. Szaleństwo wyjazdów o władnę polską nauką. Z początkiem XXI wieku ilość podpisanych przez Akademię umów z zagranicznymi partnerami przekroczyła setkę. Większość pozostała na papierze, gdyż wstąpienie Polski do Unii Europejskiej uczyniło wymianę zagraniczną chlebem powszednim, zwłaszcza na polu wymiany studenckiej. Sprzyjał temu wprowadzony w 2000 roku proces boloński ujednolicający kształcenie w krajach go sygnujących. Widok studentów wielu narodowości w – co tu kryć – niezbyt atrakcyjnym Zawodzie stał się czymś zwyczajnym. Podobno Katowice wybierano chętnie. Przybywającymi na Erasmusa z troską i rosnącą wprawą się zajmowano, czyniąc pobyt na Śląsku całkiem atrakcyjnym. Trend ten – kilka lat wcześniej jeszcze nie do wyobrażenia – został przyhamowany przez covidową pandemię. Prowadzone było intensywne inwestowanie w infrastrukturę obiektową.

Uniwersytet Ekonomiczny

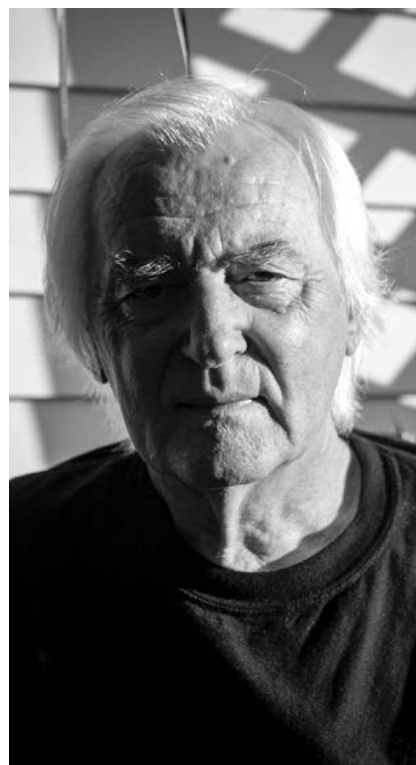
Umawiano się, iż cztery Akademie Ekonomiczne zawnioskują razem o status uniwersytecki. Stało się oczywiście inaczej. Jak tylko któraś spełniła wymagane kryteria, aplikowała samodzielnie. **Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach zaistniał w 2010 roku.** Praktycznie nic się nie zmieniło, tyle że jubileusz 75-lecia obchodzony był już w nowej szacie. Rozpoczęto uroczyste odnawianie doktoratów po 50. latach od nadania, co poniekąd zaświadcza, iż uczelnia weszła w wiek dojrzały. Akurat tak się złożyło, że w niedługim czasie oddane zostały trzy inwestycje, będące chlubą i ikoną Uniwersytetu. W 2012 roku po dziesięcioletnim procesie realizacyjnym oddana została niezwykła placówka: **Centrum Informacji Naukowej i Biblioteki Akademickiej** czyli wspólna biblioteka Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Ekonomicznego, będąca wręcz wizytówką kulturalną całego miasta, a może i metropolii. Wzniesiona na miejscu legendarnego lodowiska Torkat, ze swym zachwycającym prostotą kształtem i otwartą funkcjonalnością wewnątrz służy swym potencjałem studiującej młodzieży, środowisku naukowemu i wszystkim chętnym nie tylko z obydwu uczelni, ale z całego regionu. W rok później w kampusie przy ul. Bogucickiej oddany został kolejny obiekt **Centrum Nowoczesnych Technologii Informatycznych (CNTI)**, budynek dy-

daktyczno-laboratoryjny na miarę bieżącego stulecia. Wreszcie w 2018 roku zakończyła się długo trwająca **modernizacja rektoratu**, zabytkowego obiektu, którego rekonstrukcja przeprowadzona została w pełnej zgodzie z hartmannowskim projektem z 1910 roku. Szczególnie dotyczy to wieńczącej budynek wieżyczki, zaprojektowanej w stylu „tempietta”. Przedwojenna wieża odbiegała w swym kształcie od projektu architekta. Sylwetka klasycyzującego budynku pięknie domyka południową linię zabudowy dzielnicy Zawodzie i stanowi wraz z CNTI ikonę Uniwersytetu.

W połowie drugiej dekady tego stulecia zadecydowano o radykalnej sanacji kondycji finansowej Uniwersytetu. Dokonano tego w trybie przynależnym raczej do korporacji, a nie instytucji akademickiej. Zrównoważono budżet, pozbywając się znacznej części pracowników, gdy tylko umowy na to zezwalały. Postępowano zgodnie z prawem, za to poza etosem, dotąd przestrzegany i przysługującym temu miejscu. Odcięto chwilę obecną od przeszłości, czego kultura akademicka nie praktykuje. Jak pisał niedawno zmarły filozof idei, *brak poczucia ciągłości musi powodować lukę w odniesieniu do przyszłości. Kto nie umie opowiedzieć przebiegu minionych lat dwudziestu lub trzydziestu, ten nie potrafi planować niczego na następne lat dwadzieścia lub trzydzieści, ten żyje stanem bieżącym, terażniejszością trudną do opisaną, bo nie odróżniającą się od przeszłości ani od przyszłości.*

W sposób pozbawiony środowiskowej samowiedzy uruchomiono reformę akademickiej struktury, z której teraz małymi krokami trzeba się wycofywać. Uniwersytety są instytucjami nieco konserwatywnymi, zorientowanymi na kształtowanie osobowości, to mateczniki refleksji, nade wszystko są to jednostki długiego trwania. Zmian rewolucyjnych raczej nie akceptują, także radykalnej zmiany stylu kierowania nimi. Nawet jeśli w programach studiów uczą zarządzania nowymi modelami biznesu. To są dwa różne wymiary, których się nie powinno mieszać ani traktować zamiennie.

Zerwaniu ciągłości sprzyja także rewolucja digitalna sprzymierzona z pandemią covidową. Świat dydaktyki, także spotkania konferencyjne, stają się wirtualne. Do platform kontaktowych typu facebook, twitter, instagram czy linkedin – obowiązkowych w e-adresach pracowniczych – doszły zoomy i teamsy. Nowa rzeczywistość istnieje w coraz większym zakresie. Dla związanych z uczelnia resztek absolwentów sprzed pięćdziesięciu laty i więcej stała się niedostępna. Wykluczenie się domknęło. Czy wróci wymiar realny na tyle, by zapełnić na powrót obiekty uczelniane bez utrzymywania dystansu społecznego?



EDWARD ZYMAN

Po latach.

Rozmowa z samym sobą

Pytanie: Mam poważne wątpliwości, czy rzeczywiście chcesz przeprowadzić tę rozmowę. A jeśli nawet chcesz, to czy potrafisz zdobyć się w niej na absolutną szczerść, a tylko wówczas może mieć ona jakiś sens.

Odpowiedź: Jakiś?

P.: No, chyba nie przypuszczasz, że twoje wyznania będą dla czytelnika szczególnego rodzaju odkryciem. Takie mniemanie byłoby przejawem niczym nie usprawiedliwionej megalomanii, a już z całą pewnością nieznośnej minoderii.

O.: Mam obawy, że tak właśnie zostanie ona odebrana.

P.: Może więc lepiej jej zaniechać? Niech się bronią same teksty, które – w gruncie rzeczy nie wiadomo po co – zdecydowałeś się przypomnieć po wielu latach. Bo, zwróć uwagę, co tutaj mamy? Kilkadziesiąt przypadkowych recenzji, kilka szkiców, parę polemik, które dzisiaj – z oczywistych względów – nie są w stanie wywołać żadnych emocji?

O.: Tak to widzisz?

P.: A jak to można widzieć inaczej? Zwłaszcza, że pojawiały się owe teksty nie na łamach prasy centralnej, lecz głównie regionalnej: „Poglądów”, „Opola”, „Przemian”, „Nadodrza”, „Nowin Gliwickich”.

O.: Ale także „Współczesności”, „Poezji”, „Nowego Wyrazu”, „Nurtu”, „Odry”, „Tygodnika Kulturalnego”, „Nowych Książek”, „Regionów”, „Faktów”, „Faktów i Myśli”.

P.: Tak, tak, jednak chyba nie zaprzeczysz, że miał rację Kijonka, gdy z pewną dozą uszczypliwości w „Atlasie losów” pomieszczonym w tomie *Czas zamarty* pisał o lokalnej sławie twojego nazwiska.

O.: Nie zaprzeczę, choć Tadeusz, świetny poeta, stworzył w tym poemacie rzecz nieprawdziwą, melodramatyczną, nie zawaham się stwierdzić: kiczowatą. Edwina nikt nie pobił, nie dławił się krwią, nie ogłaszał wszem i wobec rozpaczliwym krzykiem o swojej krzywdzie. A choć autor użył barw jaskrawych i kreski przesadnej, nie dotknął sprawy najistotniejszej: z czym zostawali ci, z którymi historia obeszła się (pozornie) tak łaskawie.

P.: Co masz na myśli?

O.: Dławiącą kluchę wstydu i upokorzenia. Oto bowiem przyjmowali z brudnych łap opresyjnego systemu wątpliwy akt łaski, który pozwalał im wegetować, jeśli zaprzeczą samym sobie, gdy będą, tak jak dotychczas, cisi i posłuszni.

P.: Nie dotyczyło to chyba wszystkich.

O.: O tych, którzy przyjmowali stan wojenny jako zwyczajstwo upragnionego porządku nad jego destrukcją, normalności nad dewiacją, realizmu nad nieodpowiedzialnym marzycielstwem i prawdy nad kłamstwem, nie mam ochoty rozmawiać.

P.: A może powinienes?

O.: Dlaczego? Sierpień '80 był w życiu Polaków momentem przełomowym. Kolejnym na przestrzeni ostatnich kil-

kudziesięciu lat zrywem zniewolonego społeczeństwa, które postanowiło powstać z kolan i powiedzieć prawdę o politycznym gwałcie w środku nieczulej na tę prawdę Europy, świata zachodniego w ogóle.

P.: Nie możesz oczekiwać, by jakiegokolwiek społeczeństwo składało się w stu procentach z bohaterów, musisz przyjąć, że przynajmniej pewna jego część zachowa się „normalnie”.

O.: Do „Solidarności” przystąpiło około 10 milionów osób. Jeśli odliczysz niemowlęta, dzieci, młodzież w wieku szkolnym i starców – była to znakomita większość Polaków. Poza pierwszym wolnym związkiem w tym kraju pozostali głównie funkcjonariusze PZPR, policji i służb specjalnych oraz różnej maści beneficjenci systemu, w tym, niestety, niemała część tzw. inteligencji.

P.: Mocne słowa.

O.: Tym mocniejsze, że nawet wśród członków partii znalazło się wielu, którzy nie mieli najmniejszej wątpliwości, po której winni stanąć stronie: społeczeństwa czy władzy.

P.: Zgoda, ale ten podział po wielu latach stracił swą ostrość, a nawet... sens. Stan wojenny odszedł w przeszłość, pojawiły się nowe okoliczności, nowi ludzie, nowe problemy. Trzeba było po prostu żyć. Czy warto wracać do tamtych spraw? Albo: czy można się obrażać na rzeczywistość? Ale chyba odeszliśmy nieco od tematu.

O.: Niekoniecznie.

P.: Mieliśmy rozmawiać o literaturze.

O.: A to znaczy także o mnie, jako o autorze pomieszczonych w tej książce tekstów.

P.: No, właśnie. Jest w tym zbiorze kilka twoich wypowiedzi, które pozwalają sformułować tezę, że był czas, gdy nie stałeś z boku, co więcej: gdy w pewnym sensie wpisywałeś się – co prawda niezbyt gorliwie – w chór architektów systemu. Myślę tu chociażby o recenzjach książek Jerzego Wawrzaka, a jeszcze bardziej o szkicu poświęconym jego twórczości. Cytujesz w nim barda marksistowskiej krytyki literackiej – Witolda Nawrockiego, przywołujesz recenzje publikowane na łamach „Trybuny Ludu”. „Biała Myszka” pisała w „Poglądach”, że w tym samym okresie pojawiła się u nas mnogość nadzwyczajna kameleonów.

O.: Bo tak w istocie było. Są tacy, którzy zawsze chcą z wiatrem. Sądzisz, że na podstawie zebranych w tym tomie tekstów uzasadniłbyś tezę, że i ja do nich należę?

P.: Jeśli do wspomnianych wcześniej recenzji książek Wawrzaka dodać jeszcze kilka innych nazwisk, takich na przykład jak Przybyłowski, Baumgarten, Lubosz, Pierzchała, Kracherowa, Siekierski czy Netz to, myślę, teza taka nie byłaby bezzasadna.

O.: Sądzę, że się mylisz. *Jak krótkie lato* Pierzchały jest książką wysokiej próby, Horak i jako poeta, i jako prozaik (przede wszystkim jako autor *Pustelni*) zapowiadał się jako pisarz z talentem i charakterem, jego działalność politycznego aparacza przed i w stanie wojennym nie ma nic do rzeczy, Baumgarten to bardzo interesujący nowelista, o pisarstwie Kracherowej, Przybyłowskiego i Siekierskiego pisałem raczej krytycznie, Netz to oddzielna sprawa. *Biała gorączka* była rzeczywiście książką pisaną na konkurs i trudno ją zaliczyć do literackich osiągnięć autora, co stwierdziłem bez ogródek w recenzji. Natomiast jako poeta, autor *Związku zgody*, *Z wilczych dołów*, *Wiru*, czy powstałych w późniejszych latach *Trzech dni nieśmiertelności* i *Krzyku sowy*, okazał się poetą wybitnym. Podobnie jak wybitnym okazał się jako prozaik, autor *Urodzonego w święto zmarłych* czy tomu *Dysharmonia caelestis*, a także jako eseista (*Cwiczenia z wygnania*). Feliks Netz jest zjawiskiem osobnym także z tego względu, że jako jedyny pisarz ze środowiska katowickiego dokonał pisarskiego rachunku sumienia, przekonującego jako wyznanie człowieka uwikłanego w system i równocześnie znaczącego w sensie realizacji artystycznej. A poza tym...

P.: Jestem bardzo ciekaw, w jaki jeszcze sposób zechcesz podważyć słuszność mojej tezy.

O.: Myślę, że częściowo już to uczyniłem, a poza tym nie muszę, w moim

przekonaniu, niczego udowadniać. Mówią o tym zawarte w książce teksty. „Uroki mitu”, wypowiedź w ramach zainicjowanej przez redakcję „Faktów i Myśli” dyskusji o młodej literaturze, opublikowałem w 1971 roku. Znajdziesz w niej sporo mocno krytycznych konstatacji dotyczących ówczesnej polityki kulturalnej i mechanizmów, które uniemożliwiają normalne funkcjonowanie literatury. Aprobatorywną recenzję *Sklepów mięsnych* Adama Zagajewskiego opublikowałem w połowie lat siedemdziesiątych, gdy poetom „nowej fali” odmawiano już prawa głosu. O wadach organizacyjnego mecenatu nad młodą literaturą pisałem także w dyskusji o KKMP, która przewinęła się przez łamy krakowskiego piśma „Głos Młodzieży” (1972 nr 1). Do spraw tego Klubu wróciłem w „Tygodniku Kulturalnym” (1981, nr 38). Moja wypowiedź, którą redakcja zamknęła wielotygodniową dyskusję, akcentowała w sposób niezwykle dobitny strukturalne wady systemu państwowego mecenatu nad kulturą, literaturą zaś w szczególności. W moich wielu wierszach, które znajdziesz w tomikach *Co za radość żyć* (1979) i *W czym obcym domu* (1981) nie możesz nie zauważyć wielu jednoznacznie polemicznych, czy wręcz demaskatorskich sygnałów, których nie potrafiłono, albo nie chciano wówczas dostrzec.

P.: Wolałbym konkrety.

O.: Proszę bardzo. Z tomu *Co za radość żyć*: xxx (nie bądź mi snem sjęstą wiecznymi feriami), „Odkryjemy karty”, „Co za radość żyć”, „Kim jest do kogo jakim mówi głosem”, xxx (jeśli pewnego dnia); z tomu *W czym obcym domu*: „Ewolucja”, „Rozmowa intymna”, „Pragnę cię naga” i wreszcie „Dobranoc miły”, w którym pojawia się profetyczny obraz stanu wyjątkowego. Wiersze te pisałem w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, na długo przed Sierpniem '80. Jednoznacznie w wymowie, atakujące system teksty w rodzaju „Jak znokautować kolosa?” („Student” 1980, nr 24), „Paradentozą” (Ogólnopolski Meeting Poetycki „W imię wartości”, 24-26 kwietnia 1981), czy „O kilku powodach uzasadniających likwidację antysocjalistycznego Związku Literatów Polskich” („Puls”, zima 1983-84) były więc tylko dopełnieniem znacznie wcześniej wykrystalizowanej postawy.

P.: Zapomniałeś o kilku innych tekstach.

O.: To znaczy?

P.: Choćby o zbiorowej wypowiedzi „Przeminać czy zostać”, opublikowanej na łamach – pragnę to podkreślić – „Trybuny Robotniczej”, którą trudno by nazwać najbardziej stosowną trybuną literacką.

O.: Rozumiem twoją ironię i przyjmuję ją z pokorą. Istotnie, nie było to naj-

mądrzejsze. Nie wycofuję się, co prawda, z naszych intencji wzbudzenia autentycznej dyskusji w spetryfikowanym ponad miarę miejscowym środowisku literackim, ale myślę, że nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy (a z pewnością nie miałem tej świadomości ja) z tego, jak wyglądają kulisy gry, w której wzięliśmy nie do końca świadomie udział. Poza tym zwróc uwagę na czas tej publikacji. Był to okres, w którym z „Trybuną” – wierząc w odnowę tego tytułu – nawiązywali współpracę nie tylko „młodzi gniewni”.

P.: Powiedziałeś: nieświadomie! Podpisany przez Macieja Szczawińskiego, Tadeusza Koziurę, Andrzeja Żaka i Edwarda Zymana artykuł odebrano jako wyraz niewdzięczności głównie wobec szefa katowickiego ZLP, Wilhelma Szewczyka. Zapomnieliście nagle o warunkach, w jakich działało katowickie środowisko literackie, którego byliście przecież częścią?

O.: O niczym, sądzę, nie zapomnieliśmy. Mieliśmy natomiast nadzieję, że nasze wystąpienie zmieni choćby w pewnym stopniu istniejące *status quo*. Jeśli chodzi o mnie nie była to pierwsza próba, wszak na początku 1974 roku zamieściłem na łamach „Poglądów” (nr 1) szkic „Cisi nad wyraz, nie wadzą nikomu”, poświęcony młodej literaturze śląskiej, a cztery lata później wróciłem do tego problemu w „Nowym Wyrazie” (1975, nr 5) w artykule „Lepiej, choć wciąż nie ma tłoku”. Intencją obu tych tekstów (zwłaszcza zaś „Cichych”) było nazwanie tego, czego nie dostrzegano wcześniej i ożywienie środowiska. Jakiś efekt to w sumie przyniosło (np. almanach *Młody Śląsk Literacki*, Katowice 1975), choć daleki od spodziewanego. Podobne intencje towarzyszyły nam w początkach lat osiemdziesiątych, ale rzecz rozgrywała się już w zasadniczo odmiennych warunkach, a nasz głos mógł być rzeczywiście odczytany jako atak na środowisko skupione wokół ówczesnego prezesa katowickiego ZLP, człowieka-instytucję, jakim był Wilhelm Szewczyk, zwłaszcza, że autor *Hanysa* był firmową twarzą starego układu. Mogło nam się wydawać, że zmiany personalne otworzą przed literaturą śląską nowe perspektywy, w czym, jak to widzę teraz, było sporo naiwności, a Szewczyk *per saldo* w istniejących wówczas uwarunkowaniach nie był wcale najgorszym rozwiązaniem.

P.: No, nie ukrywam, że mnie zaskoczyłeś. Odnoszę wrażenie, że jesteś na dobrej drodze, by stwierdzić, że zmiana nazwy placu przed katowickim dworcem z Wilhelma Szewczyka na Lecha i Marii Kaczyńskich była błędem miejscowych władz.

O.: Powiem tak: gdyby to ode mnie zależało, nie nazwałbym tego placu imie-

niem Szewczyka, myślę, że w bogatej i dramatycznej historii Śląska jest wiele wspaniałych nazwisk, takich choćby jak Wojciech Korfanty czy Arka Bożek, z których można było skorzystać. Ale skoro już ów plac nazwano jak nazwano, zostawiłbym to bez zmian.

P.: Znowu mnie zaskakujesz.

O.: Wilhelm Szewczyk był na Śląsku człowiekiem rozpoznawalnym i dla tego regionu wiele zasłużonym. Można dostrzegać tylko jedno jego oblicze, jako czołowej postaci peerelowskiego establishmentu, ale myślę, że należy dostrzec także i to, że dzięki takim jak on ludziom kultura polska przetrwała na Śląsku, regionie, w którym życie duchowe zostało świadomie zdegradowane. Wilhelm Szewczyk nie był co prawda jawnym przeciwnikiem systemu, nie działał w konspiracji, nie drukował w prasie podziemnej, płacił, jako twórca i redaktor, rządzącym różnorodne daniny, ale był, działał, organizował, pisał, wydawał, załatwiał tysiące spraw i trudno było jego obecność zignorować. Co więcej, dzięki swej pozycji mógł znacznie więcej niż inni. I z tego korzystał, będąc dla środowiska swoistą tarczą ochronną. Że nam, młodym, marzyła się pełna, niczym nie ograniczona wolność, to było coś najzupełniej zrozumiałego, lecz ta miała przyjąć znacznie później. Wówczas w kulturze był, niestety, czas mądrych i doświadczonych Szewczyków. Powtórzę więc: dla Śląska, przy wszystkich wynikających stąd ograniczeniach, nie było to rozwiązanie najgorsze.

P.: Naprawdę tak uważasz?

O.: Naprawdę.

P.: Szewczykowi byłoby zapewne miło, gdybyś to stwierdził kilkadziesiąt lat wcześniej, gdy żył.

O.: Nie jest moją intencją sprawianie komukolwiek przyjemności, a Szewczyk, przy wszystkich swoich niekwestionowanych zasługach, z całą pewnością miał własną miarę rzeczy. Wiedział, musiał wiedzieć, że tkwiąc głęboko w tamtym systemie ów system legitymizuje, ale równocześnie rozumiał lepiej niż inni, że takie są realia, i że z nimi, jako działacz kultury, nie tylko jako pisarz, musi się mierzyć. Jestem przekonany, że historia odda mu sprawiedliwość. A skoro już o tym rozmawiamy, zauważmy, że choć dzisiaj trudno to zrozumieć, jednak wówczas, mówię o latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, a także o okresie wcześniejszym, nie wszystko było białe lub czarne. Dominującym powszechnie kolorem była szarość i ona wyznaczała egzystencję Polaków, także, a może nade wszystko, kultury, literatury, sztuki. Postawa: wszystko albo nic może być – i bywa, choć nie zawsze – niezbędna w chwilach przełomu, w życiu powszednim chodzi o to, by żyć po prostu, a to znaczy, by robić przynaj-

mniej minimum tego, co się w życiu duchowym zbiorowości robić powinno.

P.: Rozumiem, że tym właśnie skłonny byłbyś tłumaczyć swoją aktywną postawę animatora kultury, organizatora zdarzeń literackich na Śląsku i nie tylko, a także to, że nie wahałeś się piastować różnorodnych funkcji, na przykład szefa Rady Krajowej Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, organizacji, nad którą oficjalną kuratelę sprawowały organizacyjne przybudówki partii rządzącej, najpierw ZMW, a później ZSMW i wreszcie ZSPM.

O.: Czuję w tym, co mówisz nieskrywaną dozę ironii czy wręcz łagodnego sarkazmu, ale taka mniej więcej jest prawda. Za KKMP spotkałem się po raz pierwszy pod koniec 1959 roku, jako uczeń szkoły średniej, gdy na głębokiej prowincji zakładałem wraz z kolegami pierwszą grupę literacką. Pamiętam swój pierwszy wyjazd do Łodzi, na seminarium do Spały, później do Warszawy, spotkania i rozmowy o literaturze, nade wszystko zaś o własnych, często nieporadnych, próbach literackich. Dla nas, konkretnie dla mnie, KKMP był oknem na świat. Dzięki Klubowi poznałem wielu interesujących ludzi, świetnych pisarzy, między innymi Tadeusza Nowaka, Wiesława Myśliwskiego, z młodszych Zygmunta Trziszkę, nawiązałem pierwsze kontakty z redakcjami pism. Klub w pewnym okresie życia był mi bardzo potrzebny, podobnie jak wielu młodym adeptom pióra, którymi – zwłaszcza w małych ośrodkach i na wsi – poza tą organizacją nikt się praktycznie nie zajmował. Później, już będąc w Klubie, dostrzegłem jego różnorakie ograniczenia, o czym wielokrotnie pisałem i mówiłem, ale nie może to przesłonić faktu, że dla wielu takich jak ja KKMP był pierwszym poważniejszym kontaktem z literaturą i życiem literackim sensu *stricto*. A ponieważ znałem sytuację młodych piszących na prowincji z autopsji, w działaniu Klubu dostrzegałem niepodważalny sens.

P.: A nie przyszło ci do głowy, że Klub był dla rządzących poręcznym instrumentem, przy pomocy którego starali się sterować młodą literaturą, przynajmniej jej częścią?

O.: To samo można by w jakiejś mierze powiedzieć o Kołach Młodych przy ZLP czy o ruchu studenckim, a przecież owe „szkółki” skupiały częstokroć twórców niepokornych, zmierzających własną drogą. Na szczęście żadnej aktywności twórczej nie da się wtłoczyć w wymyślone przez urzędników ciasne ramy organizacyjne, i w peerelu to się również nie udawało. A twórca posłuszny jest *ex definitione* dziwadłem, czyli zwierzęciem, które nie istnieje, więc nie ma o czym dygutować.

P.: A jednak nie zaprzeczysz, że statystyki były imponujące. Organizacje mogły się pochwalić, że rozwijały szeroki front kulturalnych inicjatyw, mobilizowały, pobudzały, słowem działały intensywnie, z pożytkiem dla – jak się wówczas mówiło – socjalistycznej wspólnoty.

O.: I przy okazji, mimo woli, rodziły się z tej mąki wartości autentyczne, których nie przewidział skrupulatny i gorliwy agitator.

P.: No, dobrze, zostawmy te generalia i przejdźmy do konkretów. Dlaczego zdecydowałeś się opublikować tę książkę? Zwłaszcza teraz, gdy czytamy mniej niż dawniej i jesteśmy w swych wyborach raczej wybredni.

O.: Z tą wybrednością bym polemizował. Czytamy, myślę o czytelniku nieprofesjonalnym, związanym „zawodowo” z literaturą, lecz „normalnym”, przede wszystkim to, co zarekomendują nam natrętne, skomercjalizowane do bólu media. Obecnie wartościowe jest to, co uda się dobrze sprzedać, co przyniesie zysk. Wracajmy jednak do książki. Myślę, że tom *Po latach* ukazuje nie tylko sferę zainteresowań, fascynacji, poszukiwań i pomyłek jego autora, lecz także, przynajmniej w pewnej mierze, klimat tamtych czasów. Mówi pośrednio o tym, jaka była ówczesna rzeczywistość. W wydanym w 1973 roku podręczniku *Literatura Polski Ludowej 1944-1964* jego autor, Włodzimierz Maciąg, uznał za wskazane poczynić we wstępie następujące wyznanie: „Realizowany przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą program społeczny dąży do stworzenia ustroju socjalistycznego. Ustrój ten jest czymś więcej niż tylko formą gospodarowania dobrami materialnymi. Po dokonaniu reform gospodarczych o znaczeniu rewolucyjnym ma on ambicję wprowadzenia odpowiedniego modelu ideowego, pewnego sposobu myślenia i odczuwania, strzeżenia pewnych wartości moralnych (...). Kierowanie życiem państwa i społeczeństwa należy do jednej partii o charakterze ideowym, podejmującej realizację socjalistycznego modelu kultury w praktyce naukowej, wychowawczej i prawnej”. Julian Kornhauser i Adam Zagajewski, czołowi przedstawiciele Nowej Fali w swej głośnej książce (1974) pisali o „świecie nieprzedstawionym”, który w tamtych warunkach przedstawiony z oczywistych względów być nie mógł. Prawdy o nim należało szukać nie – jak błędnie mniemałem jako wstępujący recenzent – w powieści realistycznej, zwłaszcza w książkach o tematyce pracy, lecz w tekstach operujących parabolą czy metaforą ludzkiego losu. A zatem (zostawmy na boku kryterium artystyczne) nie Wawrzak, Bratny, Machejek, Putrament, Szewczyk czy Hołuj, lecz

przede wszystkim *Obłąd* Krzysztonia, czy znakomicie rezonujące społecznie sztuki Mrożka, by pozostać przy tych dwóch tylko przykładach. Może więc *Po latach* jest dokumentem, nad którym warto się pochylić.

P.: Doprecyzujmy – dokumentem ważnym przede wszystkim dla Ciebie, jako autora związanego z określonym regionem, konkretnie Górnym Śląskiem, a uściślając rzecz jeszcze bardziej – z Katowicami. Znaczna część tych tekstów ukazała się wszakże na łamach „Poglądów”, a w wielu, opublikowanych gdzie indziej, pisałeś o autorach i zjawiskach śląskiego środowiska literackiego. Towarzyszyłeś przede wszystkim autorom wstępującym, recenzując pierwsze i następne książki Adama Janusza Bienia, Mirosława Bochenka, Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, Jana Pawła Krasnodębskiego, Tadeusza Koziury, Edwarda Szopy, Jerzego Waksmańskiego, Marka Wojewody, Eugeniusza Zaczuka, Andrzeja Żaka oraz pisarzy średniej i starszej generacji: Aleksandra Baumgardtę, Stanisława Horaka, Tadeusz Kijonki, Bolesława Lubosza, Feliksa Netza, Jana Pierzchały, Albina Siekierskiego. Wymieniam nie wszystkich, nie chciałbym bowiem przytaczać tu pełnego spisu treści. Pomieściłeś w *Po latach* także podejmujące problemy śląskiej literatury i kultury szkice, omówienia, artykuły publicystyczne, polemiki.

O.: Temat śląski nie wyczerpuje co prawda zawartości tomu, ale masz rację: to ważny dla mnie krąg zagadnień, któremu w swoim czasie poświęciłem sporo, a może nawet: najwięcej uwagi.

P.: Tym bardziej intrygującą musi twój konsekwentny, długoletni brak kontaktu z tak bliskim ci kiedyś środowiskiem. Nie publikowałeś nic w śląskiej prasie, próżno by szukać twojego nazwiska na łamach ukazującego się w Katowicach miesięcznika, nie wydawałeś książek w działających w tym mieście oficynach. Dlaczego?

O.: Odpowiem szczerze, choć nie wyczerpująco. Emigracja ma swoje prawa. Zwłaszcza dla czterdziestolatka z rodziną, który musi budować wszystko od podstaw. W sensie dosłownym. Uwierź mi, to bardzo absorbujące zajęcie. W moim życiu na obczyźnie był długi, ponad dwudziestoletni okres, gdy nie wydałem żadnej książki. Kontakt z literaturą był dla mnie luksusem, na który nie bardzo mogłem sobie pozwolić. Każdą wolną chwilę pochłaniała przez kilka pierwszych lat katorżnicza praca redakcyjna i dziennikarska (tygodnik o objętości 24 stron robiły dwie, rzadko trzy osoby), a później wieloletnie prowadzenie własnego biznesu, co jest jeszcze bardziej wyczerpujące. Do tego dochodziła absorbująca działalność społeczna w charytatywnych organizacjach kulturalnych. W sumie do

literatury wróciłem właściwie dopiero po zaprzestaniu aktywnej działalności zawodowej. To, co powiedziałem chyba w jakiejś mierze wyjaśnia, dlaczego nie odnowiłem kontaktów z moim dawnym środowiskiem literackim. Ale był także inny powód.

P.: Pytałem przede wszystkim o ten inny powód.

O.: Stan wojenny, blisko roczny okres internowania, potem emigracja – wszystko to było dla mnie dotkliwym doświadczeniem. Głównie z tego względu, że niektórzy moi, jak sądziłem, przyjaciele czy dobrzy znajomi nie sprawdzili się. Jedni okazali się, przykro mi to mówić, pospolitymi donosicielami, inni nie wzbudzającymi moich sympatii konformistami. Mimo potężnych tektonicznych ruchów, które wstrząsnęły Polską, w śląskim środowisku literackim w gruncie rzeczy zmieniło się niewiele. Znaczna część osób piszących przystąpiła do nowego ZLP, w którym nie widziałem dla siebie miejsca. Dzisiaj, co prawda fakt ten nie wywołuje już we mnie większych emocji, wówczas jednak, w latach 80., 90. a także później, były to dla mnie sygnały bardzo przykre i niezbyt zachęcające.

P.: Niepokoi mnie w tym, co mówisz, widoczna skłonność do generalizacji. Nie było w katowickim środowisku pisarskim żadnych pozytywnych wyjątków?

O.: Oczywiście, że były, zwłaszcza, że w pewnym momencie wkroczyło na scenę nowe pokolenie, nie obciążone grzechami przeszłości, gruntownie zmieniła się sytuacja w środowisku akademickim, w którym pojawiło się wiele znakomitych nazwisk. Dostrzegliśmy to również z perspektywy dalekiego Toronto, czego efektem było nawiązanie dość ścisłej współpracy. Jej efekty owocują po dziś dzień.

P.: Możesz dać jakiś przykład?

O.: Jest ich wiele. Działająca w latach 1988-2015 Fundacja Władysława i Nelli Turzańskich (której byłem członkiem-założycielem i później jej wiceprzewodniczącym) w 2002 roku nagrodziła Mariana Kisiela (dziś prof. dra hab.) za wybitne osiągnięcia w zakresie kultury polskiej, doceniając m.in. jego prace krytycznoliterackie poświęcone literaturze polskiej na obczyźnie. W 2005 roku w koedycji z Polskim Funduszem Wydawniczym w Kanadzie (któremu od lata prezesuję) ukazała się ważna rozprawa dr Bożeny SzalaŃskiej-Rogowskiej *Urodzony z piołunów. O poezji Bogdana Czaykowskiego*, jednego z ważniejszych w moim przeświadczeniu polskich poetów współczesnych, który praktycznie całe życie spędził na obczyźnie. W 2007 roku nakładem Funduszu i krakowskiego „Znaku” ukazał się tom wierszy wybranych tego autora, znakomicie przygotowany od strony

naukowej przez wspomnianą dr Bożenę SzalaŃską-Rogowską. Z kolei w 2014 roku koedycja Polskiego Funduszu Wydawniczego i Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego zaowocowała obszernym tomem *Literatura polska obu Ameryk*, pod redakcją Beaty Nowackiej i Bożeny SzalaŃskiej-Rogowskiej, pracowników naukowych UŚ. O poezji Kijonki i Netza pisałem w cyklu „Wiersze z mojej półki”, publikowanym na łamach torontońskiego „Dziennika”. Jako czytelnik i recenzent dostrzegłem w swoim czasie znakomitą powieść Kazimierza Kutza *Piąta strona świata*, którą omówiłem na łamach nowojorskiego „Przełądu Polskiego”. W końcu dowodem na to, że nie zerwałem całkowicie kontaktów z powstającą na Śląsku literaturą był mój esej o poezji Feliksa Netza „Skrzypienie osi świata”, opublikowany na łamach „Migotań. Gazety Literackiej” (2016, nr 1), a następnie przedrukowany w świetnym tomie *Światy poetyckie Feliksa Netza*, zredagowanym przez Joannę i Mariana Kisielów.

P.: No dobrze, przekonałeś mnie, chociaż...

O.: Można by zrobić więcej?

P.: Przede wszystkim: pojawić się w Katowicach osobiście lub, przynajmniej, jako autor.

O.: Dlatego właśnie udostępniam czytelnikowi tom *Po latach*, zbierający moje krytyczne juvenilia, których znaczna część, jak wspomniałeś, dotyczy śląskiego pisarstwa.

P.: Zakończmy naszą rozmowę związaną prezentacją książki. Składa się ona z...

O.: ...z powyższej rozmowy i czterech części. W „Próbie diagnozy” czytelnik znajdzie kilka szkiców poświęconych sytuacji w śląskim piarstwie lat 70. oraz polskim piarstwie w ogóle, ze szczególnym wyeksponowaniem mechanizmów i problemów, jakie przyniósł początek lat 80. „Druga strona sukcesu” to zbiór prac poświęconych „dorosłej” prozie śląskiej. Rozdział trzeci „U poetów” to zestaw recenzji dwudziestu pięciu książek poetyckich, głównie autorów wstępujących w tamtym czasie do literatury. I wreszcie rozdział ostatni „W kręgu młodej prozy”, na który składa się kilkanaście recenzji prozatorskich książek młodych, z których przynajmniej część zapowiadała zjawiska nowe i obiecujące. Mam świadomość, że wiele postawionych przede mną ówczesnie diagnoz nie sprawdziło się, a inne sprawdziły się częściowo; że część pisarzy w sensie twórczym zamilkła bądź zmieniła obszar swych życiowych zainteresowań. Towarzyszy mi jednak równocześnie satysfakcja, że jako recenzent zwróciłem w tamtych latach uwagę na sporą grupę autorów, których dzisiejsza pozycja w literaturze polskiej nie może budzić żadnych wątpliwości.

CO MNIE OMINĘŁO

cały wątek polsko-niemiecki
jej cukrzyca jego Stalingrad
niezgodność charakterów
wystudzenie łoża ciche dni
suplementy niewiedzy utarczki
o tytoń podstępność jaskry
i śmiertelność syna i remont
przedpokoju

co miałam

naukę jazdy na rowerze
tulipany z ogródka język z zachwianą
fleksją i śmiesznie brzmiące imię
zajęczka na Wielkanoc uwagę
zabawy w otwieranie i zamykanie
szafy w ciepło-dobro
podwieczorki wystawne na trzy osoby
w tym dziecko

* * *

znowu biorą mnie na języki
jak hostię nieznani mężczyźni

sen boli zacina się jakby rozkosz
była reglamentowana według stopnia

grzeczności skromni jedzą z największej
miski i mają zawsze rabat

a klepsydra w Jysku ma różowy
piasek żeby nie trzeba było się bać

KLASYFIKACJA

stróżujące barmanki i siatkonosy
piorące parzące herbatę
cudze i nasze

chodzące w zaprzęgu
połykające nieustannie komunię

śmieszki
rosnące braciom na otuchę

ubrudozone atramentem chude
w ramionach
i bez pieniędzy

o ślepym jajniku
cierpiące na galopujące tęsknoty
z piętnem logorei

heroinistki porządku

rusalki były i niebyły
i te bezimienne żony Lota
zamienione w sól

* * *

skóra jeszcze boli nadajnik uszkodzony
w kilku miejscach rzeczywistość ostatnio
przypomina tarkę a wesela nie będzie

częstuję cię malinami żebyś zobaczył jak
łatwo dostać się do czerwieni żebyś
wiedział że to żadne tam niewiadomoco

NIEZGODNOŚĆ RODZAJU

o ojczyźnie można
długo patetycznie
i łzawo
ale powiedzmy sobie
szczerze
momentami to był
kawał skurwysyna

* * *

ten wtorek się odwinął jednak
mam ślady ale głęboko pod skórą
jak to się mówi koronkowa robota
i chodzę teraz wokół tego nawet siedząc
kiedyś mi żyłka pęknie i będzie płacz
to znaczy powinien być

* * *

na dole nie ma widoków na nic
więc prawie nie schodzę tyle co
na śniadanie albo po jabłka

pozrywane wątki pomyłone ściegi
grochu pod ścianą wstydlive kopce

nauczyłam się nie schodzić
a może po prostu uchodzić w porę

uchodźczyni ze mnie wprawna
lubię ciepło proste jedzenie i ciszę
nieotwieranych drzwi

Opatrzność w kształtach Arki Przymierza

KS. HENRYK PYKA

Opatrzność to podtrzymująca w istnieniu, nieustanna opieka wszechwiedzącego i wszechmocnego Boga nad dziejami świata i poszczególnych ludzi, poprzez którą pokazuje On swą mądrość, dobroć i miłość. Z Nowym Rokiem ludzie otwarci na Transcendencję, spoglądają w przyszłość z ufnością, przekonani, że Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu z tymi, którzy Boga miłują (Rz 8, 28).

W tym przekonaniu ksiądz bielski Aleksander Józef Sułkowski po życiowych doświadczeniach, na dwa lata przed swoją śmiercią ufundował w roku 1760 cyborium w kształcie Arki Przymierza dla kościoła św. Mikołaja w Bielsku. Przedmiot ten jest wyznaniem wiary fundatora w opatrznościowe działanie Boga w jego życiu. Ze względu na wyrafinowany program i formę artystyczną, cyborium to stanowiło do roku 2012 największą ozdobę Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach i w katalogu tego Muzeum wydanym w roku 1995 było prezentowane dobrą reprodukcją z obszernym komentarzem. Przechodząc na emeryturę, w porozumieniu z proboszczem Parafii św. Mikołaja w Bielsku, księdzem Zbigniewem Powadą przekazałem owo cymelium jego Właścicielowi. Z cyborium związałem się emocjonalnie, bo świadom wartości artystycznych i historycznych tego dzieła sztuki, korzystałem przy oprowadzaniu gości Muzeum z jego walorów ewangelizacyjnych i katechetycznych.

Ten niezwykle i rzadki w swojej formie przedmiot jest zwartym teologicznym traktatem obrazującym obecność Boga w ludzkiej historii. Znakiem tej Obecności była Arka Przymierza, a dzisiaj jest nią Eucharystia, którą w cyborium niegdyś przechowywano. Arka Przymierza w Starym Testamencie – jak pisze Helena Król, autor komentarza w katalogu – określana często jako Arka Boga, Arka Świadectwa, Arka Pana

Zastępów, wyrażała realną Obecność Boga w Narodzie Wybranym i zawarła z Izraelem przymierze. W Arce przechowywano dokument tego przymierza – dziesięć Słów, czyli Dekalog zapisany na kamiennych tablicach. Bliskość i opiekę Boga potwierdzał nadto tajemniczy obłok unoszący się nad Arką i Namiotem Spotkania. Stanowi on element kompozycji bielskiego cyborium.

Dokumenty Stolicy Apostolskiej zwracające się do stróżów kościelnego patrimonium podkreślają nie tylko konieczność „odpowiedniej konserwacji pamiątek Ludu Bożego, ale również badanie i rozpowszechnianie zawartego w nich religijnego i kulturalnego przesłania”. Program cyborium może wypełnić i wzbogacić treści zarówno liturgicznego, jak i katechetycznego przepowiadania zwróconego w kierunku Eucharystii. Niesie on przesłanie o niezwykle bogatym ładunku treści biblijnego przekazu z wyraźnym akcentowaniem „traditio legis” Kościoła Katolickiego.

Pierwsza publikacja dotycząca cyborium ukazała się w „Biuletynie Historii Sztuki” i stanowi rezultat badań Jana Samka w powiecie bielskim związanych z redakcją Katalogu zabytków sztuki w Polsce. W artykule J. Samka cyborium zostało dokładnie opisane w takim stanie, w jakim zastał je historyk sztuki w roku 1969. Zgodnie z opisem jest to puszka na komunikanty wykonana ze srebra, lana, w całości pozłacana, o wysokości 423 mm i rozpiętości stopy 236 x 185 mm. Kompozycyjnie to liturgiczne naczynie podzielone jest na trzy segmenty: stopę, nodus – trzon i właściwą puszkę z wiekiem, służącą do przechowywania Eucharystii. Całą tę kompozycję zespala przemyślany program. Wynika zarówno z historii fundacji, jak i z oryginalnej i unikatowej formy cyborium.

Stopa puszki jest owalna, pokryta dekoracją plastyczną rozczłonkowaną na



Ksiądz bielski Aleksander Józef Sułkowski (źródło: wikipedia)

osiem pól bogato zdobionych rokailami, wypełnionymi bądź ukwieconymi gałązkami różanymi, bądź czterema plaketkami zdobionymi emalią malarską. Na owalnych plaketkach przedstawieni są czterej Ewangelisci. Światłocienowy charakter dekoracji stopy wzmacniają dwie uskrzydłone głowy aniołków. Ta pełnoplastyczna forma pojawia się także na nodusie i narożach wieka.

Trzon stanowi plastycznie odrębna od całości forma rzeźbiarska. Wykonany został w postaci smukłego obłoku. Podnosi się on w kierunku naczynia i podtrzymuje go. Trafnie zauważył Samek, że forma obłoku „korzystnie wyodrębnia właściwą puszkę od jej podstawy”.

Funkcję puszki obrazującej Arkę Przymierza jako obiektu „obnośnego” podkreślają drążki umieszczone u jej podstawy. Naroża skrzyni zdobią woluty poszerzone na bokach dekoracją palmetkową. Artysta zręcznie połączył skrzynię z jej wiekiem. Umieszczone na narożach wieka uskrzydłone głowy aniołów stanowią

zwieńczenie narożnych wolut występujących na skrzyni. Większe boki puszek podzielone są na pola romboidalne i trójkątne. Pola trójkątne wypełnia florystyczna dekoracja o charakterze geometrycznym. Pola romboidalne wypełnia po obydwu stronach puszek złożona dekoracja o charakterze reliefowo malarskim. Na malowanych emaliach medalionach znajdują się obrazy Ukrzyżowania i Zmartwychwstania, a także wizerunki Ojców Kościoła: świętych Hieronima, Ambrożego, Augustyna i Grzegorza Wielkiego.

W mniejszych polach puszek nawiązano kompozycyjnie do dekoracji na stopie. Dwa medaliony umieszczone na każdym z dwu boków zdobi dołem kwietna girlanda, zaś górą chrząstkowa forma właściwa stylowi rokoka, do którego pod względem formalnym cyborium należy zaliczyć. Na medalionach przedstawione są z jednej strony obrazy „Ecce Homo” i „Trzech wędrowców na drodze do Emaus”, z drugiej strony sceny „Biczowania” i „Noli me tangere”. Zwieńczeniem tej tak zróżnicowanej formy składającej się na cyborium jest wieko nawiązujące do „przebłądani” zamykającej starotestamentalną Arkę Przymierza. Na szczycie wyprofilowanego wieka zdobionego żłobkową kanalerką nie przedstawił jednak artysta – jak znamy to z biblijnego opisu – kłęzących postaci Kerubim. Zwieńczeniem cyborium jest wpisane w promienisty trójkąt Oko Opatrzności, co stanowi klucz do odczytania całego programu tego osobliwego paramentu.

W roku 1996 puszka została poddana naprawie w pracowni Wojciecha Bochnaka, znanego z mistrzowskiej konserwacji srebrnego ołtarza z fundacji króla Zygmunta Starego w Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu.

Dla ilustracji tematu „Arki Przymierza” służącego realizacjom artystycznym związanym z kultem Eucharystii można znaleźć kilka analogii. Posługiwanie się tego typu obrazowaniem na obszarze Polski nie jest jednak częste. Temat „Arki Przymierza” wykorzystywany był podczas realizacji nastaw ołtarzowych, które zawierały tabernakulum dla przechowywania Eucharystii. Taka nastawa poświęcona w roku 1724, z posągami Aarona i Mojżesza F.M. Brokoffa, znajduje się w kaplicy elektorskiej w katedrze wrocławskiej. Poza tematem „Arki” stanowi ona symboliczne zobrazowanie idei świątyni Salomona. Obraz Arki Przymierza wykorzystywano w realizacjach ostensoriów. Monstrancja z 2 poł. XVIII w., w której wpisana jest Arka Przymierza, znajduje się w klasztorze O.O. Karmelitów w Krakowie i w katedrze poznańskiej z końca XVIII w. Opisane cyborium, w którym wykorzystano temat „Arki”, nie znajduje jednak podobnego sobie w zbiorach polskich.

Nie jest ustalona ani atrybucja, ani miejsce pochodzenia bielskiego cyborium. Wysoka jakość tego dzieła sztuki wskazuje na ważne centrum artystyczne, którym mógłby być Wiedeń, w którym fundator miał oparcie na dworze cesarskim. Artysta, posługując się formą obłoku jako formą artystyczną, musiał korzystać z pewnej tradycji ustalonej w sztuce baroku przy realizacji innych bliskich teologicznie tematów religijnych. Forma obłoku użyta w realizacji nodusa bielskiego cyborium stanowi istotny element tzw. słupów morowych i kolumn maryjnych. Obłok w kształcie kolumny wieńczonej zwykle postacią Matki Bożej lub Trójcy Przenajświętszej wskazuje na miejsce objawienia się Łaski. Takie słupy i kolumny typowe dla religijnej plastyki barokowej zdobią wiele placów górnośląskich, morawskich i austriackich miast. Zjawisko to typowe dla barokowego pejzażu wielu miast habsburskiej monarchii wyznacza rodzaj marszrutę prowadzącą od Raciborza, gdzie znajduje się datowana na rok 1725-27 kolumna J.M. Oesterreicha, przez Ołomuniec i Wiedeń, aż po Linz w Górnej Austrii.

Fundację i rok fundacji objaśnia łaciński majuskułowy napis wygrawerowany na wewnętrznej stronie stopy:

CELSISSIMUS PRINCEPS D:D: ALEXANDER JOS:S:J: PRINCEPS DE SULKOVSKY DUX BIEL: IN SILESIA DONAVIT ECCLESIA:PAR:Biels: Ao 1760

Fundator cyborium, Aleksander Józef Sułkowski herbu Sulima, zrobił błyskotliwą karierę na dworze Wettynów co spowodowało w jego otoczeniu powszechną zawiść. Jako paź wychowywał się przy dworze królewskim, gdzie zaprzyjaźnił się z jedynym legalnym synem króla polskiego Augusta II. Sułkowski był najbliższym doradcą następcy tronu, a od 1733 króla i elektora Augusta III. Mianowany generałem piechoty saskiej, w latach 1733 do 1738 był pierwszym ministrem Saksonii. Konkurent do łask Augusta III Henryk Brühl doprowadził w roku 1738 intrygami do dymisji Sułkowskiego i usunięcia go z dworu drezdeńskiego. Jako hrabia Rzeszy Sułkowski nabył od króla Stanisława Leszczyńskiego wszystkie jego dobra w Rydzynie i Lesznie i zaczął pracę nad odbudową i rozszerzeniem zamku rydzynskiego żeby przeprowadzić się tam na stałe. Po sprzedaniu pałacu w Dreźnie przeniósł wszystkie swoje meble, kolekcje obrazów i porcelany do Rydzyny i stworzył najwspanialszą rezydencję magnacką w ówczesnej Wielkopolsce, w której przyjmował królów i arystokrację. Kupując w roku 1752 wolnostanowe państwo bielskie został z nadania cesarza Franciszka I podniesiony do godności udzielnego księcia i związał się z dworem Habsburgów. W czasie trwania wojen śląskich sprzymierzył się z cesarzem przeciw królowi Fryderykowi II. Skut-



Cyborium ufundowane przez Aleksandra Józefa Sułkowskiego (Katalog Zbiorów Muzeum Archidiecezjalnego w Katowicach)

kiem dalszych knoń został podstępnie ujęty przez króla pruskiego i osadzony w twierdzy glogowskiej, skąd wyszedł po dwu latach za wstawiennictwem dworów w Petersburgu i Wiedniu. Schorowany, wkrótce zmarł.

Cyborium bielskie zostało ufundowane przez księcia Sułkowskiego na dwa lata przed jego śmiercią. Książę pochowany w Rydzynie, w kościele bielskim, zostawił świadectwo swojej wiary w Opatrzność Bożą. Donacja powstała, jak głosi łacińska inskrypcja, dla kościoła św. Mikołaja w Bielsku, znajdującego się nieopodal zamku książęcego i stanowi w tym kościele wotum dziękczynne. Tym niezwykle kunsztownym darem jego fundator pragnął podziękować Bogu za wyrwanie go z mocy króla pruskiego.

Tyle mówi historia o fundatorze. Rozwinięta o nowe wątki anegdotyczne i historyczne ubarwiający przekaz stanowi wraz z opisem dzieła sztuki pierwszy stopień jego ikonologicznej analizy. Na formę i program cyborium wpłynęło osobiste doświadczenie fundatora, który postanowił o takim a nie innym kształcie swojej pobożnej donacji.

Program bielskiej puszeki oparty jest o biblijną refleksję. Obrazy, jakie przywołuje to arcydzieło rzemiosła artystycznego, muszą skierować uwagę każdego, który je ogląda na karty Pisma świętego i wyprowadzone z tradycji biblijnej nauczanie Kościoła, reprezentowane postaciami czterech Wielkich Ojców Kościoła Zachodniego. Ten z pozoru milczący przedmiot obdarzony jest, jak by rzekł profesor Maciej Bienasz, „cichym życiem”. Jest rodzajem „martwej natury”, która posiada bogate życie ukryte we wszystkich warstwach jego złożonej struktury.

Śląsk w Sercu. Józefa Rockstroha obrazy ukryte

BEATA BRACHACZEK-ŚWIERKOT

20 listopada minęło czterdzieści lat od powstania pewnego obrazu, którego dzieje skłoniły mnie do refleksji nad życiem i twórczością Józefa Rockstroha, górnośląskiego plastyka, malarza, grafika, twórcy linorytów, inspiratora powstania przy KWK Katowice grupy artystów nieprofesjonalnych „Gwarek '58” i galerii o tej samej nazwie.

Józef Rockstroh urodził się 10.04.1934 roku w Gliwicach. „Prawdziwy Ślązak, wrażliwy, ciepły, dobry, miłujący piękno” – tak określa go rodzina i ludzie, którzy mieli możliwość poznania i spotkania z nim. Zaś na podstawie korespondencji adresowanej do pani Soni Wilk, kustosa i kierownika Działu Plastyki Nieprofesjonalnej Muzeum Śląskiego, która w 2008 r. była komisarzem wystawy poświęconej 50-leciu powstania i działalności grupy „Gwarek '58”, pierwsze, co zwraca uwagę czytelnika to charakterystyczne, śląskie „Szczęść Boże”, którym rozpoczynał każdy list. Kolejne, co zachwyca – kaligrafia, piękny, rzadko spotykany obecnie charakter pisma. Zagłębiając się w treść korespondencji zauważamy skrupulatność w szczegółowym relacjonowaniu wydarzeń i okoliczności, osobiste wątki, potwierdzające emocjonalne zaangażowanie i tęsknotę za Śląskiem oraz pragnienie uporządkowania spraw dotychczas niezamkniętych. Umiłowanie ziemi śląskiej wyraził w następujących słowach: *Byłem bardzo przywiązany do krajobrazu śląskiego. Kochałem ten Górniczy Stan, ten Czarny pracowity Śląsk* (26.06.2008). W innym liście wspomina: *Bardzo moją Kopalnię pokochałem – była moją żywicielką. Upiek-szałem ją jak się dało. Również dla mojej pracy w sztuce nie brakowało mi tematu. Dużo radości sprawiała nam też istniejąca na kopalni Galeria Sztuki Nieprofesjonalnej „Gwarek '58”* (8.07.2010). Mimo konieczności opuszczenia ojczy-



Józef Rockstroh

zny, sprawy kraju były dla niego ważne. Tu zostawił część siebie.

W 2008 roku informował, że zbiory jego prac w Niemczech liczą już 200 eksponatów, to około 100 grafik i 100 dzieł malowanych różnymi technikami. Są obrazy olejne, akwarele, rysowane piórkiem, koloryzowane. Tworzył dalej. Jak pisze: *Dalej uprawiam malarstwo i grafikę. Wszystko to daje mi wielką satysfakcję i wewnętrzne zadowolenie, w moim podeszłym już wieku. Proszę tylko Pana Boga o zdrowie* (8.07.2010).

Do listu dołączył swoją biografię, dokumentację prasową, wykaz prac oraz krążek CD z ich zdjęciami. Profesjonalnie i perfekcyjnie. Te listy stanowią swoisty testament artystyczny i są próbą podsumowania życia, bilansem wspomnień.

Ścieżki życia artysty wiodą od miejsca urodzenia, przez Halle nad Soławą, Heiligenstadt, Katowice, aż do bawarskiego Dingolging. Ważniejsze wydarzenia udokumentował na oryginalnym rysunku z piórkiem pt. *Mój życiorys 1934-1987*

(*Mein Lebenslauf 1934-1987*). Trudne sytuacje kształtują go od najmłodszych lat. Zaginięcie ojca na froncie podczas II wojny światowej, choroba i śmierć matki, pobyt w domu dziecka, dorastanie pod opieką cici. Powrót na Śląsk i zamiłowanie do sztuki sprawia, że jako nastolatek uczęszcza na zajęcia plastyczne do katowickiego Pałacu Młodzieży i rozwija swoje umiejętności w Liceum Technik Plastycznych, a później w wieczorowym dwuletnim Studium Graficznym, pod kierunkiem Stefana Suberlaka.

GWAREK'58

Od 1952 roku Józef Rockstroh pracuje zawodowo, najpierw w Śląskich Zakładach Armatyry Przemysłowej „ARMAK”, jako konstruktor-dekorator, a później od 1953 do 1987 w KWK „Katowice” na stanowisku plastyka-dekoratora. 34 lata pracy związały artystę z tym miejscem i ludźmi, którzy z zamiłowaniem parają się sztuką plastyczną: grafiką, malarstwem, rzeźbą w węglu.

Umiłowanie piękna w środowisku, w którym pracuje, widzi przede wszystkim poprzez twórczość swoich kolegów, poprzez ich obrazy. Ci, którzy pracują bezpośrednio przy węglu wykonują obrazy niezwykle kolorystyczne, barwne. Widać w nich ucieczkę od czerni, ciemności do koloru, światła, piękna przyrody, piękna w ogóle, które nas otacza – mówił w wywiadzie dla prasy lokalnej.

Z inicjatywy Rockstroha, w przykopalanym budynku, powstaje w 1958 roku galeria sztuki amatorskiej „Galeria Gwarek'58”. I tą nazwą zaczęto określać grupę działających tu artystów nieprofesjonalnych. Na pierwszym wernisażu, zorganizowanym w Barbórkę 1958 r. znalazły się prace siedmiu autorów: Józefa Rockstroha, Alfreda Kawy, Jana Nowaka II, Jana Nowaka I, Rudolfa Riedla, Aleksandra Filipka i Franciszka Kurzei.



Liczebność grupy „Gwarek '58” z biegiem czasu ulega zmianie. Umiera Jan Nowak II, niektórzy odchodzą zmieniając miejsce pracy, dochodzą też nowi członkowie np. Czesław Piątek w 1970 roku.

„Gwarek '58” wyróżnia się spośród innych tego typu grup z dwóch powodów: otóż jest to grupa nieformalna, każdy z twórców pracuje indywidualnie, bez prowadzącego merytorycznie instruktora oraz jak w żadnej innej grupie, prawie wszystkich twórców cechuje szczególne zamiłowanie do linorytu.

Grupa zyskuje na popularności. Jej członkowie biorą udział w licznych konkursach, zdobywają nagrody i wyróżnienia. Ich prace są wystawiane w kraju i za granicą. Plenery malarskie integrują „Gwarka '58” z innymi twórcami nieprofesjonalnymi, np. z malarzami „Grupy Janowskiej”. Podczas jednego z nich Paweł Wróbel ofiarowuje Rockstrohowi, na pamiątkę wspólnego pobytu swój obraz z dedykacją, przedstawiający grupę łyżwiarzy na lodzie z krajobrazem śląskim w tle. Rockstroh zostawia prezent do oprawy. Jest 1987 rok, niestety musi opuścić kraj. Wyjeżdża do Niemiec. Co się dzieje z obrazem? Po latach dowiaduje się, że podobno uległ zniszczeniu. Aktualnie jednak na aukcjach internetowych pojawia się akwarela Pawła Wróbla odpowiadająca opisowi podanemu przez Rockstroha, który chciał przekazać prezent otrzymany niegdyś od autora, do zbiorów Muzeum Śląskiego. Czy to ten sam obraz, muszą stwierdzić znawcy sztuki i tematu.

I MSZA ŚWIĘTA W KWK „KATOWICE”

Wróćmy jednak do lat osiemdziesiątych. Czasy komunizmu. W 1980 r. powstaje NSZZ „Solidarność”, a wraz z nią pojawia się nadzieja na możliwość zmiany ustroju i polepszenia sytuacji ludzi w Polsce. Jednym z pierwszych działań komitetu założycielskiego NSZZ „Solidarność” KWK Katowice jest organizowanie mszy świętej w podziękowaniu Opatrzności Bożej za owoce Sierpnia '80.

Za zgodą ówczesnego dyrektora Tadeusza Demla, na placu głównym kopalni, dnia 17.09.1980 r. pierwszą, od czasów powojennych, mszę świętą, dla

załogi i jej rodzin. Koncelebrują ją kapłani okolicznych parafii z Bogucic, Zawodzia i Kościoła Mariackiego.

W tym wzruszającym i niepowtarzalnym dla pokoleń górniczych wydarzeniu uczestniczy i Józef Rockstroh z kolegami z „Grupy '58”. Poruszony, przeżywa głęboko uroczystość i towarzyszące jej okoliczności. Po latach tak wspomina tamten dzień:

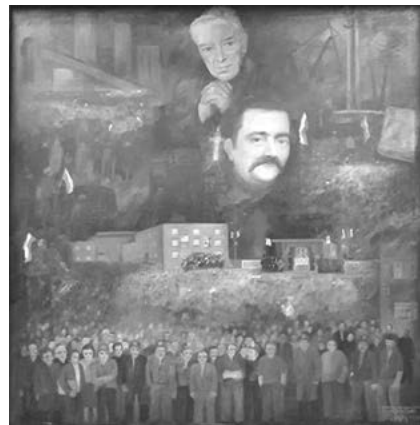
Tysiące górników, cała załoga z rodzinami. Komunia święta. Ta cisza, ta modlitwa, to śpiewanie. Modliłem się o pokój i solidarność w kraju. Plakałem jak wielu, wielu innych. Powiedziałem sobie, to wielkie wydarzenie utrwalię na dużym płótnie.

I tak się dzieje. Maluje na kopalni, miesiącami, w godzinach wieczornych, w ukryciu – maluje, by zachować na wieczną pamiątkę te wyjątkowe chwile. Maluje choć *niektórym nie podobało się to.*

Po roku dzieło o wymiarach 185x185 cm jest ukończone. „Centralnymi postaciami obrazu są: kardynał Wyszyński – ojciec duchowy narodu oraz Lech Wałęsa – realizator Sierpnia. W górze po prawej stronie Stocznia Gdańska i fragment porozumienia między komisją rządową i międzyzakładowym komitetem strajkowym określający nową i oczekiwaną przez społeczeństwo rolę związków zawodowych. Po lewej stronie KWK „Manifest Lipcowy”, gdzie nie tylko poparto postulaty ogólne, lecz stoczono również walkę o podstawowe prawa górnicze. Obydwa zakłady symbolizują więc najważniejsze porozumienia sierpniowe – gdańskie i jastrzębskie. Dlatego w górze obrazu i w centrum widać w wielu miejscach flagi narodowe. Dół obrazu poświęcony jest mszy świętej w Kopalni „Katowice”. Widać plac kopalniany, ołtarz przed kaplicą św. Barbary, duchownych celebrujących najświętszą ofiarę i posługujących im do mszy górników oraz tłum pracowników kopalni i księży udzielających w tłumie komunii świętej. Scena w centrum obrazu ma nawiązywać do myśli przewodniej – cytatu z wiersza, późniejszego hymnu Solidarności: *Bo lepiej byśmy stojąc umierali, niż mamy klęcząc na kolanach żyć.*

Namalowany w konspiracji obraz zawiera dedykację w lewym dolnym rogu: *Na pamiątkę sierpniowych wydarzeń tę pracę ofiaruje założyciel Autor J. Rockstroh 20.11.1981.*

Obraz umieszczony zostaje w przykopalnianej galerii na wystawie prac poświęconych pierwszej rocznicy Sierpnia '80, jednak po paru dniach znika w nieznanych okolicznościach. Jak się okazuje po latach, został wywieziony 13 grudnia 1981 r. w godzinach rannych zakładowym autobusem przez członków komisji zakładowej „Solidarność” – Aleksandra Filipka, Czesława Piątka i innych na probostwo kościoła w Katowicach-Zawodziu. Dzięki temu wszczęte na tere-



I Msza św. KWK Katowice
Fot. Ks. Tomasz Cielina

nie kopalni kilka dni później poszukiwania obrazu przez Służbę Bezpieczeństwa i nękanie przesłuchaniami autora pozostały bezowocne.

Za sprawą Herberta Szafranca dowiadujemy się również, że troskliwymi opiekunami obrazu byli obok Aleksandra Filipka, Stanisław Bartosik i Henryk Sawicki. Od połowy lat osiemdziesiątych obraz przechowywany był w mieszkaniu Franciszka Płoskiego w Bogucicach i tam pozostał do 1990 roku, kiedy to mógł być wyciągnięty z ukrycia, oprawiony bezinteresownie przez Bogdana Warzyńskiego i za zgodą autora zawieszony jako depozyt w siedzibie dzielnicowego komitetu obywatelskiego w Bogucicach, do czasu przekazania do Kościoła św. Szczepana zgodnie z życzeniem autora. Jeszcze przed przekazaniem obraz wzięty udział w konkursie artystycznym pt. „Bogucice, kościół, patroni ulic” ogłoszonym przez koło Bogucice Związku Górnośląskiego i zajęły pierwsze miejsce w dziedzinie malarstwa.

3 maja 1994 roku na mszy świętej w intencji Ojczyzny, z inicjatywy Komitetu i Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” KWK oraz za zgodą księdza proboszcza Jana Morcinka obraz został poświęcony, zaś 23 października 1994 roku przekazany w darze Parafii św. Szczepana w stulecie konsekracji kościoła, gdzie można go obejrzeć i dzisiaj.

Józef Rockstroh został zaproszony przez organizatorów na uroczystości, niestety ze względów zdrowotnych nie mógł w nich uczestniczyć, nad czym bardzo ubolewał. Był jednak bardzo szczęśliwy, że spełniło się jedno z jego marzeń.

ŻYCZENIE ARTYSTY

W korespondencji do pani Soni Wilk, Rockstroh pisał o pragnieniu przekazania Muzeum Śląskiemu prac, które pozostawił na przechowanie, u zaufanej rodziny w Katowicach, tuż przed wyjazdem do Niemiec. Były to obrazy ważne dla artysty, malowane w konspiracji z obawy przed śledzącymi go i obserwującymi „niewłaściwymi towarzyszami”. Dominowała w nich tematyka „Solidarności” 1980 r. Dużego formatu praca „Wiadomości z Solidarności”



przedstawia górników czytających wiadomości w gablocie przy portierni kopalni. Drugi obraz to górnik z opaską „Solidarność” pilnujący nocą terenu kopalni. (Por. list z 23.10.2008 r.) Ale wśród tych dwudziestu ukrytych obrazów olejnych jest jeden szczególny – to *Portret Kasi*, córki artysty stojącej przy sztaludze. Kasia, jako mała dziewczynka, wzorem taty zaczęła malować, uczęszczała też do Pałacu Młodzieży na zajęcia plastyczne. Jej obrazy brały udział w wystawach, w kraju i za granicą. Za jeden z nich zatytułowany „Na krakowskim rynku” otrzymała w 1978 roku srebrny medal w międzynarodowym konkursie malarskim „Shankar’s International Children’s Competition” w New Delhi. Dla całej rodziny było to wielkie szczęście i radość.

O *Portrecie Kasi* malarz wspomina również w liście z 2010 r., dwa lata przed tragicznym wydarzeniem. W grudniu 2012 córka artysty ginie nagle w wypadku samochodowym, osierocając dwój-

kę dzieci, dzieje się to zaledwie w cztery miesiące po śmierci jej mamy, Stefanii Rockstroh. Dla artysty utrata dwóch bliskich osób, to potężny cios. Na szczęście w bólu nie jest sam, są z nim wnuki: Sandra i Patrick oraz zięć Marek Gwozdź, którzy wspierają Józefa Rockstroha aż do śmierci 26.03.2018 roku.

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 6.04.2018 r. – msza święta w Kościele pod wezwaniem Świętego Józefa w Dingolfing, a ostatnie pożegnanie na tamtejszym cmentarzu.

W bawarskim Dingolfing artysta mieszkał 31 lat, od maja 1987. W 1988 został członkiem Związku Sztuk Plastycznych w Landshut (Dolna Bawaria), a rok później Stowarzyszenia Artystów w Esslingen nad Neckarem. W jego grafice i malarstwie tamtego okresu pojawiała się zarówno tematyka przemysłowego Śląska, jak i malowniczej w swoim krajobrazie Bawarii, jest piękna przyroda, tematy religijne są i portrety. Na uwagę zasługuje wyjątkowe dzieło, znajdujące się na fasadzie budynków mieszkalnych w Dingolfing, używając współczesnej terminologii to artystyczne „murale” przedstawiające na jednym Matkę Bożą z Dzieciątkiem, a na drugim postać świętego Józefa. Święte wizerunki umieszczone centralnie, w najwyższych punktach obiektów można podziwiać również z dalszej odległości. Rockstroh lubił wzywania. Oprócz dużych formatów namalował również serię wyjątkowych artystycznych kartek bożonarodzeniowych (Weihnachtskarten, *Winterkarten*), które zdobią prywatne zbiory ich adresatów.

W Niemczech doczekał się czterech wystaw indywidualnych w roku 1991 (Hala Miasta Dingolfing i Hala Narodowego Banku) i w 1994 r. (Hala Miasta Dingolfing i Pawilon Kwiatów). W Polsce mimo wielu nagród i ciekawego do-



robku nie miał indywidualnego wernisazu, mimo że jego prace były prezentowane na konkursach i wystawach w kraju i za granicą pośród najlepszych śląskich twórców nieprofesjonalnych.

Obecnie część grafik Josefa Rockstroha można oglądać w Muzeum Śląskim w Katowicach przy ul. Dobrowolskiego, w Dziale Plastyki Nieprofesjonalnej. Są również w zbiorach Biblioteki Śląskiej, Muzeum Etnograficznego w Zabrze, Bytomiu, w Muzeum Miasta w Dingolfing oraz u prywatnych właścicieli na całym świecie.

Miejmy nadzieję, że zgodnie z życzeniem artysty, wszystkie wymienione w jego listach prace, prędzej czy później znajdą się w Muzeum Śląskim, by dla kolejnych pokoleń miłośników sztuki, być świadectwem talentu i wrażliwości artysty, kochającego śląską ziemię i „kopalnię-żywicielek”, ludzi tu żyjących i ich tradycje, miłującego piękno i kultuwującego je przez cały okres pracy twórczej.

*Bo nie jest światło, by pod korcem stało,
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,
Bo piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy – praca, by się zmartwychwstało.*
(C.K. Norwid)

Szczęść Boże, Panie Józefie!

PS

Autorka dziękuje za pomoc w uzyskaniu informacji, materiałów i zdjęć, dotyczących życia i twórczości artysty: Soni Wilk i Magdaleny Łuków vel Broniszewskiej z Muzeum Śląskiego, Patrycji Świąder, ks. Proboszczowi Krzysztofowi Sitkowi i ks. Tomaszowi Cieciorze z Parafii św. Szczepana w Katowicach - Bogucicach, Thomasowi Kieslingero- wi, kierownikowi Muzeum i Archiwum Miasta Dingolfing, rodzinie artysty – Markowi Gwozdźowi i Georgowi Scholtyschikowi oraz Karolowi Szolty- sikowi za inspirację do napisania tego artykułu. ■



Dom Towarzystwa Przyjaciół Natury

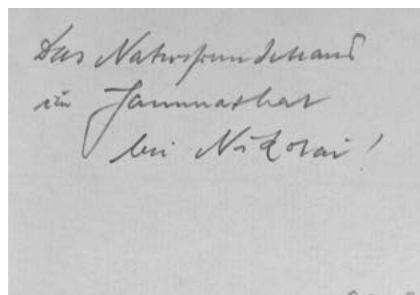
PETER WIESCHOLEK



Druga połowa XIX wieku w Prusach to czas wielkich przemian związanych z końcem pewnej epoki. Co prawda ciągle jeszcze znacząca jest warstwa mieszczańska, ten drugi obok niesłychanie rozbudowanego establishmentu militarne fundament pruskiego państwa. Ale coraz silniej dochodzi do głosu błyskawicznie rozwijająca się klasa robotnicza, zwłaszcza w dużych pruskich regionach przemysłowych. Powoli odchodzi do lamusa historii epoka mieszczańskiej *Gemütlichkeit*... Nieprzetłumaczalnej na język polski atmosfery przytulności pełnych bibelotów, wyłożonych dywanami saloników za szydełkowanymi firankami.

Tuż obok mieszczańskich kamienic pojawiają się nagle wysokie mury za którymi rozrastają się fabryczne hale. Tutaj każdego dnia zderzają się dwie epoki, dwa światy. Z jednej strony do niedawna niepodzielnie dominujący świat konserwatywnego mieszczaństwa. Z drugiej zaś całkiem nowy, obcy temu pierwszemu świat coraz silniej upominających się o swoje interesy robotników. Wśród tradycyjnej zabudowy pojawiają się nowe elementy – kolonie robotnicze. Szeregi wielorodzinnych domów, zwanych na Górnym Śląsku familokami. Tutaj o *Gemütlichkeit* nie może być już mowy. Nie o nią zresztą idzie. Idzie o interesy.

W interesie fabrykantów i baronów wędrownych leżało przywiązanie wykwalifikowanych pracowników do ich miejsca pracy. Zaś w interesie tych ostatnich zerwanie więzów z prymitywną codziennością rodzinnych wiosek i możliwość zamieszkania we wcale nowoczesnych na tamte czasy domach. Może mało przytulnych, ale za to z bieżącą wodą i kanalizacją. A czasami również ze sporym zapleczem socjalnym!



Bywało, że oba te światy spotykały się przypadkowo w całkiem nieoczekiwanych okolicznościach. Do takich spotkań mogło dojść na przykład w mikołowskiej Dolinie Jamny.

Dolina Jamny już sporo ponad sto lat temu była miejscem szczególnym. W wielu ówczesnych przewodnikach po Górnym Śląsku zachęcano do odwiedzenia tej okolicy, podkreślając jej malowniczość i (co przy ówczesnej komunikacji było niemniej ważne) łatwość dotarcia. Również prasa zachęcała do romantycznych spacerów. W wydawanej w Gliwicach gazecie codziennej *Oberschlesischer Wanderer* z roku 1904 czytamy:

„... a przede wszystkim przepiękna wędrowka poprzez Dolinę Jamny aż do Mikołowa oferuje przyjaciołom natury wiele niespodzianek! Bogata w wodę rzeczka Jamna, wijąca się wśród pokrytych drzewami niewysokich wzgórz, ciągle jeszcze zbyt mało jest znana, zbyt mało jako atrakcja turystyczna doceniana. Ze względu na różnorodność drzewostanu Dolina Jamny o każdej porze roku ofiarowuje nam niezapomniane wrażenia. Wędrowka kończy się widokiem na niżej położone miasteczko Mikołów, malowniczo prezentujące swe kościelne wieże, ponad osiemset lat mający kościółek i kolorowo porozrzucane domki...”

Choć zachęta do odwiedzania Doliny Jamny skierowana była do wszystkich czytelników, łatwo sobie wyobrazić, iż udział w tych wędrowkach sprowadzał się głównie do ciekawej romantycznych wrażeń warstwy mieszczańskiej. Przemawia za tym wiele względów, z finansowymi możliwościami na czele.

Ale niewątpliwie do wyżej wspomnianych spotkań dochodziło. Najpóźniej od roku 1913. Wtedy to bowiem Towarzystwo Przyjaciół Natury dokonało otwarcia jednego z kilkudziesięciu w całych Niemczech własnych domów wypoczynkowych, właśnie w mikołowskiej Dolinie Jamny!

O tym, że dom taki istniał, wiadomo z zapisków niejakiego Frericha Oltmanna. Był to zamieszkały w Bytomiu dziennikarz i działacz związków zawodowych. Podaje on w swych pismach dokładną datę otwarcia domu, a mianowicie 20

czerwca 1913 roku. Píše o tym dr Stefan Pioskownik. Była to do tej pory jedyna pewna informacja na temat Domu Towarzystwa Przyjaciół Natury w Dolinie Jamny koło Mikołowa czyli (w oryginalnie) *Naturfreundehaus im Jammathal bei Nikolai*.

Taki też odręczny napis znajduje się na rewersie zdjęcia, które w najbliższym czasie będzie można oglądać w zbiorach Mikołowskiej Placówki Muzealnej.

Powstałe w Wiedniu w końcu XIX wieku Towarzystwo Przyjaciół Natury łączyło troskę o środowisko naturalne z troską o byt klasy robotniczej. Wyrósł na gruncie idei socjalistycznych, silnie związane z europejskimi ruchami robotniczymi towarzystwo, rozpowszerechniło się najpierw w krajach niemieckojęzycznych, później zaś w całej Europie. Już w roku 1900 towarzystwo liczyło ponad 2000 członków, w tym 217 kobiet! W skromnie wyposażonych domach wypoczynkowych organizowany był tani wypoczynek dla robotników, nie mogących sobie pozwolić na drogie urlopowe wojaże. Jeden z tych kilkuset rozsiadanych na terenie całej Europy domów znajdował się właśnie pod Mikołowem.

W roku 1933 po dojściu nazistów do władzy towarzystwo zawieszono, a cały jego dobytek skonfiskowano.

Po wojnie Towarzystwo Przyjaciół natury reaktywowano. Istnieje do dzisiaj, choć o nieco zmienionym profilu, ewoluującym w kierunku skrajnie lewackim. Troska o środowisko naturalne zesłała na dalszy plan. Przeważa opcja polityczna.

Również sama Dolina Jamny zmieniła się poprzez te przeszło sto lat. Nie wiadomo, co stało się z opisywanym domem po roku 1922. Prawdopodobnie jakimś tam sposobem dostał się w prywatne ręce. Po wojnie nowe władze zdecydowały się w romantycznej Dolinie Jamny usadowić bazę naprawczą taboru autobusowego. W nowej rzeczywistości powoli wraca aura otaczająca to miejsce w odległych, pruskich czasach.

Dom Towarzystwa Przyjaciół Natury istnieje do dzisiaj. Nic nie świadczy o jego bogatej historii. Historii którą przypomina ta skromna, czarno biała fotografia...

Ks. dr GUSTAW KLAPUCH

inicjator ruchu Inteligencji Katolickiej

STEFAN GIERLOTKA

Urodził 27 sierpnia 1929 roku w Wodzisławiu i zawsze dumnie zaznaczał, że jest Górnoszlązakiem. Z Czyżowicami – wsią położoną cztery kilometry na zachód od Wodzisławia – związane było całe jego życie. Tam ukończył też szkołę podstawową. Podczas wojny kierownik niemieckiej szkoły w Czyżowicach Klemens Wienke uczył go łaciny, a jego żona – języka angielskiego. Później uczył się w niemieckim gimnazjum w Kietrze (lata 1943-1945). Po zakończeniu wojny kontynuował naukę w Państwowym Liceum im. Powstańców Śląskich w Rybniku. Po maturze w 1947 roku podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim i wstąpił do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie. Pod koniec piątego roku, z bliżej nieznanых powodów, opuścił seminarium duchowne, ale dalej kontynuował studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. *Na podstawie napisanej dysertacji pt. „Stosunek niemieckiej frakcji parlamentarnej „Centrum” do polskiej mniejszości narodowej drugiej Rzeszy Niemieckiej w okresie „Kulturkampf”*, otrzymał 12 marca 1954 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim stopień naukowy doktora. Jako doktor powrócił do Seminarium Duchownego i w tym samym roku przyjął święcenia kapłańskie.

Początkowo był wikariuszem w parafii św. Antoniego w Dąbrówce Małej, a następnie wikariuszem w parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Katowicach-Piotrowicach z proboszczem Kaszubem i księdzem Anaszajem Mużą. Zawsze poróżniony z przełożonymi proboszczami od 1957 roku został wycofany z pracy duszpasterskiej. Powierzono mu naukę religii w Liceum Pedagogicznym i Liceum Muzycznym w Ka-



ks. Gustaw Klapuch

towicach. Prowadził również wykłady z zakresu Pisma Świętego na kursach katechetycznych. Z polecenia biskupa w niedziele wyjeżdżał na parafie diecezji, gdzie wygłaszał kazania i zbierał pieniądze na budowę katedry w Katowicach. Od 1958 roku zapoczątkował cykl wykładów dla inteligencji katolickiej wygłaszanych w kościele garnizonowym w Katowicach. Należał również do kolegium redakcyjnego Gościa Niedzielnego.

Od 1959 roku prowadził wykłady z historii Kościoła oraz z religioznawstwa w Wyższym Śląskim Seminarium Duchownym w Krakowie. Zawsze mówił barwnie i sugestywnie, nigdy nie posługiwał się kartką. Kiedyś studenci zapytali go, jak można nabyć takiego kunsztu językowego. W odpowiedzi poradził, aby przeczytali na głos całą try-

logię Sienkiewicza. Jego wykładom towarzyszyła atmosfera dialogu i dyskusji na kontrowersyjne tematy Kościoła. Metoda dyskusyjna prowadzenia wykładów nie uszła uwadze biskupa Herberta Bednorza. W grudniu 1969 roku odbył z nim trudną rozmowę, po której ksiądz Klapuch otrzymał zakaz polemicznych dyskusji ze słuchaczami jego wykładów.

Od 1967 roku wykładał historię Kościoła w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Publikował w tym czasie artykuły w „Studia Theologica Varsoviensia”, „Collectanea Theologica”. Na wykłady z Katowic do Warszawy latał samolotem – raz na dwa tygodnie. Od 1968 roku w miesiącu przemierzał wykładowy szlak od Poznania, Łodzi i Warszawy do Krakowa. W tym okresie zbierał materiały do rozprawy habilitacyjnej z zakresu struktur kościelnych na Górnym Śląsku. Wakacje akademickie w tamtym czasie spędzał przeważnie w Bułgarii, Rumunii i NRD. Uprawiał żeglarstwo, jeździł na nartach i konno.

Od 1967 roku prowadził comiesięczne spotkania dla inteligencji organizowane przy kościele Mariackim w Katowicach. Początkowo tematyka spotkań dialogowych dla inteligencji dotyczyła II Soboru Watykańskiego. Na wykładach domagał się przestrzegania w Kościele podstawowych praw człowieka – wolności słowa i sumienia. Normy moralne ujęte w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, przyjętej przez ONZ w 1949 roku obowiązują nie tylko państwo, ale przede wszystkim Kościół. Był zapraszany i prowadził w tym temacie wykłady w różnych ośrodkach życia religijnego w kraju. Swoje postulaty przedstawił w 1968 roku kardynałowi Karolo-



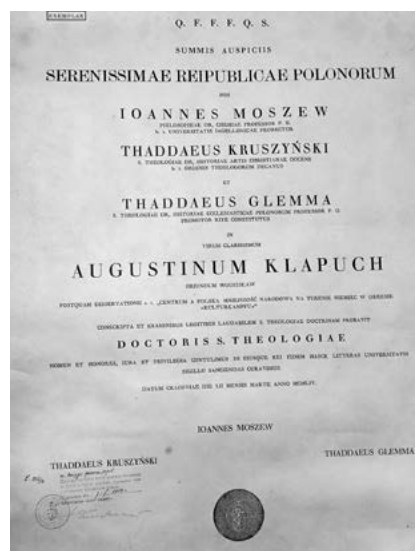
wi Wojtyła. Kilka dni później z postulatami księdza Klapucha oraz jego tekstem o problemie wolności zapoznał się bp. Herbert Bednorz. W bezpośredniej rozmowie 29 marca 1970 roku biskup Herbert Bednorz zażądał odwołania głoszonych poglądów dotyczących praw człowieka. W konkluzji ksiądz Klapuch odpowiedział, że nie zmieni swoich poglądów pod wpływem biskupich gróźb, ale jedynie argumentów. Konflikt z bp. Bednorzem skutkował dekretem zwalnającym z zajęć dydaktycznych w seminarium i pozbawienia misji wykładania na uczelniach kościelnych. W tym czasie nawiązał współpracę z niemieckim Stowarzyszeniem Pax Christi International zajmującym się prawami człowieka oraz sprawiedliwym ładem w świecie. Zwrócił się również z postulatami praw człowieka w Kościele do wybitnych i znanych teologów na świecie – wśród nich do niemieckiego teologa, księdza prof. Josepha Ratzingera. Otrzymał odpowiedzi utwierdziły księdza Klapucha w przekonaniu, że jego działanie jest drogą słuszną.

W 1970 roku bp Herbert Bednorz po wycofaniu prawa wykładania na uczelniach kościelnych, otrzymał dekret powierający zaniechaną placówkę duszpasterską przy kaplicy cmentarnej św.

Józefa w Tarnowskich Górach (ul. Pomorska 24). Placówka miała kilka ulic, na których w jednorodzinnych domach mieszkało około 900 ludzi. Obejmując placówkę wprowadzał nowoczesne metody funkcjonowania parafii z działającą demokratycznie wybraną Radą Duszpasterską, z akcjami charytatywnymi i z ruchem pielgrzymkowym. Głosił płomienne kazania zanurzone w nurcie najważniejszych współczesnych problemów, ściągał do Kościoła wiernych także spoza parafii. Gdy placówka przekształciła się w parafię św. Józefa został w 1981 roku jej proboszczem. Parafia liczyła już blisko dwa tysiące wiernych. Kościół „na cmentarzu” stał się ulubionym miejscem spotkań inteligencji miejskiej. Ksiądz Klapuch nawiązał partnerskie kontakty z kilkoma parafiami w Niemczech. Parafie te, w latach 1980-1990 pomagały materialnie, przysyłając do Tarnowskich Gór dwadzieścia dwa wielotonowe transporty złożone z żywności i leków. Przy parafii otwarto aptekę im. świętych Kosmy i Damiana. W czasie stanu wojennego zyskał jeszcze większe uznanie tarnogórzan za zorganizowanie ośrodka pomocy dla represjonowanych politycznie i oraz prowadzenie mszy za ojczyznę, za co otrzymał we wrześniu 2000 roku złoty medal zarządu regionu śląsko-dąbrowskiego „Solidarności”. W roku 1982 utworzył w Tarnowskich Górach duszpasterstwo ludzi pracy.

Zawsze otwarty na świat, organizował wiele pielgrzymek zagranicznych połączonych z wykładami i konferencjami. Był autorem wielu publikacji teologicznych drukowanych w kraju i za granicą. Opublikował też cykl artykułów o miejscach pielgrzymkowych na świecie. Tarnogórzanie swą wdzięczność dla niego wyrazili tytułem „Honorowego Obywatela Tarnowskich Gór” (2003), przyznaniem nagrody „Srebrne skrzydła” (2002) i jedno z rond nazwali „Rondo księdza Gustawa Klapucha”. W rodzinnych Czyżowicach jego imieniem nazwano Gimnazjum (2010).

W 2002 roku, po 32 latach pracy w Tarnowskich Górach, przeszedł na emery-



ture i zamieszkał w domu rodzinnym w Czyżowicach. Na ścianie werandy domu umieścił fragment wiersza Klaudiusza Klaudianusa: *Szczęśliwy, kto na własnych polach wiek swój przeżył. Dom, który widział chłopca, oślania i starca [...]*.

Do tych słów rzymskiego poety dopisał strofy biblijnego Koheleta: *Wszystko ma swój czas / i jest wyznaczona godzina / Na wszystkie sprawy pod niebem* (Koh 3,3).

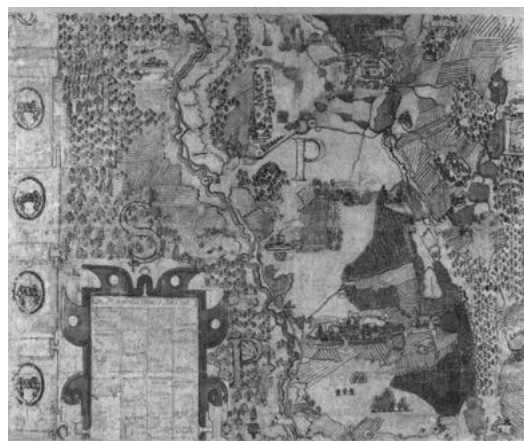
Ksiądz Gustaw Klapuch zmarł 12 sierpnia 2006 roku z powodu choroby nowotworowej. Pochowano go na cmentarzu parafialnym w Czyżowicach w grobie rodziców.

Oso biście spotkałem się dwa razy z ks. Gustawem Klapuchem. Pierwszy raz pod koniec lat pięćdziesiątych w parafii NSPJ w Piotrowicach, gdzie byłem ministrantem. Drugi raz w 2003 roku w Peru, gdzie przez prawie 3 tygodnie podróżowaliśmy pielgrzymim szlakiem. Podziwiałem profesjonalne przygotowaną wiedzę o poznawanym kraju. Często zamiast miejscowego przewodnika, ks. Klapuch opowiadał o poznawanych obiektach. Swoim przygotowaniem do wyjazdu i ogromną wiedzą zawsze potrafił w ciekawy sposób uzupełnić przekaz miejscowego przewodnika. ■



Cud nad mapą Hindenberga

GRZEGORZ SZTOLER



Na Krakowskim Przedmieściu latem spotykam mapę Hindenberga, z 1636 roku, pszczyńskiego wolnego państwa stanowego. Patrzy na mnie, ja na nią. Obok Pałacu Prezydenckiego wisi i zachwyca. Na reklamowym obelisku chwali się, że jest jak nowa, odnowiona. I na dodatek, że została wpisana na Polską Listę Krajową Programu Unesco Pamięć Świata. Nieczęsto spotyka krajan krajana na Krakowskim Przedmieściu...

Mapa pokazuje wolne pszczyńskie państwo stanowe. I jest jedyna taka w Europie (porównywana jest do saksońskiej). Przez dekady niszczała, nie miała szczęścia. Właściwie myślałem, że wisi nad nią klątwa. Bo co rusz ktoś próbował w temacie zrobić, to rychło albo opadał z sił, albo problem go przerastał. Bo mapa jest duża, gdzieś trzy na dwa i pół metra. Sporo? Pamiętam z praktyki archiwalnej w latach 90., jako student, że przechowywano ją w dużych szufladach i rzadko z nich wyjmowano, bo mapa dosłownie „się sypała”, kruszała. Odpadały z niej co rusz jakieś fragmenty. Była w tragicznym stanie. Udostępniano jedynie fotokopię wykonaną na początku XX wieku w Berlinie, gdzie zresztą mapę pocięto na mniejsze sekcje (części) i podklejono tekturę. Ilekroć zasiadałem przy archiwalnym stole, w pszczyńskim archiwum, na zamku, zawsze jakoś temat schodził na tę mapę. I wszystkim, paniom archiwistkom i mnie, praktykantowi, ciężko się na sercu robiło, że mamy taki skarb, a pieniędzy na jego konserwację nie widać. Dlaczego? Ano spuściznę poniemiecką zawsze traktowano w Polsce po macoszemu, a tu w grę wchodziły takie pieniądze, że tylko centrala mogła się tym zająć. A więc Warszawa – a ta wiadomo jaki pogląd ma na poniemieckie dziedzictwo. Dla nas, tutejszych, to oczywiste, że to nasze, śląskie. Dla nich – już nie. Kto nie wierzy – niech próbuje przekonywać przekonanych.

Ale nawet w ciemnym tunelu zdarza się światełko nadziei. Tak jak po burzy przychodzi tęcza, tak i w temacie mapy się wypogodziło. Przejściowo – ale jednak. Zdarzył się taki boży szalenciec zakochany w mapie do obłędu – ów ry-

cerz nazywał się, nie powiem magicznie, Andrzej Złoty – i szefował na przełomie lat 90. i 2000 Bractwu Gospodarczemu Związku Górnośląskiego. Już wtedy „niy dożydźżołych na kole” na praktyki do zamkowego oddziału Archiwum Państwowego, byłem świeżo upieczonym magistrem historii, a po napisaniu magisterki o rodzinnej parafii w Brzeźcach, chciało mi się jeszcze doktoratu. A ponieważ – jako lokalny dziennikarz, bo z czegoś przecież trzeba żyć – wsiąknąłem na dobre w pszczyńskie tematy, te bieżące i historyczne, napotkałem na swojej drodze tego pszczyńskiego Don Kichota. Pan Andrzej miał gadane. Nawijał i nawijał. To było bezcenne. Umiał się sprzedać – nie – on sprzedawał umiejętnie swą autentyczną miłość do mapy Hindenberga. Uwrażliwiał nas jeszcze bardziej na jej krzywdę. Zaproponował rozwiązanie iście pionierskie i śmiało: by każdy samorząd szeroko pojętej Ziemi Pszczyńskiej, która widoczna jest na mapie – od przedmieść Katowic, przez Mysłowice, po Bieruń i Mikołów – dorzucił się do jej odnowienia. Pozyskał na to zgodę ówczesnej katowickiej dyrekcji Archiwum Państwowego. Desperacja szlachetna zaowocowała uchwałami intencyjnymi – dzieło ratowania mapy zaczynało przynosić efekty. Uświadamialiśmy sobie wszyscy – poprzez piszących dziennikarzy po zwykłych czytelników – jak cenny mamy zabytek. Jak dziś widzę, że na jedno z tych spotkań, chyba to początkowe, przyprowadziłem miłośnika i znawcę śląskiej kartografii, który był opiekunem koła naukowego historyków, które prowadziłem na studiach, naukowca Piotra Greinera – wtedy jeszcze doktora. Nie wiem, czy pan Andrzej prosił mnie o ten kontakt, tak czy inaczej ta znajomość tylko zaktywizowała całą akcję. Wnet pojawiły się publikacje o mapie – już nie prasowe – a książkowe. W każdym niemal mieście gościło Bractwo z prezesem Złotym, który opowiadał o cudzie, jakim była mapa. I coraz większy tłum zainteresowanych tematem, wielbicieli mapy, fascynatów się pojawiał. Reprodukcje mapy były

rozchwytywane. Sam jestem w posiadaniu fotokopii cyfrowej, jaką wykonano bodaj w 2003 roku. Całą akcję ratowania zabytku zresztą dobrze dokumentowano.

I naraz zapadła cisza w temacie. Nie wiadomo było dlaczego. Kiedy zapytałem o to pana Andrzeja, na jednej z sesji popularnych, już kilka dobrych lat po fakcie (chyba koło 2010 roku), wzruszył tylko ramionami i stwierdził, „że to już nie jego problem [czy sprawa]”. I swoje wycofanie tłumaczył problemami zdrowotnymi. Faktem jest, że gdy powstało stowarzyszenie – jak to nazwać – samorządów, które chciały ratować mapę z Pszczyną na czele, a więc ogromna siła, naraz wszyscy się pokłócili. Jakby jakaś diabelska siła chciała w tym wszystkim, w tej szlachetnej inicjatywie, zamieszać i ją ukrócić.

Miło wspominać ten czas, bo sam angażowałem się – pisząc i współlobując – za ratowaniem mapy. Pan Andrzej gościł często u mnie w redakcji tygodnika „Nowe Echo” w Tychach, gdzie co parę numerów stwarzałem sążniste artykuły o postępach w ratowaniu mapy Andreasa Hindenberga. Podobnie było w innych pszczyńskich (i śląskich) redakcjach. Prasowych – ale nie tylko. Internet nie był jeszcze takim silnym medium. Wszędzie znano Złotego – nie tylko w Pszczynie, ale i w aglomeracji. A nawet dalej. Był sławny, a z nim mapa. Tyle, że jej to wkrótce przestało służyć. Bo główny problem akcji – pilna konserwacja mapy – został nagłośniony, ale nie rozwiązany. Akcja pana Andrzeja uruchomiła ogromną energię społeczną, chyba po raz ostatni w postsolidarnościowej historii. Ludzie naprawdę chcieli dobrze dla mapy, chcieli ją ratować. Pan Andrzej rozślawił ją – bo o ile przedtem znana była badaczom, historykom i kartografom (Johanna Kolenda, Ludwik Musioł, Andrzej Konias, Józef Szaflarski) – to teraz dotarła „pod strzechy”. Praktycznie każda kniga, zarys wydawany na początku lat 2000 musiał odpowiadać na pytanie: jak dana miejscowość prezentuje się na mapie Hindenberga? A dodajmy nie wszystkie miały to

szczęście być widoczne na tym zabytku – są na niej miejsca wytarte, niezachowane, bezpowrotnie zniszczone.

Więc w temacie ratowania mapy zaległa cisza, na lat kilkanaście. Przełom nastąpił z zupełnie nieoczekiwanej strony. Właściwie – powiem tak – mogłem się spodziewać, że Piotr, mój dawny opiekun „naukowy” z czasów prezesowania kołu studenckiemu historyków na Uniwersytecie Śląskim, nie odpuścił tematu. I jak został dyrektorem, słowa dotrzymał. Jak na prawdziwego Ślązaka przystało, ruszył temat mapy. Nie szlachetnym pospolitym ruszeniem, lecz działaniem instytucjonalnym. Przewodził przeciw szacownej instytucji Archiwum Państwowego w Katowicach, która ma zasoby i możliwości. Nie to co szlachetna – ale zawsze osamotniona, choćby nie wiem jak bardzo zdesperowana jednostka. Renowacja mapy przekraczała możliwości jednego człowieka. Tym większy mam szacunek do Andrzeja Złotego, szlachetnego pszczyńskiego Don Kichota, który jednak odniósł pewien sukces. Mapa nie umierała w zapomnieniu. Rozgłos, jaki publicznie nadało mu Bractwo Złotego, na to nie pozwalał. Temat stał się zbyt głośny. Nie można było go zbyć.

I teraz – a jest czwartek 30 września 2021 roku – jestem w dostojnej Sali Lustranej pszczyńskiego Zamku. Mapa jest odnowiona. Uratowana. Opowiadają o niej toruńskie konserwatorki, bo to one podjęły się żmudnej, kilkuletniej renowacji. Pytam Piotra, kiedy się skończyła. Słyszę, że już w 2019 roku, rok później planowali konferencję o mapie, jej konserwacji, ale covid wszystko przesunął o rok. I udało się.

Piękna jak zawsze prowadząca obrady, dr Basia Kalinowska-Wójcik apeluje, by wychodzić w maseczkach i z identyfikatorami – by się nie mieszać ze zwiedzającymi. Faktycznie, wycieczka za wycieczką. Mijam młodzież na schodach reprezentacyjnych, przewodniczka snuje opowieść o gobelinie tam wiszącej. Stado dzieciaków z ciekawością patrzy na tłum siedzących w Sali Lustranej. Liczę, oczywiście zainteresowanych z pół setki. Nawet znajomy redaktor spod Bierunia dotarł. A tak znajomi historycy i archiwiści z uczelni, archiwów... Dwa tygodnie wcześniej na pszczyńskim rynku ustawiono plenerową wystawę o mapie i jej konserwacji. Teraz prezentuje się świetnie, czekała na to kilka... stuleci. Bo już w 1721 była na tyle zużyta, że sporządzono jej kopię. I ciągle te dopiski aktualizujące treść mapy, ostatnie poczynione jeszcze w XX w. A to literę w nazwie trzeba było poprawić zielonym atramentem. Albo ołówkiem – i tu już większe szkody wyrządzano, bo zdarzały się przetarcia papieru. Toruńskie konserwatorki cierpliwie i długo dosyć opowiadają o kosmicznie pomysłów zabiegach, jaki poddano mapę,

jej części. Okazuje się, że trzeba było ją „naprawiać” kawałkami, brytami po kolei (jest ich w sumie trzynaście). Naraz. Jakaś kąpiel, nawilżanie, cudowne środki, jakieś hydrozele. I ostrożność, bo mapa się sypała. Kruszeje – mówiła jedna z młodych i doświadczonych konserwatorek. I na dodatek brakowało 15-20 procent jej powierzchni (co ciekawe, ta część zaginąć musiała gdzieś między końcem wojny a początkiem lat 50. XX w.). Mnie – i nie tylko mnie – dziwi, że zabytek w ogóle przetrwał pobyt wojsk sowieckich na zamku. Nie wszystkie starocie miały tyle szczęścia...

Czytam w okolicznościowej broszurze o ostatnich pracach związanych z mapą („Konserwacja – Kartografia – Historia” – to podtytuł konferencji na którą mnie zaproszono): „Po kolejnym przeglądzie stanu zachowania mapy w 2015 roku podjęto decyzję o usunięciu folii i umieszczeniu brytów w bezkwasowych opakowaniach ochronnych oraz zlecono projekt badań wstępnych przeprowadzonych wspólnie przez pracowników Laboratorium Badań nad Trwałością i Degradacją Papieru Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Katedry Restauracji Papieru i Skóry Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu”. Ten ostatni podmiot podjął się tej trudnej i żmudnej pracy, jaką było przywrócenie świetności zaniedbanemu zabytkowi. Bo stan jego zachowania określano jednym słowem: katastrofalny.

– Jak udało się doprowadzić do konserwacji mapy? Powiem, że z trudem – przyznaje dyrektor AP w Katowicach dr hab. Piotr Greiner, gdzie aktualnie znajduje się zabytek. – Tutaj muszę wspomnieć Andrzeja Złotego, hobbystę, który w 2000 roku rozpoczął kampanię jej ratowania. Ta akcja w sumie się nie udała. A powiem nieskromnie, jak zostałem dyrektorem Archiwum Państwowego w Katowicach, to uznałem za punkt honoru, aby doprowadzić to dzieło do końca. Dzięki wsparciu Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych udało się pozyskać środki budżetowe, a nie jak niegdyś planował pan Złoty – ze zbiórki społecznej. I w latach 2016-2019 mapa była poddawana konserwacji na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Kosztowało to podatnika polskiego nieco ponad dwieście tysięcy złotych, ale efekt jest oszałamiający. Ten, kto widział mapę przed konserwacją i po wie, o czym mówię.

Udało się. Dziękuję Piotrze.

Co przedstawia mapa Hindenberga?

Sporządzona w 1636 roku przez Andrzeja Hindenberga mapa objęła teren Wolnego Stanowego Państwa Pszczyńskiego oraz otaczających je pogranicznych obszarów Górnego Śląska i Małopolski (łączna powierzchnia ok. 1600 km kw.). Naniesiono na nią 95 miejscowości,

w tym 89 położonych na obszarze państwa pszczyńskiego. Jej twórca umieścił nie tylko cztery miasta: Pszczynę, Mikołów, Bieruń i Mysłówice, ale też szereg pomniejszych miejscowości i osad, również przygranicznych. Mapa jest zorientowana na Zachód. Wynika to z tego, że obecnie stosowane zasady kartografii (kierunek „północny”) obowiązują od XIX wieku.

Na brzegach mapy umieszczono m.in. 43 tarcze herbowe rycerstwa pszczyńskiego. Niektóre obiekty pokolorowano: wody oznaczono błękitem, zalesienie – kolorem brązowym, na zielono łąki, pola uprawne oznaczono brązowymi pasami, a na czerwono – dachy kościołów i ważniejszych budynków. Średnie pomniejszenie mapy wyniosło w skali 1:17500, co czyni ją jedną z najbardziej szczegółowych map tego rodzaju, którą przewyższa jedynie mapa Saksonii M. Dera z początków XVII wieku (w skali 1:13350), najbardziej natomiast sławna mapa Bawarii Philippa Piana z lat 1554-1561 została sporządzona w ośmiokrotnie mniejszej skali (1:145000).

Kim był autor mapy?

Był nie tylko kartografem. Andreas Hindenberg już w 1603 roku występuje jako sekretarz Weigharda von Promnitz, władającego państwem stanowym Niemodlin (Herrschaft Falkenberg). Uczył arytmetyki i geografii jego młodszego brata Seyfrieda I (w spolszczonej wersji Zygfrйда). Od samego początku związany był z Promnitzami, którzy polecali go innym zaprzyjaźnionym śląskim władcom. Wiadomo, że w latach 1612-1614 pracował przy budowie umocnień zamku w Siedliszku, a w latach 1619-1622 kierował rozbudową umocnień Bytomia Odrzańskiego. Dokonana w latach 1622-1633 rozbudowa umocnień Brzegu przeszła pomyślny test w 1642 roku, kiedy to odparto atak wojsk szwedzkich. Hindenberg przeszedł edukację uniwersytecką na co wskazuje jego wszechstronna wiedza, znajomość nauk ścisłych i technicznych, a także znajomość języków. Był wynalazcą, aby zaradzić psuciu monety, wymyślił stół do liczenia pieniędzy, którego projekt opisał w publikacji wydanej w 1624 roku. Ponieważ posiadał sztukę kreślenia planów – co przy budowie fortyfikacji było nieodzowne – jego talent wykorzystał, z korzyścią także dla nas, potomnych, Zygfryd II Promnitz, wolny pan (Freiherr) Pszczyzny i pan Wielkich Strzelec. ■

Wystąpienia naukowców znajdą się w specjalnej publikacji (która ukaze się w 2022 roku), natomiast już teraz każdy może sam zobaczyć – i skorzystać z mapy – wystarczą wstukać w serwisie www.szukajwarchiwach.gov.pl/ słowo-klucz „mapa Hindenberga”.

Zawsze byłem pod wrażeniem dzieła Hindenberg!

Rozmowa z drem hab. Piotrem Greinerem,
dyrektorem Archiwum Państwowego w Katowicach

GRZEGORZ SZTOLER

– „Cud nad mapą” się udał. Zabytek został uratowany i wpisany na listę krajowego dziedzictwa Unesco. Jak to się właściwie zaczęło?

– W temat mapy Hindenberga wciągnął mnie w latach 90. historyk profesor Edward Długajczyk, który współpracował ze społecznikiem Andrzejem Złotym, mocno zaangażowanym w akcję ratowania mapy. Nie byłem wtedy pracownikiem Archiwum Państwowego, lecz Uniwersytetu Śląskiego. Dzięki profesorowi pojawiłem się w 1999 albo 2000 roku, w Pszczynie, na spotkaniu organizowanym przez Bractwo Gospodarcze pana Andrzeja. Było to w jakiejś restauracji. Tam się poznaliśmy. I kolejne lata z nim współpracowałem nagłaśniając fakt, że mapa jest w strasznym stanie. Były spotkania z władzami archiwum – katowickiego i centrali. A także – przede wszystkim – z władzami samorządowymi historycznej Ziemi Pszczyńskiej, które miały na celu zgromadzenie odpowiednich środków na konserwację zabytku, tzw. środków społecznych. Pamiętam, że na jedno z takich zebrań przyszedł nawet arcybiskup katowicki, Damian Zimoń, jak też ówczesny wojewoda Wilibald Winkler. Wszyscy – od samorządowców po polityków, dostojników wszelkiej maści – mapą się zachwycali i potakiwali. „Tak, tak, trzeba się tym zająć – mówili. – Dobrze, że to robicie”. Ale nic za tym nie szło. Żadne wsparcie, poza słowa-

mi. W efekcie cała ta kilkuletnia akcja pana Złotego, poza nagłośnieniem problemu – bardzo potrzebnym, sfotografowaniem zabytku i kilkoma publikacjami, skończyła się fiaskiem – przynajmniej dla mapy. Utkwiła mi w pamięci jeszcze jakaś wielka konferencja zorganizowana w Sali Lustranej w pszczyńskim zamku. To już było na koniec tej społecznej akcji. I jak zwykle było „dużo gadania, a mało konkretów” – dla mapy Hindenberga.

Kiedy zostałem dyrektorem Archiwum Państwowego w Katowicach, w 2006 roku, postanowiłem działać od razu. Postanowiłem to sobie za cel. Ale wtedy państwowa służba archiwalna nie opływała w dostatki. A też chęci warszawskie były też... takie sobie. A tam, jakaś mapa. I do tego jeszcze poniemiecka... I długo trwało to moje drażnienie tematu, szukanie wsparcia dla potrzebnej konserwacji mapy. No, ale zmieniali się poszczególni dyrektorzy w warszawskiej centrali, to i zmienił się klimat dla mapy. Na bardziej korzystny. Dopiero profesor Władysław Stępnia, który został dyrektorem Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych w 2011 roku, przychylił się do moich starań i wsparł mnie. I zaczęły się rzeczywiste działania. Przyjeżdżali konserwatorzy z Krakowa i Torunia, oceniali stan mapy, pisali ekspertyzy, cała taka procedura urzędnicza... Trzeba było po prostu przygotować

przetarg na konserwację mapy. Wygrała go w 2016 roku pracownia toruńska, najlepsza w kraju, mieszcząca się na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zapakowaliśmy do skrzyni Hindenberga i wysłaliśmy do Torunia. Tam to wszystko prawie trzy lata trwało. I się udało, z niewielkim poślizgiem. Konserwacja mapy zakończyła się w 2020 roku.

A potem pojawił się pomysł – mój nie chwaląc się – by mapę zgłosić na konkurs Unesco. Już czasie pierwszej edycji, w 2014 roku, wystawiliśmy „Akt objęcia Górnego Śląska przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej” z 1922 roku. I sukces. „Akt...” został wpisany na Polską Listę Krajową Programu UNESCO Pamięć Świata. No więc napisaliśmy kolejny wniosek, dosyć obszerny. Do konkursu zgłoszono również inne, cenne zabytki. Ale mapa okazała się najbardziej medialna. Średniowieczny dokument z góry przegrywa z tak okazałym zabytkiem, jakim jest mapa Hindenberga. Chociaż początkowo specjalnie nie pasowała do kategorii źródeł „rękopiśmiennych”. Ale ostatecznie zakwalifikowano ją do konkursu – i z sukcesem w 2021 roku, w czwartej edycji – znalazła się na krajowej liście 15 obiektów dziedzictwa kulturowego Unesco. Konkursowi towarzyszyła wystawa i tu okazało się, że najbardziej widowiskowe i medialne jest właśnie dzieło Hindenberga. Bo na nim można zo-

baczyć pola, lasy, rzeki, stawy, zabudowania, zwierzęta. Miasta i wsie. Jakby cofnąć się w czasie. A to działa na wyobraźnię. A co można zobaczyć na takim dokumencie lokacyjnym, dajmy na to? Co z niego wyniesie przeciętny zjadacz chleba – niewiele. Nie rozczyta duktu pisma, to jest tylko dla fachowców. A mapa, ta może porwać każdego, kto ma wyobraźnię i się w nią wczyta, choć niektóre nazwy miejscowości są trudne do rozpoznania. Ale mapa jest, istnieje, została uratowana i zachwyca. Jest świetna marketingowo, bo każdy element z niej można właściwie wykorzystywać w promocji. I tak było, bo mnóstwo gadżetów towarzyszących wystawie Unesco – jak choćby kubki – powielalo elementy graficzne mapy – to jakieś zwierzątko, czy drzewo...

W tej chwili jako jedyna instytucja w całym województwie mamy dwa obiekty na krajowej liście Unesco. Nie może się tym pochwalić – z nieznanymi mi powodów – żadne z naszych licznych muzeów. A przecież zbiory mają przegromne i cenne. Dziwię, że na przykład takie Muzeum Śląskie nie stara się o wpis na taką listę...

– To rzeczywiście powód do dumy dla śląskich archiwistów. Ale jakie znaczenie ten wpis na krajową listę Unesco ma dla samej mapy Hindenberga?

– Przed wszystkim to uznanie wysokiej klasy tego zabytku. Za tym nie idą żadne pieniądze, poza pewną renomą. Potwierdzeniem bezcennej wartości dla polskiego i światowego dziedzictwa kulturowego. Ułatwi to jeszcze większe spopularyzowanie tego obiektu.

– Piotr, gdyby nie twój upór, to ta mapa by się po prostu rozsypała...

– Tak, sprawa zmierzała w tym kierunku. Zresztą mówili o tym na konferencji w Pszczynie toruńskie konserwatorki. Mapa sobie leżała w skrzyni raz, czy dwa razy do roku ją przeglądano – co się z nią dzieje, w jakim jest stanie, czy nie ma jakichś grzybów, czy innych robali. I z powrotem do skrzyni. I tak sobie czekała, na lepsze czasy, które na szczęście nadeszły...

– Ciężko było w ogóle przekonać warszawską dyrekcję, że warto zainwestować w ten zabytek?

– To trwało dziesięć lat prawie...

– To przekonywanie?

– Tak, bo pierwszeństwo miały skanery za pół miliona złotych...

– A jak przekonywałeś? Jakimi argumentami?

– Historycznymi. Rozmawiałem głównie ze wspomnianym profesorem Sępińskim, ówczesnym dyrektorem NDAP któremu nie musiałem tłumaczyć wartości historyczno-kulturowej tej mapy. Znał doskonale wartość zasobu archiwalnego. I gdzieś tam o mapie Hindenberga słyszał wcześniej, w latach 90., jak i o akcji jej ratowania pana Złotego. Go-



ścił nawet zdaje się na Zamku w Pszczynie, na jednym ze spotkań Bractwa Gospodarczego Związku Górnośląskiego...

– Jak się tak przypatrzeć, to w zasadzie to nie jest duża kwota, te dwieście tysięcy złotych, jakie przeznaczono na konserwację mapy. Dziwne, że w latach 90. XX w. samorządy Ziemi Pszczyńskiej – bogate skądinąd, część to przecież gminy górnicze – nie były w stanie jej zgromadzić. Przy tych milionach, które obracają, to naprawdę nie jest kosmiczna kwota.

– A jeszcze dorzuciłby się jakiś browar... Nie wyszło. Finansowanie tej akcji było w ogóle poza mną, tym zajmował się pan Andrzej. I o ile wiem, część ze środków szła na publikacje związane z mapą (przeważnie albumowe), robienie imprez nagłaśniających akcję, skanów mapy. Na to wystarczyło, na samą mapę już nie. Jak się pojawiły trochę większe pieniądze u nas – wiadomo, że w archiwach się nie przelewa, to przeznaczono je właśnie na konserwację mapy. Przedtem – jak wspominałem – pierwszeństwo miały skanery. Zresztą, ta konserwacja kosztowała tyle co średniej klasy samochód.

– To twój sukces zawodowy.

– To prawda. Choć mimo że jestem historykiem kartografii, to Hindenbergiem nie zajmowałem się naukowo, jedynie popularyzatorsko. Zawsze byłem pod wrażeniem dzieła Andreasa Hindenberga. Píše o nim obszernie litera-

tura polska i niemiecka: Johanna Kollenda, Ludwik Musioł, Józef Szaflarski, Andrzej Konias. Ale nigdy nie badałem jej szczegółowo.

– Co dalej z mapą? Czy przewiduje się na przykład rekonstrukcja cyfrowa pełnej treści mapy – w oparciu m.in. o przerysy Szaflarskiego, fotokopię z początku XX w.?

– To byłoby możliwe, ale myślimy o czymś innym. W przestrzeni cyfrowej jest odnowiona mapa Hindenberga, każdy może ją zobaczyć. Ale w wersji dwuwymiarowej. Marzy mi się coś innego – by ją, wielkoformatową – przenieść na 3D. To jest technologicznie możliwe. Ożywiłoby to treści, jakie prezentuje mapa – a więc zabudowania, uprawy, lasy, rzeki, stawy, łąki, zwierzęta... Wszystko to oglądałoby się w trójwymiarze... Te słynne wilki „żeby lotały po lasach, a nity ino stoły”. [śmiej] To nie są jakieś astronomiczne kwoty i myślę, że za kilkadziesiąt tysięcy złotych uda się ten pomysł zrealizować, niezależnie od przyszłorocznej publikacji z pszczyńskiej konferencji poświęconej mapie. Medialnie by się to na pewno „sprzedało”. Bo problem z tego typu zabytkami jest taki – chodzi o to, by „przemówiły” do współczesnego odbiorcy. Pobudziły jego wyobraźnię. Współczesna technologia na to pozwala.

– Zatem trzymamy kciuki, za mapę Hindenberga w wersji 3D. I dziękuję za rozmowę.

XVII Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O laur zawodziański”

Tegoroczna – XVII edycja ogólnopolskiego konkursu poetyckiego „O LAUR ZAWODZIAŃSKI” była organizowana przez Miejski Dom Kultury „Bogucice-Zawodzie” we współpracy z Górnośląskim Towarzystwem Literackim oraz Instytutem Myśli Polskiej Wojciecha Korfantego. Konkurs adresowany był młodzieży szkół średnich, a jego hasłem przewodnim były „AUTORYTETY”.

Jury w składzie:

- Tadeusz Sierny – prezes Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
- Tomasz Molitor – przedstawiciel Instytutu Myśli Polskiej Wojciecha Korfantego
- Kamila Gallus – przedstawicielka MDK „Bogucice-Zawodzie”

po zapoznaniu się z nadesłanymi do konkursu wierszami od 51 uczestników z całej Polski jury postanowiło przyznać 9 równorzędnych nagród.

NAGRODY otrzymali:

- Weronika Cegła z Wrocławia, pseudonim: Semper Aliud, za wiersz pt. „Wystali mnie na wojnę. Prawo łowieckie (druk 49)”,
- Karolina Skrzypska z Gdańska, pseudonim: Karia, za wiersz pt. „ode mnie dla mnie”,
- Wiktoria Białas z Piekar Śląskich, pseudonim: Rafaela, za wiersz pt. „Galeria autorytetów”,
- Maja Makowska z Mniowa, pseudonim: Sankofa, za wiersz pt. „Autorytetem”,
- Alicja Czubowska z Korsze, pseudonim: Coeur, za wiersz pt. „Lustrzane odbicie”,
- Paulina Pankiewicz z Jarosławia, pseudonim: Lilia, za wiersz pt. „Przy pomniku”,
- Helena Wagner z Warszawy, pseudonim: Dr A. Pieźnik, za wiersz pt. „Wiersz nie do recytacji”,
- Pola Santowska z Zielonek, pseudonim: Oliwier Jędrzej Bastian, za wiersz pt. „Śmierć Petroniusza”,
- Wiktor Szyliński z Rybakowa, pseudonim: wszylony, za wiersz pt. „AUTORYtet”.

Finał konkursu oraz ogłoszenie wyników ze względu na okres pandemii odbył się on-line poprzez udostępnienie protokołu z obrad jury wraz z opublikowaniem nagrodzonych wierszy w formie elektronicznej na stronie internetowej organizatora www.mdkbogucice-zawodzie.pl oraz na Fanpage’u instytucji na platformie społecznościowej Facebook.

XVII edycja ogólnopolskiego konkursu poetyckiego „O Laur Zawodziański” otrzymała Honorowy Patronat Prezydenta Miasta Katowice dr. Marcina Krupy. Laureatom konkursu zostały przyznane upominki z Wydziału Promocji Urzędu Miasta Katowice, które wraz z nagrodami ufundowanymi przez Miejski Dom Kultury „Bogucice-Zawodzie” zostały rozesłane pocztą.

Kamila Gallus

„AUTORYTETEM”

Siedzi smutno, z głową spuszczoną,
Puszkę powoli otwiera,
Odrzuca część niezbyt potrzebną,
Wypija wszystko do zera

By zapomnieć o byciu królem,
Wrzody żołądka zapija,
Pokój nazwać można barłogiem,
Jaka tej tego przyczyna?

Egoizm, o siebie zmartwienie,
Przyszłość, dobra, głów skinienie?
Czy to, że gwiazdą nie będzie,
Na niebiosach wiecznie nie spocznie?

Tak już jest na szóstkowym świecie,
Raz z diamentem się „tożsamisz”,
Za chwilę twa stolica płonie,
Z plakatów kolorowych znikasz.

Bądź godnym żyć autorytetem,
Tchnieniem niech słowa ostaną,
Wojuj umysłem, mową, piórem,
Małuj świat mapą dzierzoną.

Maja Makowska

„WIERSZ NIE DO RECYTACJI”

To prawda, Panie Brodski, że niektóre słowa łączą się tak,
jakby nam się to nigdy nie śniło
Wtedy tylko, gdy popuszczamy im cugli znaczenia
i w swobodny bieg popędzamy śliną.

To prawda, że słowa są po to, aby wybrzmieć. Nie szeptem.
Nie krzykiem. Ale czymś pomiędzy.

Biedni są ci ludzie, którzy słów nie potrafią złożyć i ułożyć tak,
by zabrzmiały, tak, by wybrzmiały własnym tylko znaczeniem.
Biedni są analfabeci, co losu zrzędzeniem znają alfabet,
a którym los poskąpił zdolności jego używania.

Ci bowiem nigdy, aż po sam grób, nie poznają słów dźwięku,
życia i umierania.

Helena Wagner

LUSTRZANE ODBICIE

Zepsucie dwudziestego pierwszego wieku

Słyszę ciągle
„Cóż za piękność”
Wierność przykładem
„Cóż za figura”
Każda powinna
„Ma miliony followersów”
Powinność dzisiejsza

I wokół mnie chaos opętany
Krzykiem dziewczęcym
Lepsze brwi, prostszy nos
Tylko lepiej, lepsze, bardziej
I tylko ciche odpowiedzi
Zrobię wszystko
Chcę być nią

A ja stoję wśród nich cichutko
Swetrem otulona
I boję się odezwać
Bo pięknem dla mnie
Nie oczu głębia, a
Pastele Degasa
Nie liczę lajków
A potrafię obliczyć prawdopodobieństwo
Swojego upadku
Bo jestem wyjęta z społeczeństwa
Nie zaczarowana pięknem zewnętrznym

Bo przecież wewnątrz słodsze
Złudnie sobie wciąż powtarzam

Alicja Czubowska

„ODE MNIE DLA MNIE”

bombardują nas nimi
z każdej strony
ciągle słyszę: *musisz być jak one*
(wcięcie w biodrze, suche dłonie
większe piersi, mniejszy brzuch)

a ja jestem przecież całkiem sprawna.

mam ręce, mam nogi, mam słuch;
mogę całować kogoś po wargach
czuć jego oddech na swoich włosach
mogę je zapleść
w luźnego warkocza;
pomiędzy sploty
mogę wetknąć kwiatka
i mogę czuć jego
delikatny zapach
mogę go nawet
zjeść
płatki po płatku
i poczuć, jak więdną
na moim języku

ciągle słyszę: *nie jesteś wiele warta*
więc tonę
w odłamkach
samej siebie

kruszę się
na posadzce w toalecie.
(pomarszczona tafla
odbija z żalnością
moje łzy)

wraz z wodą spuszczam nadzieję
bo „przecież ty
nigdy nie będziesz taka, jak one”
a ja chciałam być tylko
jak ja
nie za brzydka, nie za ładna
ot – w sam raz
z pieprzykiem na brodzie
znamionem na biodrze
bez kalkulatora w oczach
bez podrażnionego gardła

chcę się nie wstydzić
samej siebie

chcę być swoim
autorytetem.

Karolina Skrzypka

ŚMIERĆ PETRONIUSZA

Tęcza z blasku kamiennym brzękiem
pod stopy gości się sypie
zaskoczonych
Wilczyca z obcięta głową,
a pod nią jeden-już inny
chłopiec karmiony

Przyjaciele, przyznajcie, że z nami ginie...

Dziś Oktawiana, Tytusa, Hadriana
nie warto spotykać
nie wzniosą nas w Kosmos
cesarstwa mężowie
Tak krótki czas jest nauki
Ogrom zaś nowych, nieodkrytych dróg
przyznajcie, że z nami ginie...

Zapomni Europa wczorajsze sny

zbyt ważną staje się dzisiejsza jawa
z niej podwaliny Imperium Teraz
– kiedyś na jego tronie
Odoaker zasiądzie
ale dziś
nikt o tym jeszcze nie wie

że z nami ginie...

Przeszłość zamknęła
w opasle tomiska
warowni kurzu
swojego ojca wyгнаła ludzkość
chcąc rodzić dzieci

z nami ginie...

Na sympozjonie oddał nam w spadku
złote kielichy
Nikt z nich nie pije
Dobywa wody z odmętów wiedzy
nagimi dłońmi to pokolenie
Lecz nim ust dotrze ona wypłynie
ginie...

A on
choć dziś zeń zrezygnowało
coraz bliższy marmuru
bieleje
Dumny jak posąg
gdy krew spływa strugą
Rzym

Pola Santowska

PRZY POMNIKU

Zwęglone mury, zniszczone armaty.
W powietrzu unosi się zapach krwi.
Już jest po wszystkim.

Cisza.

Wśród sterty gruzów ostała się tylko białe - czerwona opaska.

(*Patrząc na pomnik*)

Być tak jak oni,
Pełni małych zwycięskich bitew codzienności.

Paulina Pankiewicz

„GALERIA AUTORYTETÓW”

Idziesz dalej własną ścieżką
Nadaną ci przy narodzinach
Rozumiesz coraz więcej
Chcesz wiedzieć czy musisz gdzieś skręcić
Naturalne
A tu nagle na rozwidleniu
Ukazuje się galeria
Galeria nowych myśli i chodów
Piosenek podróży
Ale którą by tu wybrać
Kiedy masz przed sobą całą galerię

Więc prowadzą cię przez długie korytarze
Pokazują pokryte od góry do dołu obrazami ściany:
- Codzienne obcowanie ze sztuką nowoczesną
Wnosi do życia szybki powiew oryginalności
Nieznanej przecież poprzednim pokoleniom
Państwo spojrzą tylko na reinterpretację porannego spaceru- podeptaną w porannym pośpiechu łąkę
Proszę nie zwracać uwagi na ścianę po prawej
Są tam stare kolaże z pism katolickich
Niedługo powinny zniknąć z wystawy
Za to zachwyty powinien wywołać
U państwa ten wspinały autoportret
Autor dokleił uśmiech tak starannie
Że już trudno dojrzeć pod nim obrzydzone życie grymas
Dalej tymi wykrzywionymi artystycznie schodami
Dojdziemy do najnowocześniejszej części galerii
Tu zobaczyć można nasze arcydzieło:
stworzoną z odzysku „Kobietę nowoczesną”
- Nie ma ona trochę rysów św. Agaty*?
- Miała ale oczy daliśmy jej Magdaleny** a przez nie i duszę

Posłusznie dajesz się prowadzić dalej
Oni pokazują ci coraz to inne dzieła
Wzory najdoskonalszego kunsztu
A ty który chciałeś tylko wskazówek
Jak dalej biec tą swoją ścieżką
Przypatrywać się musisz „Napoleonowi poddanemu”
Pochylać się by zobaczyć „Wielkich geniuszy”

I oddać cześć podniesionym z ziemi upadłym moralnościom
Depczesz krok w krok za przewodnikami
Posłusznie po pozostałościach zdrapanej farby
Z portretów matek- opiekunek rodów

Dajesz się prowadzić coraz dalej dalej
Starając się zrozumieć te nowsze ciekawsze
Sposoby na życie wędrownika

Bierzesz więc jedno z dzieł
By dalej się w podróży nie zatrzymywać
Wychodzisz na ścieżkę
Zadowolony z nowego towarzysza
Dumnie wiszącego nad sercem

Szczęśliwy idziesz dalej
Widzisz przed sobą prostą drogę
Ku jej kresu wieczną radość
Ale czujesz jak nowy wzór towarzysz przewodnik
Swoim wielkim ciężarem przechyla cię w bok
I już jesteś na nowej
Krętej od zmartwień
I trudów ścieżce nowoczesnej

Wiktoria Białas

WYSŁALI MNIE NA WOJNĘ. PRAWO ŁOWIECKIE (DRUK 49)

Wysłali mnie na wojnę
Stworzenie bogobojne
będę walczyć i polować,
nigdy matki nie całować.

Do domu mam wracać późno,
przykryty szarością różną,
zmieszany z błotem, pod wiekiem,
Czy ja wciąż jestem człowiekiem?

Każą mi zwierzynę zabić, mówią:
- Od dziś tak się będziesz bawić!
Krew na rękach zmywać nocą,
nikt nie przyjdzie Ci z pomocą.

Więc znaj swoje miejsce w masie,
Trwaj w pokorze - nie w hałasie,
Trwaj! Ku śmierci patrz jak trzoda,
Nie uniknie Cię nagroda!

Strzelbę w ręce załadują,
Lecz po palcach nie całują,
Z lęku, że wzrok swój zobaczą,
Nawet w oczy me nie patrzą...

Każą mi człowieka zabić! Mówią:
Od dziś tak się będziesz bawić.
Bez mrugnięcia, bez litości,
- Ku czci świata i ludzkości!

W mym umyśle krzepną myśli
Zdarte piętna nienawiści;
Od młodego los mój stały,
więc skąd biorą się koszmary?

Gdzie jest matka ukochana?
Gdzie za grzechy moje kara?
Gdzie jest ten, co karygodnie
zsyła na mnie własne zbrodnie.

Gdzie ten Bóg, co moje ręce
do modlitwy składa wdzięcznie,
na lufcikach, dubeltówkach,
na sztucerach i wiatrówkach!

Gdzie ten Bóg, co moje oczy,
Ciągnie wciąż w stronę przemocy...
Gdzie jest Pan Bóg, co przebacza?

Błądzi człowiek
i rozpacza.

Weronika Cegła

AUTORYTET

Bóg Adama
Ewę grzech
Homer lilię
Platon mnie
Gall kronikę
Dante śmiech
Mona Vinci
Drukenberg

Darwin myśli
Otto silnik
Elon Tesłę
Elon SpaceX
mama też mnie
tata też mnie
Każdy z nas coś tworzy
Każdy z nas być może
Wiktor Szyliński

* św. Agata – jedna z najszlachetniejszych dziewic, męczennic chrześcijańskich

** Maria Magdalena – postać biblijna, Jezus wyrzucił z niej siedem złych duchów,
często utożsamia się ją z ewangeliczną cudzołożnicą



Jo ci przaja!

JAN MIODEK

Tak się złożyło, że przeczytałem ostatnio dwie książki z Górnym Śląskiem w tle i z cytatami gwarowymi. W pierwszej z nich znajduję fragment: „Czasem iść do powstania kazał ojciec, zarządzał, że się ubieramy, cała rodzina idzie się bić. *I niy mo godki*”. Do ostatniego zdania wkraść się fonetyczny błąd: autentyczne brzmienie gwarowe to *niy ma godki* – z samogłoską „a” w zaprzeczonym czasowniku *nie ma*. Oczywiście: *ni(y) mo czasu, ni(y) mo klucza, ni(y) mo ojca, ni(y) mo chałupy, ni(y) mo kamrata*, ale *ni(y) ma godki* – tak jak *ni(y) ma o czym godać, ni(y) ma co robić, ni(y) ma go w doma, ni(y) ma le(k)ko czy ni(y) ma mu gany* – „jest niebrzydki, nic mu nie brakuje” (ostatni przykład ze str. 160 „Słownika gwary śląskiej” Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich z roku 1996). A zatem: gdy *nie ma* = „łac. non habet, nie posiada”, wygłosowe „a” słycać w gwarach jako „o”: *ni(y) mo czasu*; gdy *nie ma* = „łac. non est, nie jest”, „a” barwy nie zmienia: *ni(y) ma godki*. Dla osób biegle mówiących gwarą ta różnica jest oczywista. Nie wymaga też ona żadnego uzasadnienia teoretyczno-historycznojęzykowego. W dzisiejszym odcinku warto je jednak przywołać.

Zacząć trzeba od przypomnienia zjawiska tzw. iloczasu, czyli funkcjonowania w języku samogłosek długo i krótko wymawianych. Czeszczyźnie znane jest ono do dziś. W języku polskim natomiast, który też odziedziczył iloczasy z czasów prasłowiańskich, po XV wieku zaczęto samogłoski artykułować jednakowo pod względem czasu ich realizacji, ale za to utrwaliła się różnica co do ich barwy: oto dawne długo wymawiane „a” zmieniło się w „o” (najpierw na przykład *czytaał, wiedziaał*, później *czytoł, wiedzioł*), dawne długie „e” przeszło w „i”, „y” (najpierw *chleeb, seer*, później – *chly(i)b, syr*), a dawne długie „o” – w „u” (najpierw *mooj, wroog, stooł*

– dziś *mój, wróg, stół* wymawiane „muj”, „wrug”, „stuł”). Samogłoski krótko wymawiane barwy nie zmieniły: dawniej *czytała, wiedziała* – i potem *czytała, wiedziała*, dawniej *chleby, sery* – i potem *chleby, sery*, kiedyś *moja, wroga, stołu* – i potem *moja, wroga, stołu*.

Z języka ogólnego (literackiego, standardowego) pochylone „a” wymawiane jak „o” zaczęło znikać od XVII stulecia, pochylone „e” realizowane jak „i”, „y” – ostatecznie się wycofało dopiero w wieku XX (nawet w języku inteligencji małopolskiej utrzymywało się jeszcze po ostatniej wojnie), natomiast wymowa dawnego długiego „o” jako „u” zyskała status normy fonetycznej – tak jak pisownia „ó”. Skodyfikowane są więc dzisiaj postaci: *czytał, wiedział, chleeb, ser* oraz *mój, wróg, stół* artykułowane jako „muj”, „wrug”, „stuł”.

Osoby gwary nieznające myślą, że zamiana „a” na „o” zawsze przyniesie stylizacyjny efekt, czego efektem są chybione brzmienia typu „godoła”, „czytoła”, „wiedziola” zamiast *godała, czytała, wiedziała* – tak jak zacytowane *niy mo godki* zamiast *niy ma godki*. W tym ostatnim *niy ma* „a” było zawsze krótko wymawiane, nie mogło dlatego przejść w wymowie w „o”! Co innego z „a” w zwrotach typu *nie ma czasu, nie ma ojca czy nie ma klucza*. W nich „a” jest kontynuacją dawnego „a” długiego, czyli potem ścieśnionego – do dziś w gwarach realizowanego jako „o”: *ni(y) mo czasu, ni(y) mo ojca, ni(y) mo klucza*.

Dużo gorzej jest z pochyleńiami w drugiej książce. Także w niej znajduję konstrukcję z błędnym „o” w przeczeniu *nie ma* „nie jest”: „Już ni mo nadziei. Żodyn z dwunastu nie przeżył wybuchu”. Oczywiście: *on ni mo nadziei, Zefel ni mo nadziei, siostra ni mo nadziei* – w zdaniach, w których orzeczenie *ni mo* = „nie posiada” połączone jest z podmiotem (*on, Zefel, siostra*),

ale tylko *ni ma nadziei* w zdaniach bezpodmiotowych.

Trzy razy zirytowało mnie fałszywe pochylenie w zdaniach: „Aniołku mój, jo ci przoja”, „Jak jo ci przoja, syneczku”, „Tyłko jo ci tak przoja”. – Tak, kontynuanty dawnego „a” długiego – wymawianego jak „o” – mamy w formach *przoć i przoł*, ale nikt mówiący gwarą nie stworzy postaci „przoja” w 1. osobie liczby poj. czasu teraźniejszego! Tę różnicę potwierdza przykład z „Małego słownika gwary Górnego Śląska” Bożeny Czastki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec z roku 2000: *Hanuś, jak jo ci PRZAJA, i zawdy byda PRZOŁ* (podkr. moje – J.M.).

Opaczne pochyleńia mamy w kolejnych czasownikach: „Jakem ją łostatni raz widzioła”, „Co zech mioła nie poznać”, „Zech słyszioła”, „I zech chcioła tam iść. W pierwszym z przytoczonych zdań *jakem* zamieniłbym na częstsze w gwarach śląskich *jakech*, no a w ostatnich dwu formach najpierw powinno być „o”: *roz*, a potem „a”: *widzioła* – tak jak *miała, słyszioła i chcioła* w następnych konstrukcjach żeńskich czasu przeszłego. W formach męskich natomiast powinno być „o”: *dowoł i fuloł*, a nie „Ni-gdy mi nie dawoł gyszynków” i „Chop jej tak fulał”. Upominam się o brzmienie „o” również w przymiotniku rodzaju żeńskiego *gryfno: gryfno mosz ta treska*, a nie – jak w książce – „Gryfna mosz ta treska”. Trudno też nie zauważyć niekonsekwencji fonetycznej w jednym zdaniu: „Jo bych (...), ja bych”. Oczywiście, powinno być *jo bych*.

Najbardziej mnie jednak powaliło zdanie: „To jest to łono drzywo – mówioła, mocno ścieśniając głoski”. – „Królestwo za konia!” – to jeden z najbardziej znanych cytatów literackich (z „Ryszarda III” Szekspira). Trawestując go, zawołam: królestwo za potwierdzenie fonetycznego wariantu *drzewa* w postaci ścieśnionego „drzywo”!!!



MIĘDZY
CISZĄ
A
HAŁASEM



MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Ucieczka do Wisły

Wśród mieszkańców Żyrardowa wiedza i pamięć o Pawle Hulce-Laskowskim u schyłku lat 80., a zarazem jeszcze przed polską transformacją, była dla mnie, kilkukrotnego gościa w tym mieście – wręcz imponująco wysoka. Może było to zasługą moich przyjaciół etnologów, prowadzących w tej przestrzeni badania i pobudzających do refleksji nad lokalną przeszłością, nad wieloma aspektami ich *orbis interior*. Wielu też mieszkańców z szacunkiem mówiło o wspomnianej postaci wybitnego tłumacza sławnego dzieła Jaroslava Haska „Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej” (czyli owe „Osudy dobrého vojáka Švejka za světové války”). Lecz nie ograniczali swojej wiedzy tylko do tego dokonania Hulki-Laskowskiego. Znali jego dzieła także na innych polach i z zaangażowaniem odwoływali się do tego, że ich sławny krajan opuścił po II wojnie światowej ich miasto – i jak niektórzy mówili – „uciekł” od otaczającego go zła do „ewangelickiej Wisły”.

Schronił się tam w sierpniu 1945 roku wskutek panującej w Żyrardowie atmosfery niechęci, a nawet wrogości wobec obcych. Nawet Hulka-Laskowski, który tyle dokonał dla Żyrardowa jawił się nagle jako „obcy”. Bo przecież był z pochodzenia Czechem, a na dodatek ewangelikiem, a być może nawet w latach wojny kolaborantem okupantów. Zapomniano o tym, że w 1940 roku był brutalnie przesłuchiwany na warszawskim Pawiaku. Wtedy to przesłuchujący go Niemiec zachęcał, aby podawał się za Czecha, a nie za Polaka. Tylko wtedy będzie lepiej traktowany i zwiększy swoją szansę na uwolnienie. Hulka kategorycznie odmówił. A już wówczas był schorowany, nie tylko na postępującą głuchotę, ale i uciążliwe bóle serca. Nie zgodził się na propozycję Niemca. Dlaczego? Bo czuł się patriotą, swoje życie wią-

zał z polskością. A jego światem był wieloetniczny Żyrardów.

Tam przyszedł na świat 25 czerwca 1881 roku i to w typowej żyrardowskiej rodzinie robotników włókienniczych. Jego zdolności sprawiły, że po ukończeniu szkół dzięki wsparciu rodu Dittrichów wyjechał na studia do Heidelbergu. Tam studiował w latach 1903-1908. Wzrastał w „heidelbergowskiej” atmosferze filozofii przełomu wieków XIX i XX. I tu dodajmy jeszcze jedno. Na tej uczelni zetknął się z ideą „teologii liberalnej”. I konsekwentnie propagował ją później z zaangażowaniem w rodzinnym Żyrardowie. Mówił: „Nie myślałem nigdy o nawracaniu katolików. Kocham ich takimi, jakimi są, bo są to bracia nasi”. Po zakończeniu studiów na krótko zamieszkał w Grodzisku Mazowieckim. Po roku powrócił do rodzinnego miasta. Rozpoczął się niezwykle płodny okres w działalności Hulki-Laskowskiego.

Biografowie informują, że był nie tylko tłumaczem z literatury czeskiej, ale i niemieckiej, angielskiej i rosyjskiej. W owym czasie współpracował także z różnymi pismami, jak „Echo Literackie”, „Sfinks”, nawet „Bluszczy”. W czasie I wojny światowej współorganizował Klub Robotniczy i wytrwale prowadził kursy oraz wykłady dla pracowników fabryki. Natomiast w 1920 roku został referentem prasowym przy poselstwie polskim w Pradze. Natomiast zaraz po powrocie do Żyrardowa zaangażował się w kampanię medialną przeciw francuskiej firmie Marcela Boussaca; uparcie piętnował jej nadużycia finansowe i wyzysk żyrardowskich robotników. Był zatem społecznikiem i animatorem kultury, a zarazem samotnikiem i bibliofilem. Przykładowo prof. Jadwiga Konieczna obliczyła, że jego księgozbiór liczył ponad 3000 dzieł. Po spotkaniach z Haskiem, zaczął poważnie myśleć o tłumaczeniu głównego dzieła czeskiego

pisarza. Zarówno fascynacja tekstem, jak i jego typowa postawa antywojenna zadecydowały o katorżniczej pracy nad przygodami Szwejka. Wytrwała praca społecznikowska, oświatowa i literacka przerwała II wojna światowa.

Dla Niemców był osobą podejrzaną, na swój sposób niebezpieczną. Stąd wspomniane aresztowanie i pobyt na Pawiaku. Te lata były trudne, biedne. Ale moment szczególnie nastąpił po II wojnie światowej. Jego dramatem osobistym był wraz ze zniszczeniem miejskiego cmentarza. Dla pisarza Żyrardów już nie był jego światem. Córka Laskowskiego, Elżbieta, zapamiętała to wydarzenie następująco: *W pierwszych dniach po ucieczce Niemców tutejsi „aktywni patrioci” uważali, że muszą jakoś zmanifestować swoją miłość do ojczyzny, dzielność i odwagę. [...] Przyszła kolej na „niemiecki cmentarz”, choć wcale nie był on niemiecki, bo grzebano na nim zmarłych wszystkich wyznań chrześcijańskich z wyjątkiem rzymskich katolików. Chowano więc tam katolików z kościoła narodowego, prawosławnych, baptystów, luteran, adwentystów. Thumek energicznie tłukł pomniki i kamienie nagrobne. Z tego powodu schorowany Laskowski wyprowadził się w sierpniu 1945 roku z Żyrardowa do zamieszkałej głównie przez ewangelików Wisły. Tu pisał słynne dzieło „Księżyc nad Cieszynem (wspomnienia z lat niewoli i dni wyzwolenia), wydanej rok później. Pisywał też do śląskich gazet, także katowickiej „Trybuny Robotniczej”. Ciekawe informacje o tym okresie pisarza przekazała mi w święta wielkanocne 1978 roku Maria Pilch, nauczycielka i pisarka, znawczyni swej ziemi. Zwłaszcza pamiętała to, że mówił, że „Polska znów się odrodzi, tak jak po 1918 roku, kiedy musiała dokonać scalenia mentalności Polaków z trzech zaborów”.*

Odszedł w nowej małej ojczyźnie 29 października 1946 roku. ■

Pierwsze dni nowej wolności

JAROSŁAW KAPSA

Dla jednych było to wyzwolenie, dla innych początek nowej okupacji. Ta różnica postrzegania nadal jest widoczna. Zmieniona została nazwa ulicy 16 stycznia na neutralną Kiedrzyńska; zdemontowano trzy duże pomniki „wdzięczności Armii Czerwonej”, tablicami uczczono „żołnierzy wyklętych” kontynuujących walkę z okupantem. Jednocześnie miejscowa lewica organizuje uroczystości w rocznicę „wyzwolenia”, służby miejskie dbają o groby „czerwonoarmistów” na cmentarzu Kule, składane są kwiaty pod wznoszącym się nad grobami pomnikiem z czerwoną gwiazdą. Grupa pasjonatów historii odtworzyła możliwie najdokładniej przebieg walk na ulicach Częstochowy 16 stycznia 1945 r., składając hołd heroizmowi zwykłych żołnierzy, dzięki którym ocalało miasto i Klasztor Jasnogórski.

Nie jest rzeczą prostą opowiadać o przeszłości. Pamięć jest przymiotem indywidualnym, a próba narzucania pamięci zbiorowej bywa ideologicznym gwałtem. Możemy jedynie próbować koraliki faktów nanizać na sznureczek, próbując zrozumieć i licząc się z wątpliwym skutkiem.

Była zima, ostra i śnieżna, temperatura spadała poniżej -20 stopni. Od dłuższego czasu brakowało opału, by ogrzać domy, miasto było przemarznięte i wygłodniałe. Najlepsze domy zajmowała niemiecka administracja, od jesieni 1944 r. Częstochowa pełniła funkcję stołeczne dystryktu radomskiego, powodowało to napływ urzędników, policjantów, kwatermistrzów itp. cywilnej służby okupacyjnej wraz z rodzinami. Miasto było ważnym węzłem kolejowym, więc wyznaczono mu rolę twierdzy „festung Czenstochau”; mimo tego żołnierzy było mniej niż niemieckich urzędników z rodzinami. Oprócz wojskowej formacji broniącej kolei, była szkołka podoficerska, gdzie 50-latkowie szkolili kilkunastoletnie dzieci; były też oddziały pomocnicze tworzone z Rosjan, Ukraińców, Turkmenów i innych ludów z ZSRR. Przewidywano, że atak sowiecki



Na częstochowskim radzieckim cmentarzu wojennym spoczywają zarówno oficerowie odznaczeni najwyższymi sowieckimi orderami (na zdjęciu grób kapitana Aleksandrowa, Bohatera Związku Radzieckiego)... Fot. Tomasz Bierek

skierowany zostanie przez Jurę na Śląsk, podobnie jak ofensywa jesienią 1914 r.; fortyfikowano więc linię biegnącą od Rudnik, przez Olsztyn i dalej, grzbieciem wyżyny, na Kraków.

„12 stycznia zostałem wezwany telefonicznie do stawienia się w starostwie. Sądziłem, iż chodzi o jakieś zaniechania służby drogowej, i byłem bardzo zaskoczony, gdy Schmidt zwrócił się do mnie z żądaniem natychmiastowego dostarczenia trzech tysięcy ludzi do kopania okopów. Z tonu i widocznego podenerwowania zorientowałem się, że sprawa jest pilna i Niemcy przywiązują do niej dużą wagę, łączą się pewnie z jakąś nową sytuacją na froncie”¹ – wspominał polski burmistrz Częstochowy Stanisław Rybicki. Ponieważ wezwanie spotkało się z biernym oporem mieszkańców, w łapance przeprowadzonej 13 stycznia w obozie dla wysiedleńców na ul. Chłopickiego zatrzymano kilkadziesiąt osób. Kolejne łapanki organizowano w centrum miasta do 16 stycznia. Od listopada 1944 r. rozwieszono na mieście plakaty zachę-

cały Polaków do wspólnej z Niemcami „walki z żydowskim bolszewizmem”; nie przynosiło to efektów w postaci napływu ochotników. 16 stycznia niemiecki starosta zwołał zebranie polskich przedstawicieli urzędów i zakładów, bez obecności na nim burmistrza Rybickiego. Spotkanie przerwał nalot bombowy. Gdy Rybicki wrócił ze schronu odezwał się telefon. Dzwoniono z magistratu, że w alejach pokazał się pierwszy czołg radziecki².

Dzień 16 stycznia 1945 roku w ekspozyturze gestapo i urzędzie Illmera nie różnił się od poprzednich. Jak zwykle około godz. 8 sprowadzono na przesłuchania grupę więźniów. Nic nie zapowiadało gwałtownego rozwoju wydarzeń. W godzinach przedpołudniowych zakotłowało się w siedzibie gestapo. Przerwano przesłuchania. Niemcy otrzymali informację, że do miasta zbliżają się radzieckie czołgi. Funkcjonariusze gestapo spiesznie pakowali dokumenty. Niektóre z nich więźniowie na rozkaz znosili na dziedzińiec, gdzie je palono. Palił się też grunt pod nogami funkcjonariuszy gestapo. Nie zdążyli rozstrzelać więźniów. Kobiety zwolnio-

¹ S. Rybicki, „Pod znakiem lwa i kruka”, Częstochowa 1965, s. 317.

² Rybicki, s. 318.



...jak i zwykle sanitariuszki – mogiła T.M. Smorkalowej, która poległa mając 23 lata

no w godzinach południowych, nieco później, kiedy już w mieście toczyły się walki, wypuszczono również mężczyzn. Siedziby gestapo przy ulicy Kilińskiego 10 i w Alejach NMP opustoszały³.

Wczesnym rankiem linię obrony niemieckiej na Pilicy przełamał 7 batalion płk. Siemiona Chochriakowa, wspierany przez fizylierów dowodzonych przez kpt. Nikołaja Goriuszkiną. Batalion czołgów minął Świętą Annę, stoczył krótki bój pod Mstowem, przez Jaskrów i Wyczerpy wkroczył do miasta. Około godziny 14 czołgi znalazły się już w rejonie ulic Kiedrzyńskiej i Warszawskiej. Pierwszą reakcją Niemców na wieść o zbliżaniu się czołgów radzieckich była paniczna ucieczka. Uciekali przede wszystkim funkcjonariusze policji wszelkich rodzajów, pracownicy starostwa, urzędu pracy i innych niemieckich instytucji. Uciekali, każdy jak mógł, samochodami, wozami konnymi, rowerami i pieszo. Żołnierze niemieccy stawiali rozpaczliwy opór, skierowano do walki zdadne do boju czołgi, młodzi elewi szkoły podoficerskiej strzelali z „panzerfaustów”. W walce płk Chochriaków stracił kilka czołgów. Walki toczyły się na Alejach oraz w okolicach dworca „Stradom”, gdzie stał transport niemieckiego uzbrojenia. Wieczorem nadeszły posiłki radzieckie z 54 gwardyjskiej brygady pancerniej. Niemcy zostali wyparci na zachód.

Między rzeką Pilicą a płynącą przez Częstochowę Wartą, w lasach północnej Jury ukrywało się szereg oddziałów partyzanckich. Oddział AL, tzw. brygada im. gen. Bema, dowodzony przez Bolesława Hanicza-Borutę, za pośrednictwem radzieckich „skoczaków” nawiązał kontakt z atakującą Armią Czerwoną, przyłączając się do ofensywy. Trudniejsza była sytuacja AK-owców. W pobliżu Żłotego Potoka był teren przygotowany do odbioru zrzutów; tu lądowała w święta Bożego Narodzenia aliancka misja „Freston”

skierowana przez płk Duane Tyrrel Hudson ps. „Bill”. Anglikom udało się spotkać z ostatnim Komendantem Głównym AK gen. Leopoldem Okulickim „Niedźwiadkiem”; po wkroczeniu Armii Czerwonej zostali aresztowani w dworze w Żytynie. Po pobycie w areszcie w Żłotym Potoku, przetransportowano ich do częstochowskiego więzienia. Dzięki interwencji rządu brytyjskiego zwolniono ich 12 lutego. W więzieniu żłopotockim Anglicy spotkali por. Stanisława Bączyńskiego „Basa”, który dowodził oddziałem przyjmującym misje na ładowisku. „Basowi” udało się uciec; został ponownie aresztowany w marcu w Korwinowie, kilka kolejnych lat spędził w częstochowskim więzieniu. Aresztowany został także dowódca 74 pułku piechoty AK mjr Mieczysław Tarchalski „Marcin”; po zatrzymaniu wywieziony został na Syberię. Swoje odczucia z dni wyzwolenia wspominał M. Koral (występując w książce jako „Michał”); Pewnego dnia przybył do Częstochowy. Podjął decyzję o ujawnieniu się. *Że ma dość wojny. Biuro ujawniania żołnierzy AK w rejonie Częstochowa, prowadził wtedy jego dowódca, pułkownik „Prawdziec”. Nie był sam – kiedy przyszedł Michał, byli u niego kapitan Leon Kozłowski i porucznik Jerzy Krupiński. Obaj znali Michała. Leon był dowódcą Szarych Szeregów, a porucznik, pseudonim „Ponury”, dowódcą słynnej partyzantki. Rozmawiali długo. Rozmowę zakończył pułkownik Prawdziec. – Myślę, że masz rację, powinienes iść na studia, powinienes się ujawnić... ale pamiętasz co ci powiedziałem kiedyś? Oni nie są lepsi od Niemców. Oni nie dadzą nam żyć. Oni się boją takich jak my. Przez nas nie mogą rządzić Polską. Zastanów się dobrze nad swoją przyszłością⁴. Dość wojny mieli także żołnierze NSZ, którym nie udało się ewakuować z Brygadą Świętokrzyską. Wspominał ich do-*

wódca Władysław Kołaciński „Żbik”⁵: *Ciągnęliśmy lasami i wertepami, omijając osiedla, aby nie spotkać się z bolszewikami lub komunistami, którzy onieśmieni bliskością towarzyszy wyłazili teraz odważnie na światło dzienne. Po lasach, po wsiach pełno niemieckich rozbitków. Niektórzy zrezygnowani i złamani, oddawali broń bez oporu. Inni, szczególnie SS, bronili się jeszcze. Przemykając się między oddziałami sowieckimi, wyczerpani wielodniowym marszem nocami, wśród śnieżnej zawiei żołnierze „Żbika” dotarli do wsi Kijów. O wyznaczonym czasie stanął dwuszerog obdartusów, nędzarzy (...). Począłem przemawiać do żołnierzy. Drżał mi głos, stopniowo załamywał się, aż słowa ugrzęzły w krtani...”* Tak nastąpiło rozformowanie oddziału. Przebrani w chłopskie ubrania z drzemiącymi pod marynarkami pistoletami, bez świstków, dokumentów leśni żołnierze rozeszli się do domów. Do większości „leśnych” nie miał szans trafić rozkaz gen. Okulickiego o rozwiązaniu AK; rozkaz podpisany 19 stycznia w Częstochowie.

Zbigniewa Wiltosińskiego dzień „wyzwolenia” zastał w Częstochowie przy ulicy Handlowej (dziś Korczaka). Tam spotkał pierwszego radzieckiego żołnierza w czapce uszance z czerwoną gwiazdą, który najpierw łamanym językiem niemieckim, a potem podobnym polskim, pytał o komendanta, a jak go nie ma, to czy „wodku imiejetie...”. Strzelanina w mieście budziła strach, ale gorsze było zimno i głód; ratował się szabrowaniem desek na opał i gotowaniu na nich wody z mąką razową. Rankiem 17 stycznia przyłączył się do tłumu częstochowian rabujących budynek starostwa niemieckiego przy ul. Sobieskiego. Wychodzili z niego ludzie niosący na rękach i na plecach różne toboły i worki. *Wszedłem do tego budynku, podniosłem porzucony niemiecki pistolet maszynowy (MP) i z niego z wielką przyjemnością wywaliłem cały magazynek w portrety jeszcze wiszących na ścianie zniemawidzonych Hitlerów i Franków⁶. Z budynku starostwa Wiltosiński udał się na Aleje. Na jezdniach leżał porzucony przez Niemców sprzęt, na chodnikach szkło wypadnięte z okien w wyniku detonacji i wstrząsów. W alei NMP płonęły budynki, pierwszy płonący bliski ulicy Śląskiej, była siedziba gestapo i SS. W III Alei blisko parku także płonący budynek policji, przed nim dwa albo trzy spalone sowieckie czołgi”. Na skrzyżowaniu Alei i al. Wolności Wiltosiński dostrzegł zniszczony czołg niemiecki, obok zwłoki osób cywilnych. Prerażający widok zabitych trzymających się za ręce, dorosły mężczyzna i 12 letni chłopiec, z ich skromnego ubioru*

⁵ W. Kołaciński, „Między swastyką a czerwoną gwiazdą”, s. 210.

⁶ Zbigniew Wiltosiński – wspomnienia, maszynopis w posiadaniu autora.

³ J. Pietrzykowski, „Tajemnice archiwum gestapo”, Katowice 1989, s. 6.

⁴ M. Koral, „Marumbele. Z Szarych Szeregów na Czarny Łąd”, Częstochowa 2006, s. 126.



Niemcy latem 1944 nadali Częstochowie status „miasta-twierdzy”, które miało być bronione do ostatniego żołnierza.
Na zdjęciu niemiecki schron obserwacyjno-wartowniczy w rejonie stacji kolejowej Częstochowa Raków. Fot. Tomasz Bienek



Mogiła radzieckich czołgistów poległych podczas zajmowania miasta, znajdująca się na częstochowskim cmentarzu Kule. Fot. Tomasz Bienek



Wśród czerwoarmistów pochowanych w Częstochowie spoczywa kapitan Władimir Aleksandrowicz Suszczinski, uznany operator filmowy, który dokumentował walki o miasto. Niewiele ponad miesiąc później poległ nagrywając materiał podczas walk na przedmieściach Wrocławia; do tragicznej legendy przeszły okoliczności tego zdarzenia – upuszczona przez operatora kamera nadal pracowała, nagrywając dalszy przebieg wypadków. Fot. Tomasz Bienek



wywnioskowałem, że to byli nasi Polacy. Z obozu koncentracyjnego umiejscowionego obok zakładów metalurgicznych „HASAG” wyszła spora ilość Żydów, wynędzniałych w łachmanach, ich wygląd wzbudzał współczucie /.../ Czerwonoarmiejcy prowadzili w eskorcie Niemców jeńców z rękami podniesionymi w górę, co chwila objani i kopani przez naszych i Żydów. Konwojujący Rosjanie nie reagowali i nie zabraniali tego bicia i wtedy należnej zemsty. Nadszedł następny konwój jeńców z rękami w górę, podbiegło do nich kilkunastu z przyglądających się, zatrzymało konwój, obalili jeńców bijąc i kopiąc niemiłosiernie, jeńcy zaczęli krzyczeć rozpaczliwie po niemiecku o litość, a kilku z nich krzyczało i po polsku, tak po polsku: Boże ratuj, mamusi ratuj mnie... /.../ Pepesze Rosjan znalazły się w rękach naszych, krótkimi seriami po przyłożeniu do ucha, aż mózg i krew fontanną bryzgały na jezdnie /.../ i jeszcze drgających układano kopniakami.

Trupy Niemców leżały kilka dni na Alejach. Gdy mróz trochę zelżał pogrzebano je na cmentarzu „jenieckim” przy ul. Brzeźnickiej. W 1971 r., gdy budowano „Wykromet” grób zbiorowy przeniesiono na cmentarz Kule, nie oznaczając miejsca pochówku. Szacowano ilość zwłok na ok. 1,2 tys. Ilu z nich było żołnierzami, a ilu cywilami, tego nie wiemy...

Wojna znieczulała. Pamiętano uliczne egzekucje, pamiętano masowe wymordowanie lokalnej inteligencji w 1940 r. Widziano straszny los ludności żydowskiego pochodzenia, okrucieństwo zagłady blisko 40 tys. mieszkańców getta. Mieszkańcy Częstochowy byli także świadkami zagłady jeńców radzieckich w obozie na Złotej Górze. Odruch zemsty nikogo nie dziwił...

Z liczącej przed wojną 130 tys. mieszkańców Częstochowy, wojnę przetrwało ok. 103 tys. Straty demograficzne uzupełnił napływ nieszczęśliwych: wysiedlonych z Poznańskiego, uchodźców ze spalonej Warszawy, uchodźców z kresów wschodnich. Stało się nasze miasto punktem przejściowym. Utworzono tu, chroniący blisko 6 tys. ludzi, ośrodek dla Żydów ucalałych z Zagłady. Dawny niemiecki Obóz Pracy służył jako punkt pomocy w wielkiej wędrowce ludów; wracali jeńcy włoscy, angielscy itp. z umieszczonych w centralnej Polsce łagrow, z Niemiec powracali polscy jeńcy wojenni i przymusowi robotnicy. Obóz na ul. Chłopickiego zapewniał im wyżywienia, nocleg pod dachem, kąpiel, dezynfekcję zauszzonej odzieży.

Do czerwca 1945 r. Częstochowa była traktowana przez dowództwo wojsk sowieckich jako istotny punkt zaplecza frontu. Uruchomiono tu 30 szpitali dla rannych na froncie. Ogółem na potrzeby Armii Czerwonej zajęto 220 budynków i ok. 2 tys. kwater. Rodziło to dodatkowe dolegliwości dla mieszkańców.

Anna Kościelna, w czasie wojny szefowa Wojskowej Służby Kobiet, będąc w ósmym miesiącu ciąży, została wyrzuciona na bruk, bo jej rodzinną kamienicę przy ul. Lelewela zajęto na potrzeby Armii Czerwonej. W 1943 r. Niemcy wyprowadzili kilka tysięcy mieszkańców z kwartału między Alejami a ul. Sobieskiego, tworząc tam „niemiecka dzielnicę”. Po „wyzwoleniu” mieszkańcy nie mogli tam wrócić; ich domy zajęli Sowici. Komendantura garnizonu próbowała utrzymać dyscyplinę wojskową, ale było to zbyt trudne zadanie wobec zdemoralizowanych wojną żołnierzy. Córka Zofii Kossak Anna Szatkowska opisuje w wspomnieniach strach towarzyszący wędrowce do domu przy parafii św. Barbary. W parkach miejskich przesiadywali sowieccy „ozdrowieńcy”, dla rozrywki polowali na przechodzące kobiety. Opis gwałtu na podwórku kamienicy przy ul. Sobieskiego znajdziemy także w wspomnieniowej książce Marka Hłaski „Cmentarz”. Prezydent miasta Wolański w telefonogramie do ministerstwa administracji informował: w okresie od 16 I do 20 VII 45 r. Armia Czerwona dokonała: 22 zabójstwa, 50 uśmiał, 32 zranienia, 11 gwałtów, 136 kradzieży, w tym ukradziono 80 rowerów, 200 zegarków, obrabowano 200 mieszkań. Liczba tych przestępstw była zaniżona, poszkodowani nie mieli do kogo zgłaszać swoje skargi. Milicja dopiero się organizowała, niedostatecznie uzbrojona i doposażona bała się podejmować interwencję.

Na całym terenie naszego K-tu (Komisariatu) jest bardzo dużo wojska rosyjskiego, które robi po nocach awantury strzelając. My nie możemy chodzić na nocne patrole, gdyż żaden nie wróciłby. Więc jak dalej pełnić służbę, gdy Woj. Komenda Ros. nie będzie nam pomagała i nie będzie wysyłała patroli. Ruscy w dzień naszych zaczepiają, a w nocy już się nie mówi. Więc proszę Ob. Komendanta o rozpatrzenie tej sprawy, gdyż jak tak dalej pójdzie, to na komisariacie będziemy przez nich atakowani – raportował ppor Molisiak z III Komisariatu MO.

Dzisiaj upływa 2 tygodnie od wkroczenia wojsk sowieckich do Częstochowy, mimo to strona gospodarcza naszego miasta bardzo cierpi. Sklepy, hurtownie, wiele biur i instytucji w dalszym ciągu pozamykane. Wiele z tego ucierpiało na skutek działań wojennych, inne uległy zdemolowaniu przez tłum, a pozostała reszta dopiero się organizuje. (...) Nierzadko również widzi się maszerujące ulicami miasta oddziały Volksdeutscherów, jako przymusowych robotników, udających się na roboty publiczne, względnie powracających do koszar, a nawet do więzienia. Nareszcie zmieniły się role! Jak opowiadają znajomi, mój były dyrektor papierni Fischer i jego zastępca Moidl wożą obecnie węgiel z rampy kolejowej do elektrowni.



Fot. Tomasz Białek

Niemieckie fortyfikacje Częstochowy miały być utrzymane za wszelką cenę. Na zdjęciu wejście do podziemnego schronu przy ul. Trochimowskiego

Na skutek zarządzenia władz lubelskich, na terenach zajętych obecnie przez Armię Sowiecką, wprowadza się nowa waluta. W związku z powyższym dziesiątki tysięcy ludzi, od paru już dni godzina mi wyczekuje na mrozie, aby 500 zł starego typu, wypuszczone przez okupanta niemieckiego zamienić na nowe – złote polskie. Szczęśliwiec taki kupi 1 kg dajmy na to słoniny i znów jest bez waluty, no bo więcej wymienić nie może, a stare złotówki już straciły wartość, bo wyszły z obiegu. Jak do tej pory, tak by należało wnosić, rzeczony wymiany dokonała 1/5 ludności miasta, w międzyczasie w bankach zabrakło nowej waluty. Wytworzył się taki stan rzeczy, że nie można kupić gazety, czy papierosa, bo nie masz nowych pieniędzy. Siłą rzeczy kwitnie handel wymienny, kłopotliwa to rzecz, ale pociesmy się, że jeszcze kilka dni i jakoś to się musi ułożyć. Giniemy w powodzi najróżniejszych zarządzeń, wezwań i obwieszczeń. Jedne wzywają do obowiązku nowej rejestracji, inne zapraszają cię do wojska, trzecie mówią o tworzeniu komitetów fabrycznych, jeszcze inne wzywają cię na wiec, słowem dzień by zszedł na czytaniu dzisiejszych nowości. Mimo wszystko nie widać w narodzie naszym entuzjazmu, może spowodowane to jest długotrwałym brakiem chleba, a może niepewność bliskiego pokoju sprawiła tę powściągliwość⁷ – pisał w swych wspomnieniach Franciszek Czekański.

Mimo wszystko było lepiej, niż w czasach niepewności i ciągłego strachu o przeżycie, gdy rządził niemiecki okupant. Wyzwolono nas z grozy zagłady. Tliła się nadzieja, że po zakończeniu działań bojowych wojska sowieckie wrócą do siebie, a nowa władza, nawet ta komunistyczna, zaprowadzi jakiś porządek. Wolność to istotna wartość, ale w tych ciężkich czasach najważniejsze było przeżyć, odbudować zniszczone domy, przywrócić produkcję w fabrykach, zapewnić dzieciom mleko i pomoc lekarską, otworzyć szkoły. Przyjmowano bez ironii: 16 stycznia 1945 r. nastąpiło wyzwoleń Częstochowy. Wyzwolenie od podstawowego strachu o życie. To dużo, dla niektórych bardzo dużo. ■

7 F. Czekański, „Pamiętnik z lat okupacji”, Częstochowa 2006, s. 146.

Powstańczy kapelan z Siemoni

TADEUSZ LOSTER



Wojciech Serafin Szulc, kamea portretowa, fot. Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Godne to uwagi, że ilekroć powstała masa narodu polskiego, zawsze jej chorągiew niosła ręka kapłańska.

Adam Mickiewicz

Siemonia to wieś położona obecnie w województwie śląskim w powiecie będzińskim w gminie Bobrowniki. W okresie przedrozbiorowym Siemonia leżała w woj. krakowskim, a po roku 1815 znajdowała się w granicach Królestwa Polskiego, tzw. Kongresówki.

Najstarsze zapisane wiadomości o Siemoni pochodzą z 1223 roku i dotyczą kościoła parafialnego pod wezwaniem Wszystkich Świętych wybudowanego staraniem piastowskich książąt śląskich. Pierwszy drewniany kościół spłonął w roku 1241 podczas najazdu Tatarów. Obecny – w stylu neoromańskim – został wybudowany w 1881 roku. Obok kościoła znajduje się cmentarz, liczący około 700 lat. Jeszcze nie było obecnego muranego kościoła, kiedy to 17 kwietnia 1831 do parafii w Siemoni stawił się Stanisław

Szulc lat 46 liczący, wraz ze świadkami ukazując księdzu Jakubowi Garbaczyńskiemu dziecię płci męskiej zrodzone 16 kwietnia przez jego małżonkę Petronellę z Rudzkich, lat 40 mającą. Na Chrzcicie Świętym dziecku nadano imię Wojciech.

Po ukończeniu edukacji podstawowej Wojciech Szulc dostał się do zakonu bernardynów w Warszawie, gdzie po nowicjacie przyjął imię zakonne Serafin. Po święceniach kapłańskich (1857) ukończył studia teologiczne, a rok później trafił do klasztoru bernardynów w Górze Kalwarii. Kolejnym miejscem, w którym przebywał 3 lata był klasztor w Warcie. W 1862 roku znalazł się w Kaliszu skąd wysłany został do Złoczowa.

Tuż po zwycięskiej bitwie, stoczonej przez powstańców o sosnowiecki dworzec z 6 na 7 lutego 1863, ks. Serafin przyjechał do swojej rodzinnej wsi Siemoni. Za patriotycznym przykładem, jak wielu w tym okresie młodych zakonników i księży, udaje się do pobliskiej Dąbrowy Górniczej, gdzie wstępuje do oddziału Apolinarego Kurowskiego jako powstańczy kapelan. Tutaj poznaje komendanta placu, rannego w Sosnowcu pułkownika Teodora Cieszkowskiego.

Ks. Serafin Szulc w Dąbrowie zajmuje się nie tylko posługą duchową, ale również przysłużył się przy organizacji i zakupie butów i ciepłej odzieży dla powstańców. Po kilku dniach pobytu w Dąbrowie – odziany w szaty liturgiczne z krucyfiksem w ręku na czele oddziału powstańczego – przez Sławków i Olkusz udaje się do obozu ojcowskiego. Tutaj przydzielony zostaje do oddziału Cybulskiego, z którym wyrusza do Skały, a stamtąd do Miechowa, by 17 lutego wziąć udział w końcowej fazie bitwy, która zakończyła się porażką powstańców.

Przebrany w chłopską sukmanę dociera do Olkusza, a nie zastając tu oddziałów powstańczych, wyruszył w stronę Dąbrowy Górniczej. Po drodze spotyka oddział Teodora Cieszkowskiego i na jego prośbę udaje się do Krakowa, gdzie spędza

kilka dni, a stamtąd podąża do Goszczy – obozu powstańczego Mariana Langiewiczza, gdzie zostaje przydzielony do oddziału Cieszkowskiego jako kapelan. Brał udział w zwycięskiej bitwie 18 marca pod Grochowiskami. Po opuszczeniu powstańczego wojska przez generała Langiewiczza i rozproszeniu powstańczych oddziałów, ks. Szulc udaje się do Tarnowa, gdzie – jako kapelan nowosformowanego oddziału Andrzeja Łopackiego – wraca do Kongresówki. Tutaj bierze udział we wszystkich bitwach i potyczkach na terenie Gór Świętokrzyskich oraz Ziemi Sandomierskiej, najpierw w oddziale majora Andrzeja Łopackiego, a następnie w oddziale legendarnego pułkownika Dionizego Czachowskiego. Wraz ze ściganym przez wojska rosyjskie oddziałem Czachowskiego przedziera się do Galicji, gdzie złożony chorobą leczy się i odpoczywa kilka tygodni. Kiedy poczuje się lepiej, rusza ponownie do zaboru rosyjskiego na tereny Ziemi Kieleckiej, gdzie jako kapelan wstępuje do oddziału generała Edmunda Taczanowskiego, a później do oddziału pułkownika Franciszka Kopernickiego, uczestnicząc we wszystkich działaniach powstańczych tych oddziałów.

Powstanie chyliło się ku upadkowi. Kopernicki, działając w kaliskim, wyznaczył ks. Szulcowi agitację powstańczą wśród chłopów. W swoich pamiętnikach ks. Szulc napisze: *Moskale ciągle mnie śledzili i obiecywali chłopom nagrodę, jeśli mnie dostawią do Wielunia. Tak ustawicznie ścigany, gdy już nie mogłem się nigdzie ukryć i gdy mi wreszcie sam Kopernicki radził, abym się przeniósł w inne okolice, w Dzień Zaduszny przeszedłem między kozakami granicę. W styczniu 1864 roku spod Wawelu udałem się jeszcze raz jako kapelan na plac boju w Krakowskie, ale tym razem na krótko, już się utrzymać było bardzo trudno.*

Ks. Serafin Szulc należał do nielicznych powstańczych kapelanów, którzy wzięli udział w styczniowej rebelii od pierwszych jej dni do prawie ostatnich. Skaza-



ny zaocznie przez zaborcze władze Rosji na karę śmierci, musiał uchodzić z kraju. Swoje powstańcze losy opisał w pamiętniku (już za granicą) w 1866 roku, przypuszczalnie na zamówienie członka rządu narodowego Agatona Gillera, który opublikował je w książce „Polska w walce”, wydanej w Paryżu w roku 1868.

Wiosną 1864 roku udaje się ks. Serafinowi Szulcowi wyjechać za granicę. Przebywa w najdłuższej w Bawarii, skąd jedzie do Szwajcarii, następnie do Rzymu, skąd dwukrotnie podejmuje pielgrzymkę do Ziemi Świętej. Z tułaczki, jak wielu rebeliantów 1863 roku, przyjeżdża do Galicji. Jako wikary osiada w Lubaczowie, skąd po krótkim pobycie przeniesiony zostaje do Buska. W 1872 roku był w Oleszyczach, a po dwóch latach znalazł się w Opryłowicach nadal jako wikary, by w następnym roku przenieść się do Skałki, a w 1879 do Jeziornej.

Te „wędrówki” po różnych parafiach nie były przypadkowe. Na księdzu Szulcu ciążyło uczestnictwo w powstaniu styczniowym. Wielu jego towarzyszy broni z powstania uważało go za poległego. W książce Zygmunta Kolumby „Pamiętka dla rodzin Polskich”, wydanej w Krakowie w 1868 roku w zamieszczonej tam fotografii (tableau) umieszczony został jako jedna z ofiar rosyjskiego terroru.

fot. Dariusz Jurek



Na parafii w Jeziornej nie kończy się pielgrzymowanie ks. Serafina Szulca. W roku 1880 znalazł się w Piastyniu, skąd dodatkowo dojeżdżał do Jabłonkowa. W 1881 urządza w Mariampolu, a w 1885 w Kaczanówce. Dopiero w maju 1888 (w wieku 57 lat) osiada na trwale w Piastyniu, otrzymując tam administrację parafii. Tutaj 4 marca 1905 roku ks. Szulc doczekał jubileuszu swojego kapłaństwa. Obchód jubileuszu przesunięto na dzień odpustu (dzień Świętej Trójcy), na który przybyły liczne delegacje duchowieństwa i ludu z sąsiednich parafii oraz rzesze miejscowych wiernych.

Pod koniec roku 1905 nagle zachorował. We wtorek 5 grudnia odprawił jeszcze mszę św., a w czwartek przyjął ostatnie namaszczenie i po północy zakończył swój bohaterski żywot. We wspomnieniach o ks. Szulcu „Słowo Polskie” z 13 grudnia 1905 roku napisało: *Dnia 9 bm. złożyliśmy do grobu na wieczny spoczynek kapłana – patriotę, który całe życie służył wiernie Bogu i ojczyźnie i całym swym życiem dowiódł gorącej miłości Polski, dla której znosił z mężnym i wytrwałym sercem prześladowania moskiewskie i długie lata tułaczki. Skończył jak żołnierz na posterunku. Jakim był duszpasterzem – dowiódł najlepiej pogrzeb, na którym licznie zebrani parafianie, kilkakrotnie głośnym wybuchali płaczem.*

Ks. Serafin Szulc został pochowany przy wejściu do kościoła, w którym przez 17 lat pełnił funkcję gospodarza. Jego następcami byli ks. Wawrzyniak, a po nim ks. Grzesiowski, zamordowany przez Ukraińców 25 lipca 1943. Został on pochowany w pobliżu grobu ks. Szulca.

Kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej w Piastyniu przetrwał do roku 1944, kiedy to został spalony. Wydarzeniu temu towarzyszyła następna znacznie większa fala ukraińskich mordów i czystek etnicznych, które miały miejsce w listopadzie 1944 roku. Miały one na celu unicestwienie polskich mieszkańców Pokucia oraz zatarcie wszelkich śladów polskości na tych terenach. Ogólnie wiadomo było, że leżący przy kościele cmentarz został zdewastowany, a jedynym śladem po tym miejscu jest kilka ocalałych krzyży na łące w miejscu do teraz niezabudowanym.

Po zamieszczeniu na stronie internetowej wikizaglebie.pl biogramu ks. Serafina Szulca – z autorem, Dariuszem Jurkiem, skontaktował się ks. Antoni Więch, pełniący posługę kapłańską na Ukrainie. Po przeprowadzonych kilku telefonicznych rozmowach, Pan Dariusz otrzymał kilka zdjęć nagrobka powstańczego kapłana. Obok zdjęć ks. Więch napisał:

Udało mi się odnaleźć przypadkowo miejsce pochowania (ks. Serafina Szulca), szukając miejsc zbrodni UPA. Szczęśliwie, we wiosce (Piastynia) na dawnym



fot. ks. Antoni Więch

placu kościelnym zachował się jego nagrobek o patriotycznej symbolice (miecz, orzeł). Napis z trudem chyba można jeszcze odczytać. To ciekawe, że banderowcy zniszczyli tylko głowę orła, zostawiając resztę pomnika (XVIII-wieczny kościół został spalony 10.11.1944). W załącznikach wysyłam zdjęcia, które najszybciej znalazłem.

16 kwietnia 2021 przypadała 190. rocznica urodzin powstańczego kapłana ks. Serafina Wojciecha Szulca. Z tej okazji, staraniem Stowarzyszenia Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego, a przede wszystkim prezesa stowarzyszenia Pana Dariusza Jurka, 19 października w Siemoni odsłonięto tablicę upamiętniającą bohaterskiego powstańca – kapłana styczniowej rebelii 1863 roku.

Po uroczystej mszy św. w kościele pw. Wszystkich Świętych z udziałem przedstawicieli władz wojewódzkich, powiatowych i miejscowych oraz poczty sztandarowych miejscowych organizacji, w pobliżu kościoła dokonano odsłonięcia i poświęcenia pamiątkowej tablicy, upamiętniającej ks. Serafina Wojciecha Szulca. Odsłonięta tablica nie tylko będzie spełniać rolę miejsca Pamięci Narodowej, ale również promocji miejscowości z uwagi na to, że przez Siemonię biegnie Droga św. Jakuba VIA REGIA – najważniejszy szlak kulturowy Europy. ■



fot. ks. Antoni Więch

Milczenie śniegu

WOJCIECH LIPOWSKI

Rzeczywistość niemal zawsze przeraża możliwości języka, który chce ją opisać, nazwać ukryty w niej sens. Bezradność poznania sprawia, że podejmujący trud utrwalenia doświadczeń, myśli, zdarzeń, ma ograniczone możliwości oddania stanu własnej wiedzy, częściej jednak jej braku. Jedyne, co pozostaje, to próba zbudowania opowieści, która wykorzystując ćwiczenia pamięci, doprowadzi w końcu do jakiegoś fundamentu, sedna, zrozumienia istoty egzystencji.

Zatopiony w żywiole padającego śniegu poeta Ka, który dawno nic już nie napisał, przyjeżdża do prowincjonalnego tureckiego miasta Kars, etnicznego, politycznego, społecznego, religijnego tygła sprzeczności. Po co? Czego będzie tam szukać pełen niepokoju, gnany dziwną tęsknotą za dawną miłością? I dlatego właśnie tam, gdzie różnice polityczne wywołują wrzenie, inspirowane z jednej strony przez islam, z drugiej przez świeckie państwo z utrzymującym porządek wojskiem powstrzymującym coraz śmielsze akcje miejscowych terrorystów. Do miejsca, gdzie w końcu wybuchnie teatralna rewolucja artystów, występujących przeciwko koranicznym fanatom. Oficjalnie zjawia się, by wyjaśnić

i opisać tajemnicę samobójczych śmierci młodych uczennic demonstrujących niezależność poprzez powrót do noszenia tradycyjnych chust, których nie akceptuje państwo, budząc jednocześnie tym czynem podziw wśród lokalnej młodzieży. Ka trafia w miejsce, gdzie Europa zderza się z islamską Turcją, spotykają dwie odmienne filozofie życiowe, religie, zasady moralne, sposoby na poszukiwanie spełnienia i szczęścia. Ka człowiek z zewnątrz, dawny działacz opozycyjny, emigrant mieszkający w Niemczech, artysta szukający natchnienia na krańcu świata, przybywa, aby poznać być może jedną z najważniejszych prawd: mroczną prawdę o człowieku zabłąkanym wśród zimnej nocy i śniegu.

To tylko wybrane tematy *Śniegu* – głośnej powieści tureckiego noblisty Orhana Pamuka wydanej w roku 2002, po którą sięgnął w swej najnowszej realizacji teatralnej Bartosz Szydłowski. Spektakl jest koprodukcją: Teatru Łaźnia Nowa, Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego, Studia teatrgaleria w Warszawie oraz Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Mateusz Pakuła, autor adaptacji, na podstawie powieści w tłumaczeniu Anny Polat, wykorzystał niektóre wątki z ogromnego mate-

riału literackiego, rzecz jasna dokonując licznych skrótów: eliminując, być może ze szkodą dla spektaklu, tak ważny motyw podróży bohatera, ale także szerszą prezentację galerii mieszkańców prowincjonalnego miasta, z którymi zapoznaje się Ka. Ważny dla tej jawnie nieteatralnej powieści wątek miłości do pięknej Ipek także nie wybrzmiał w pełni pozostawiając niedosyt, podobnie jak pominięta erupcja twórcza poety tak ważna u Pamuka, bo to właśnie po przybyciu do przygranicznego miasta artysta na nowo zaczyna tworzyć wiersze. Twórcy rozbudowali za to motyw wyobcowania bohatera w okolicznościach, kiedy śnieg odcina społeczność Karsu od reszty świata i wątek polityczny, związany z grupą rebeliantów dowodzonych przez aktora trupy objazdowej Sunaya Zaima, gdy ten dokonuje wspomnianej już teatralnej krwawej rewolucji. Nieco groteskowy, podkreślmy, jest fakt, że w dziele Pamuka i spektaklu Szydłowskiego rewolucja swój początek ma właśnie w teatrze. W kompozycji całości tej adaptacji istotną częścią stanie się również historia rodziny Ipek, ukochanej poety, z ojcem panem Turgutem dawnym liberalnym aktywistą, siostrą Kadife oraz wątek sensacyjny zwią-

Archiwum teatru



Archiwum teatru



zany z ukrywającym się działaczem islamskim Granatowym, jej kochankiem.

Przy tych uwagach, które nie mają w zasadzie wagi zarzutu, bowiem każda adaptacja stanowi wypadkową różnych pomysłów oraz wyborów, trzeba podkreślić, że twórcom udało się przyciągnąć atrakcyjny widz, zawierającą w sferze dyskursywnej sporo nieoczywistych odniesień do rodzimej rzeczywistości, spektakl-widowisko. Nie wszystko będziemy rozumieć z wydarzeń, które rozegrają się przed naszymi oczami, podobnie jak Ka przybywający do Karsu, próbujący zgłębić to, co dokonuje się na tureckiej prowincji.

Wydaje się, że grany bardzo ciekawie, dynamicznie, w nieustannym pośpiechu, rozedrganiu przez Szymona Czackiego Ka dociera do symbolicznego miejsca na mapie własnego życia, stając się swobodną figurą poszukiwania sensu w świecie, gdzie sens ostatecznie jest nieobecny, bowiem brak mu metafizycznego fundamentu. Brak poezji. Mimo że seria zdarzeń, jakie dokonują się w jego życiu, częściowo zaprzeczy tej tezie, pozostanie ciągle niedosyt, niespełnienie, na każdym niemal polu. Zbliżenie z Ipek (w tej roli bardzo sugestywna i pełna niedomówień Anna Paruszyńska-Czacka), tak pożądane i oczekiwane, które spełni się w bardzo ładnej choreograficznie scenie imitującej różne pozycje miłosne, nie przyniesie ukojenia, otrze się tylko o sedno doświadczenia, będzie inspiracją dla kolejnego wiersza, którego nigdy nie przeczytamy. Także spotkanie bratniej duszy, lustrzanego odbicia siebie sprzed lat, ucznia szkoły koranicznej, idealisty Necipa (w ciekawej, żywiołowej interpretacji Pawła Charytona), który pragnie pisać powieści science-fiction, ale nie zdąży, bo stanie się ofiarą rewolucji; pozostawi Ka tylko wspomnienia i smutek. Innego dramatu nawet nie zauważy, zapatrzony w Ipek, nieświadomy, że kilka stolików dalej w lokalu, gdzie przebywali, dyrektor lokalnej szkoły dla dziewcząt (znakomita, zagrana po mistrzowskiu rola Artura Świąsę) ściera się z fanatycznym muzułmaninem (umiejętnie,

oszczędnie i przejmująco oddana przez Daniela Dobosza anatomia zła), który wykona na nim wyrok za rzekome przymuszanie religijnych uczennic do zdejmowania chust w szkole.

Zresztą inność, sztuczność wielu sytuacji pokazanych w tym spektaklu, podkreślonych przez sam zabieg teatralizacji rzeczywistości, składa się na model świata wypełnionego rytuałem, pozwalającym na przejście bohatera oraz nas, obserwatorów dopuszczonych do udziału w zdarzeniach, od niewiedzy do doświadczenia, a dalej próby utożsamienia się, zaprowadzenia ludzkiego porządku tam, gdzie wszystko wymyka się łatwemu nazwaniu. Spektakl Szydłowskiego to próba połączenia wielu sprzeczności. Kompozycja rozpoczyna się od spięcia, a później następuje eskalacja napięcia, mnożenie wątków, zmiana topograficzna miejsc akcji, raz jesteśmy w pokoju hotelowym, innym razem w domu pana Turguta, kiedy indziej w Teatrze Narodowym, gdzie w oparach surrealistycznych, kabaretowych, parodystycznych scen odgrywanych bardzo sprawnie przez wędrowną trupę aktorów (w tym rolach świetni Marta Zięba i Juliusz Chrzastowski) rodzi się kilkudniowa rewolucja zapoczątkowana masakrą na widowni. Gdzieś z tyłu niepokojąco sączy się dialogująca z poszczególnymi scenami muzyka Dominika Strycharskiego.

Bardzo inspirująca i ciekawa jest w tym spektaklu przestrzeń scenograficzna stworzona przez Małgorzatę Szydłowską, będącą jednocześnie twórcą kostiumów. Wszystkie zdarzenia dokonują się w dwóch płaszczyznach. Zmiennej, ulegającej przekształceniom przestrzeni çayhane – herbaciarni jako centrum życia, będącej raz komisariatem policji, innym razem ulicą. Tam również odnajdziemy lustro, w którym przegląda się nieustannie inwigilowana przez władzę społeczność, tam znajduje się „okno na świat”, gdzie pada tytułowy śnieg w różnych kolorach zależnie od nastroju i klimatu poszczególnych scen przedstawienia. W jego oprawie pojawi

się także miejscowy przywódca religijny (w przejmującym monologu odtwarzanym na ekranie wystąpił Jerzy Trela). Druga płaszczyzna, oddzielona szybą, to plan dalszy, salon Turguta i jego córek oraz plener, gdzie Necip spotyka się z Ka – wgląd w tę przestrzeń otrzymujemy za pośrednictwem kamery, niejako z drugiej ręki, co umożliwia nam zbudowanie dystansu, z którego obserwujemy sceny. Osobną przestrzenią narracji staje się ekran usytuowany ponad widownią, na którym oglądaliśmy rozbudowany, statyczny prolog.

Reżyser spektaklu wspominał w jednej z wypowiedzi, że powieściowe Kars, które przemierzamy w teatralnej adaptacji, uważa za „zwierciadlane odbicie polskiego pejzażu”. Czy jednak musimy sugerować się tą wskazówką śledząc losy bohaterów Orhana Pamuka? I co w istocie mamy ze sobą zestawiać? Dwie nieprzystawalne części? Różne światy, inne lokalności, pejzaże, unikając fałszujących całość uproszczeń, skrótów? Świat pełen jest fanatyków religijnych dokonujących destrukcji powszedniej ludzkiej egzystencji, ale rewolucja w kraju autora *Śniegu* ma odmienne od europejskiego oblicze.

W końcu czy jednak nie najważniejsze jest, że poeta Ka, który przybył do oddalonego od świata miasta, zanurzonego w krajobrazie niepewności, uczynił to, bowiem jego dotychczasowa egzystencja upływała w zawieszeniu pomiędzy poczuciem porażki a potrzebą rozpoczęcia nowego życia? Po bliższym poznaniu okazało się, że ta zakończona tragicznie wędrowka była wypełniona na równi cierpieniem, szczęściem i poezją. Tyle po nim zostało. Dużo to czy mało? W każdym razie szkoda, że wierszy, które wtedy powstały nie przeczytamy już nigdy. ■

Orhan Pamuk
Śnieg
reż. Bartosz Szydłowski
adaptacja i dramaturgia Mateusz Pakuła
Premiera w Katowicach 19.11.2021

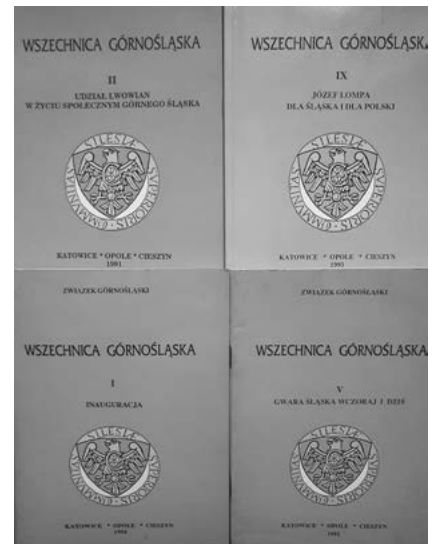
„Wszechnica Górnośląska” – dokument czasów i ludzi tworzenia

JAN MALICKI

Przypadek sprawił, iż sięgnąłem po serię książek, które – acz opublikowane dawno – wciąż na nowo przyciągają uwagę czytelników. Po przeszło trzydziestu latach należą do odległego czasu „dnia pierwszego”, etiologii śląskiego neotrwania, buzowania politycznych hormonów, współkreujących śląską tożsamość. Ale też był to czas poszukiwania prawdy obiektywnej, szacunku i zaufania dla wiedzy zweryfikowanej, dla bogactwa intelektualnego kultury książki. A jeśli prawdopodobieństwa – to z przewagą wiedzy i szacunku wobec niej. Niczym „złoty wiek” w mitach inicjujących Wielki Początek. „Czasy ołowiane” nadejdą później wraz z punktowym parzeniem na historię, ich nadmuchiwanii, uogólnianiu i przenoszeniu na całe dzieje. A towarzyszyć im będzie agresja wobec innych. Nośnikiem Don Kichotowej postawy jest dla mnie Związek Górnośląski; o Sancho Pansie nie warto wspominać. Związek tamtych czasów kumulował i skupiał wokół siebie oraz wokół idei „Rzeczypospolitej Samorządnych Regionów”, jak mówiła podczas otwarcia wszechnicy prof. Ewa Chojecka, liczne grupy społeczne, dostrzegające w tym właśnie swoje szanse na przyszłość, budując jednak terazniejszość. Jednoznacznie to wynika z „Deklaracji Związku”: „U podstaw Związku Górnośląskiego leży zamiar obrony wartości kulturowych i cywilizacyjnych Górnego Śląska powstałych na gruncie chrześcijańskim, jak również dążność do integracji społeczności regionu wokół jego wartości dawnych i nowych oraz do harmonijnego rozwoju zamieszkałej tu ludności, zapewniającego dobro każdej osoby”. Ale to czasy odległe. Co z nich pozostało?

Dobrem jednoczącym i spajającym tu mieszkających mogła się stać wtedy i dziś humanistyka, jak wielu uważa stałe „w kryzysie”. W momencie przełomu lat 80./90. miała ona siłę rażenia tym, iż mimo wciąż ukazywanego zasobu nowych źródeł w poprzednim czasie tematyka śląska była stygmatyzowana. A prof. Jan Drabina powie wręcz: „tragedią tej ziemi jest praktycznie niewystępowanie tematyki śląskiej w pracach Uniwersytetu Śląskiego”. To opinia krzywdząca wobec Uniwersytetu. Regionalistyka była przy najmniej na polonistyce. Choć regionalizm i mówienie o kulturze tej ziemi nigdy nie nobilitowało badacza. Wciąż jeszcze w brzmia mi w uszach prześmiewcze uwagi luminarza śląskiej humanistyki, który ogromne osiągnięcie zespołu badawczego kierowanego przez prof. Jana Zarembę, właściwego twórcę katowickiej polonistyki, jakim była „Bibliografia piśmiennictwa polskiego na Śląsku XVII i XVIII wieku. Śląski Korbut”, wydaną przez wrocławskie Ossolineum, prześmiewczo nazywał „śląskim skorbutem”. Może właśnie dlatego, jako rodzaj sprzeciwu, powstało Towarzystwo Naukowo-Literackie, którym przyszło mi przez wiele lat kierować. Skupiło ono 38 osób, w tym kilku profesorów z Katowic, Opola, Wrocławia i Ostrawy oraz dzisiaj już legendy śląskiej kultury: Wilhelma Szewczyka i Alojzego Lyskę.

W przełomowym dla całego Śląska czasie tworzenia się nowej rzeczywistości politycznej, 16 lutego 1991 roku odbyło się inauguracyjne spotkanie Wszechnicy Górnośląskiej. Otworzyła je prof. Ewa Chojecka, znakomita znawczyni śląskiej kultury. Potem – wystąpienie Michała Lubiny, który mówił o „Idei powołania Wszechnicy Górnośląskiej”;



dr Urszula Zgorzelska – „Co to jest Górny Śląsk?”, a red. Zdzisław Pyzik, najczęściej kojarzony z piosenką „Śląska” o starziku i fajeczce, przypomniał dzieje „Ruchu kulturalno-oświatowego na Górnym Śląsku”. To początek przedsięwzięcia, które stało się zaczynem jakościowo nowego fermentu intelektualnego nie tylko w Związku, ale i wśród mieszkańców naszego regionu. Zarówno tych afirmujących dzieje Górnego Śląska, jak i tych pozostających w kręgu „śląskiego skorbuta”. Zorganizowano 10 spotkań Wszechnicy.

Oto one:

1. Inauguracja;
2. Udział Lwówian w życiu społecznym Górnego Śląska;
3. Gwara śląska wczoraj i dziś;
4. Oblicza literackie Górnego Śląska (wraz z Towarzystwem Naukowo-Literackim);

5. Dzieło Wojciecha Korfantego;
6. Wizerunki śląskiego harcerstwa w latach wojny i okupacji (wraz z Komisją Historyczną Związku Harcerstwa Polskiego w Katowicach);
7. Józef Lompa dla Śląska i dla Polski;
8. O umocnienie rodziny (wspólnie: KIK, Stowarzyszeniem Rodzin Katolickich oraz Instytutem Wymiaru Sprawiedliwości);
9. Edukacja Regionalna (z Kuratorium Oświaty);
10. Chóry na Górnym Śląsku (z gminą Gierałtówice i Oddziałem Śląskim Polskiego Związku Chórów i Orkiestr).

Duszą owych przedsięwzięć był Michał Lubina. Z bliska Go obserwowałem, gdy w roku 2012 poprowadził w Bibliotece Śląskiej cykl spotkań „Kocham Śląsk”. Jak zawsze otwarte, atrakcyjne, nieuciekające od spraw trudnych i kontrowersyjnych. Niestety; prawdziwie niedokończony.

Po latach bardzo się ucieszyłem, gdy zgłoszono do Nagrody im. błogosławionego ks. Emila Szramka osobę Michała Lubiny. Właśnie do tej nagrody, istniejącej już od 2009 roku, a przyznawaną „osobie odznaczającej się szczególnie wielką i znaczącą działalnością na rzecz dzisiejszych Katowic, w tych dziedzinach, które bliskie były bł. ks. Emilowi Szramkowi”. Kapitułę przewodniczył ks. dr Andrzej Suchoń, proboszcz kościoła mariackiego, a w skład jej wchodzi: prof. Grażyna Szewczyk, prof. Julian Gembalski, prof. Jan Malicki, prof. Józef Śliwiok, ks. dr Stanisław Puchała, ks. dr Robert Kaczmarek, Józef Buszman oraz sekretarze: Jerzy Dolinkiewicz i Andrzej Dawidowski. Nagroda wręczana jest zawsze 8 grudnia przez księdza biskupa i przewodniczącego Kapituły W tym roku – przez biskupa Grzegorza Olszowskiego. Ucieszyłem się też bardzo, że właśnie mnie przypadł zaszczyt wygłoszenia laudacji. Oto ona.

Laudacja

Wasza Ekscelencjo, Dostojny Księżę Biskupie,
Czcigodny Księżę Proboszczu,
Panie i Panowie.

Honorujemy dziś Człowieka skromnego, a jednocześnie niezwykle. Człowieka łączącego w sobie tradycje małej, rodzinnej pamięci, wywodzącej się z kręgu wielkiego głosiciela naukowej prawdy – ks. Jana Dzierżona; i tej fundamentalnej tradycji śląskiej, jej kultury, objawiającej się w ciągłości przez wieki wspólnoty miejsca i ludzi.

Ale aktywność Michała Lubiny wiąże się głównie z czasem współczesnych nam szlachetnych przeobrażeń, przekształceń, odradzającego się po roku 1989 Śląska.

Przebudowywania i budowania nowego świata wartości. Wraz z powstałym wówczas Związkiem Górnos Śląskim, współtworzył on charakterystyczny, głęboko humanistyczny kształt Śląska miłowanego i Śląska miłującego innych. Jakże daleki to świat od Śląska agresywno-zagarniającego...

Michał Lubina, laureat nagród im. Wojciecha Korfantego i Karola Miarki, urodził się 25 maja 1944 roku w Katowicach – Brynowie. To właśnie Brynów – pisze dr Katarzyna Wencel – ukształtował jego śląską tożsamość i zainteresowania. Z wykształcenia jest inżynierem elektrykiem, rzecznikiem patentowym, redaktorem serii „Maszyny Elektryczne. Zeszyty Problemowe”. Jednak najważniejszym obszarem zainteresowań i działań był Górny Śląsk; w sferze temporalnej – jego przeszłość, teraźniejszość i przyszłość; w sferze horyzontalnej – „mała ojczyzna”, jaką jest Brynów, poprzez najbliższą przestrzeń lokalną – miasto, aż po cały region.

Znaczącą cezurę w życiu społecznej działalności Michała Lubiny stanowił – powtórzmy – rok 1989. Po pierwszych wyborach samorządowych z głębokim przekonaniem o słuszności swego wyboru, podjął pracę organizacyjną na rzecz odradzającej się demokracji. Współtworzył Biuro Sejmiku Samorządowego Woj. Katowickiego, którym zresztą kierował. Z entuzjazmem włączył się do prac nowopowstałego Związku Górnos Śląskiego, przygotowując założenia programowe, plany realizacji jego celów i nadając mu rozpoznawalny a zarazem oryginalny kształt; profil na przyszłość. Tak pojmował swoje miejsce w Radzie Związku.

Wtedy doskonale rozumiał, że budując fundamenty przyszłości, należy opierać się na dwóch dziedzinach: na wiedzy naukowej i kulturze spajającej, jakże zróżnicowane w swoich poglądach, grupy wspólnotowe. Nieprzypadkowo jego pierwszą i niezwykle ważną inicjatywą było powołanie WSZECHNICY GÓRNOŚLĄSKIEJ w ramach Związku Górnos Śląskiego. Był to cykl konferencji naukowych poświęconych istotnym zagadnieniom przeszłości Górno Śląska (np. literaturze, gwarze), organizacją społeczną (np. harcerstwu, chóralistycy, lwowiakom), ale też problemem istotnym dla całej nadchodzącej przyszłości (np. umocnianie się rodziny, edukacja regionalna). Konferencje to głównie ulotne słowa; on jednak miał ugruntowane przekonanie, że wartością są publikacje. Z jego inicjatywy ukazało się dziesięć tomów rozpraw, realizowanych całkowicie społecznie. I choć wiedział, że „głos martwych liter” – to słowa naszego XII-wiecznego kronikarza – jest trwalszy od spiżu, to książki nie zawsze są czytane; bywają nierzadko jedynie świadkiem przeszłości we współczesnej rzeczywistości.



Kościół Mariacki w Katowicach (autor: Andrzej Hajdas źródło: wikipedia)

ści. Zapewne dlatego dostrzegał wagę unaoczniania historii. Był bowiem inicjatorem powołania galerii wybitnych Górnos Ślązaków. Obok popiersia Józefa Lompy, ufundowane zostały przez Bractwo Myśli Bratniej Związku Górnos Śląskiego (którego był wiceprezsem) popiersia m.in. Wojciecha Korfantego, Konstantego Wolnego, Jana Dzierżona, Wilhelma Szewczyka. Na marginesie dodajmy, że wśród rzeźb tych znajduje się też popiersie bł. Emila Szramka, ufundowane przez prof. Józefa Śliwioka. Trudno przy tej okazji nie przypomnieć tablic pamiątkowych, które umieszczono w Śląskiej Archikatedrze: Wojciecha Korfantego, Konstantego Wolnego, ofiar III powstania śląskiego. Dopelnieniem owej niekonwencjonalnej edukacji regionalnej były niezwykle żywe spotkania z cyklu „Kocham Górny Śląsk”. Niestety, ciężka choroba uniemożliwiła ich kontynuację.

Nowy etap w życiu Michała Lubiny otworzyło powołanie go na stanowisko dyrektora Muzeum Miejskiego w Rudzie Śląskiej. No, i dalsze publikacje. Za najważniejszą uważa jednak pracę zatytułowaną: „Parafia Najświętszych Imion Jezusa i Maryi w Brynowie”, wydaną w 2008 roku.

Przez kilka dekad byłem świadkiem poczynań Pana Michała Lubiny. W mojej pamięci pozostał jako człowiek pomysłowy, choć nigdy nienarzucający się; konsekwentny w działaniach, ważący słowa i gesty, niezwykle wrażliwy na potrzeby pojedynczego człowieka, ale i całej, jakże zróżnicowanej, społeczności. Cechy wyróżniające go to szlachetność czynu i godność trwania.

W imieniu całej Kapituły z serca gratuluję Panu Michałowi tego wyróżnienia, stawiającego go w gronie osób niepospolitych, a kontynuujących wielkie dzieło błogosławionego ks. Emila Szramka.

Na początku XX wieku trwała zacięta „wojna na pędzle” między polskim a niemieckim schroniskiem górskim na stokach Babiej Góry (1725 m n.p.m.), najwyższego szczytu w Beskidach. Zmagania polegały na zamalowywaniu znaków turystycznych rywala i wytyczaniu własnych. Zwyciężyły zdecydowanie pędzle polskie.

Triumfatorami tamtej rywalizacji okazali się Hugo Zapałowicz i Władysław Midowicz, pionierzy i ośrodownicy polskiej turystyki górskiej. Ich wysiłki przyczyniły się w dużym stopniu do zahamowania babiogórskiej ekspansji niemieckiego towarzystwa turystycznego Beskidenerverein, funkcjonującego w latach 1893-1945. W tamtych czasach istniały bowiem w rejonie Babiej Góry dwa różne schroniska – niemieckie z 1905 roku oraz polskie uruchomione rok później.

W pobliżu Głodnej Wody

Dzisiaj po pierwszym z nich zostały już tylko kamienne ruiny (konsekwencja tragicznego pożaru sprzed 73 lat). A niegdyś było to tzw. „oczko w głowie” dla Niemców z Beskidenerverein. Obiekt z 20 miejscami noclegowymi zlokalizowano na południowych stokach Babiej Góry w pobliżu górskiego źródła Głodna Woda. Jednopiętrowy murywany budynek (na wysokości 1616 m n.p.m.) z oszkloną werandą i widokiem na Tatry, Małą Fatrę i Orawę zyskał początkowo sporą popularność.

Niemieccy gospodarze z dumą podkreślali, że jest to najwyższe położone schronisko beskidzkie. W pobliżu postawiono zaś drewniany domek mieszkalny dla personelu, oborę dla dwóch krów i drobiu, szopę, stację meteorologiczną, a także niewielką kapliczkę. Grawitacyjny rurociąg doprowadzał do obiektu wodę z babiogórskiego źródła. W schronisku obowiązywał jednak język niemiecki. Zniechęcało to polskich turystów do odwiedzania obiektu. Odstraszały ich też wysokie ceny noclegów i serwowanych potraw.

Burzliwe dzieje schronisk beskidzkich

Pożary tylko w czwartki

ZBIGNIEW LUBOWSKI

Twórcą konkurencyjnego polskiego schroniska na północnych stokach Diablaka był Hugo Zapałowicz, prezes babiogórskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Markowie Podhalańskim. *15 września 1906 roku obiekt na leśnej polanie Markowe Szczawiny (1180 m n.p.m.) został udoświadczony turystom.*

Swojsko, a nawet nowoczesnie

Były tam dwie sale noclegowe z 9 łóżkami oraz wyścielone sianem poddasze dla zbiorowych wycieczek. Całość uzupełniała niewielka kuchnia oraz maleńka – jak na dzisiejsze standardy – jadalnia. Pierwszym gospodarzem schroniska został Józef Ganczarczyk z jednego z przysiółków Zawoi, beskidzkiej wsi oddalonej o niespełna trzy godziny turystycznego marszu od leśnej polany babiogórskiej.

W szybkim czasie obiekt zdobył serca wielu polskich miłośników wędrówek górskich. Beskidzka wojna na pędzle zrobiła swoje w polsko-niemieckiej rywalizacji. Z czasem schronisko uległo znaczącej rozbudowie. Modernizacja obiektu, w którym powstały dwie dodatkowe sale noclegowe na poddaszu oraz przestronna jadalnia, doprowadziła do odczuwalnego zwiększenia ruchu turystycznego w rejonie Markowych Szczawin.

Dzisiaj nie ma już wiekowego schroniska w tym uroczym zakątku Beskidów. Po jubileuszowych obchodach 100-lecia jego istnienia przystąpiono w 2007 roku do rozbiorczy przystąpienie do użytku – dokładnie w tym samym miejscu – nowoczesne schro-

nisko PTTK z 40 miejscami noclegowymi, jadalnią, kuchnią turystyczną i suszarnią odzieży. Obiekt wyposażono w 12 fotowoltaicznych kolektorów słonecznych, co ciągle jeszcze jest rzadkością w beskidzkich obiektach turystycznych PTTK.

W podhalańskim stylu

Cenne walory krajobrazowe PILSKA (1557 m n.p.n.) – drugiego co do wysokości szczytu beskidzkiego – sprawiły, że na początku zeszłego stulecia zrodziły się również plany budowy schroniska turystycznego na stokach tego masywu górskiego. Polacy chcieli zapobiec przewidywanemu utworzeniu w tej części Beskidu Żywieckiego atrakcyjnego obiektu turystycznego przez niemieckie towarzystwo Beskidenerverein. Wybuch I wojny światowej udaremnił jednak realizację przedsięwzięcia.

Do sprawy powrócono dopiero w 1927 roku. Społecznicy z babiogórskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego przygotowali projekt beskidzkiego schroniska w podhalańskim stylu. Zakupiono w tym celu rozległą parcelę na Hali Miziowej (1330 m n.p.m.). Wkrótce ruszyły roboty budowlane.

Gotowy obiekt otworzył swoje podwoje 20 lipca 1930 roku. Był to wówczas najpiękniejszy – jak zgodnie oceniano – obiekt turystyczny w całych Beskidach. Mógł udzielić jednorazowo 171 noclegów, w tym 76 na łóżkach i 95 na siennikach. Posiadał, co szczególnie warto odnotować, restaurację z przeszkloną werandą. W 1936 roku urządzono w nim dodatkowo łazienkę z natryskami, a do budynku doprowadzono linię telefoniczną.

Po wojnie schronisko – oddalone o około dwie godziny turystycznego marszu od Korbielowa (niedużej wsi w powiecie żywieckim) – trafiło ponownie pod opiekuńcze skrzydła Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Wznowiono działalność noclegową ku uciechu turystów, którzy po wieloletniej przerwie wrócili na beskidzkie szlaki wędrówne. Taka sytuacja trwała jednak tylko niespełna 8 lat. Feralny **czwartek**, 19 marca 1953 roku (dwa tygodnie po śmierci Stalina) przyniósł tragiczną odmianę losu beskidzkiego obiektu.





50-letnia prowizorka

O trzeciej po południu budynek stanął nagle w płomieniach. W szybkim czasie spłonął doszczętnie. Ocalał natomiast stojący w sąsiedztwie budynek gospodarczy. Najbardziej prawdopodobną przyczyną pożaru był – jak później ustalono – niedopałek papierosa, rzucony niefrasobliwie na podłogę przez nieostrożnego turystę.

Ówczesne władze PTTK nie potrafiły wykorzystać otrzymanego z PZU odszkodowania i nie odbudowały spalonego schroniska. Urządzono tylko miejsca noclegowe w starym budynku gospodarczym. **Takie prowizoryczne rozwiązanie przetrwało – bagatela! – aż pół wieku.**

Dopiero 12 października 2003 roku oddano do eksploatacji – po 9 latach przewlekłej i obfitującej w niezwykle perypetie budowy – nowe schronisko na Hali Miziowej. Do dyspozycji turystów przekazano 88 miejsc noclegowych. Obiekt utrzymany w stylu nowoczesnego hotelu górskiego nie miał już jednak – jak można współcześnie ocenić – architektonicznej klasy swego poprzednika.

Czerwony kur w ziemie

Nie rozebrano przy tym starego schroniska. Pozostawiono je nietknięte w sąsiedztwie nowego obiektu. Z czasem zaczęło ono pełnić rolę chatki grillowej, przeznaczonej dla wędrujących w masywie Pilsko turystów. Budynek spłonął nieoczekiwanie w **czwartek**, 20 grudnia 2018 roku. Wezwani strażacy dotarli, co prawda, z Korbielowa na Halę Miziową ratrakami, quadami i skuterami śnieżnymi, przy aktywnej pomocy ratowników z GOPR-u, ale zimowe warunki poważnie utrudniły prowadzenie akcji gaśniczej. Okazało się, że na miejscu jest czynny tylko jeden hydrant.

A przecież wzdłuż grzbietu Pilsko przebiega tzw. „europejski dział wodny”, rozgraniczający pod względem geograficznym zlewnie Bałtyku i Morza Czarnego. Imponująca obfitość górskich strumieni i potoków w tej części Beskidu

Żywieckiego nie ułatwiła – paradoksalnie – gaszenia ognia. 30-osobowa grupa strażaków zdołała tylko uchronić nowe schronisko przed płomieniami.

Przyczyny dramatycznego zdarzenia pozostały do dziś niewyjaśnione. Personel schroniska nie jest, co prawda, przesądny, lecz od tamtego czasu uważnie przygląda się budynkowi w każdy czwartek, bez względu na porę roku. Wszak nieprzypadkowo mówi się, że strzeżonego Pan Bóg strzeże...

Schronisko samoobsługowe

Niebywale powikłane losy miało także schronisko na Wielkiej Raczy (1236 m n.p.m.). Przez długie lata było ono dostępne tylko dla wyjątkowo zaradnych i odważnych miłośników górskiej włości. Na przydrożnym słupie telefonicznym w małej miejscowości Rycerka Górna w Beskidzie Żywieckim widniał zaskakujący napis: „klucz do schroniska – u gospodarza we wsi”.

Działo się to w ponurych czasach PRL, w których piesza turystyka górską na terenach przygranicznych była mocno utrudniona, a niekiedy wręcz zakazana. Bliskie sąsiedztwo granicy międzypaństwowej stanowiło w latach powojennych poważną przeszkodę polityczną w swobodnym wędrowaniu po Beskidach. Surowe i pozbawione odpowiedniego wyposażenia tymczasowe schronisko na Wielkiej Raczy, oddalonej o ok. dwie godziny turystycznego marszu od Rycerki Górnej, było jednak – pomimo niesprzyjających warunków zewnętrznych – łakomym kąskiem dla poszukujący emocjonujących przygód.



Przedwojenne schronisko na Wielkiej Raczy

Uczciwi i rzetelni turyści

Urzędowym dozorcą raczańskiego obiektu stojącego w strefie nadgranicznej był Karol Peterman. U niego pobierało się klucz do – zamykanego na kłódki i zamki – schroniska. Turysta sam się obsługiwał w drewnianym obiekcie, pełniąc w nim odpowiedzialną rolę chwilowego gospodarza. Była tam mała kuchnia, siekiera, drewno opałowe, szklanki, talerze oraz garnki do gotowania. Opuszczając chatkę turysta ponownie zamykał ją, a klucz oddał do dozorczy.

Ówczesni bywalcy obiektu byli – co może dziś wydawać się zaskakujące – ludźmi uczciwymi i rzetelnymi.

– Przez cały czas takiej gospodarki nie tylko nie zdarzyło się, by ze schroniska cokolwiek zginęło, ale turyści zostawiali jeszcze niepotrzebne im już przedmioty i prowianty, a także świeżo narąbany stos drewna – pisał przed laty Edward Moskała, doskonale obeznany z realiami powojennej turystyki górskiej.

Raczańskie schronisko PTT z 1934 roku dotkliwie ucierpiało w trakcie zmagania wojennych. Usytuowany w bezpośrednim sąsiedztwie granicy polsko-czechosłowackiej obiekt był w 1945 roku kompletnie zrujnowany. Powyrywano z niego podłogi, drzwi i okna. Rozebrano i skradziono piece kaflowe. Przez dziurawą (rozbitą pickami) ścianę wpadał do środka deszcz i śnieg.

Dopiero w 1952 roku utworzono prowizoryczny schron turystyczny w stojącym obok budynku gospodarczym. Urządzono w nim dwie sale z piętrowymi (koszarowymi) łózkami. A właściwe schronisko na Wielkiej Raczy czekało natomiast... 18 lat na gruntowny remont. W pierwszej połowie dekad lat sześćdziesiątych wzbogaciło się wreszcie o przeszkloną werandę, a także o stylową jadalnię. Sale noclegowe nabrały rozsądnego wyglądu, a cały obiekt znalazł się w gestii PTTK. W późniejszych latach doprowadzono do niego wodę i energię elektryczną.

Pod koniec ubiegłego wieku obiekt został zaś rozbudowany. Powiększono go o część murowaną. Dysponuje dziś 46 miejscami noclegowymi. Jesienią 1997 roku z inicjatywy zaprzyjaźnionego z Polakami słowackiego turysty i narciarza Milana Tomana z Čadcy powstała ponadto na szczycie Wielkiej Raczy atrakcyjna platforma widokowa.

*

Korzystałem ze źródłowych księzek historycznych: „Schroniska górskie PTTK w województwie bielskim” Edwarda Moskały (1983), „Schroniska górskie w Karpatach Polskich w latach 1939-1945” Tomasza Mianowskiego (1987) oraz beskidzkiego przewodnika turystycznego Pascala z serii „Dookoła Polski” (2002). (Zdjęcia – FOTOPOLSKA)

Sami swoi w siedemdziesiąt lat później

To my jesteśmy Miasto. Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

ANTONI WILGUSIEWICZ

...i jeśli Miasto padnie a ocaleje jeden on będzie niósł Miasto w sobie po drogach wygnania on będzie Miasto...

Herbert. *Raport z obłożonego Miasta*

Kim są kresowianie? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi, jak też nie ma jednoznacznej definicji pojęcia Kresy. Kresy zresztą (w odniesieniu do Polski oczywiście) mogą być Wschodnie i Zachodnie – to ostatnie pojęcie po II wojnie światowej zastąpiono pojęciem Ziemi Odzyskane, a potem Ziemi Zachodnie i Północne. Dziś już zupełnie nie jest używane, a Wrocławia i Szczecina (już nie mówiąc o Katowicach!) nikt jako Kresów nie postrzega. Odwrotny proces nastąpił na wschodzie – Lwów niegdyś był miastem leżącym w centralnej Polsce, a Kresy zaczynały się gdzieś w okolicach Kamieńca Podolskiego. Dziś przeciętny Polak zapytany o Kresy wymieni przede wszystkim Lwów i Wilno; kto pamięta o takich województwach kresowych, jak smoleńskie czy czernihowskie?

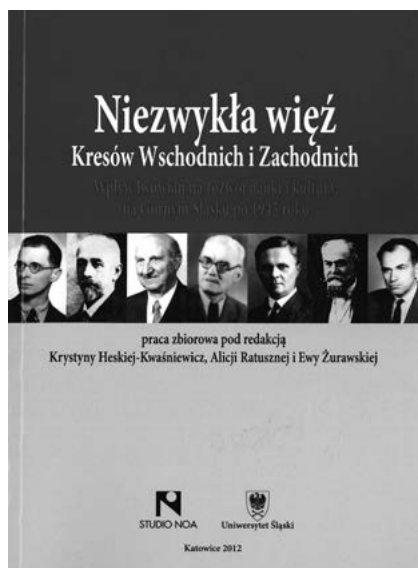
A co z kresowianami? W potocznej świadomości to osoby wywodzące się z ziem II Rzeczypospolitej, które w wyniku postanowień jałtańskich zostały włączone w obręb ówczesnego ZSRR, a dziś leżą w granicach Ukrainy (Kresy Południowo-Wschodnie) oraz Litwy i Białorusi (Kresy Północno-Wschodnie). Czy jednak chodzi tylko o osoby tam urodzone czy też także ich potomków – dziś już w drugim, trzecim, a nawet czwartym pokoleniu? A podchodząc mniej formalnie – czy chodzi tu o fakt narodzin, ewentualnie zamieszkania w dzieciństwie lub wczesnej młodości na Kresach czy też o stan ducha i świadomości? Albo bardziej brutalnie – czy kresowianinem jest ktoś, kto otrzymał odszkodowanie za mienie tzw. zabużańskie pozostawione na Kresach przez swoich przodków i na tym zakończył zain-

teresowanie Kresami, czy też ktoś, kto kultywuje tradycje kresowe, przekazuje je swoim potomkom, albo wręcz działa w organizacjach i stowarzyszeniach kresowych, jeździ na Kresy, pomaga tamtejszym Polakom? Według badań socjologicznych osób o korzeniach kresowych, a więc urodzonych na Kresach lub mających przodków tam urodzonych jest w Polsce około 15%, przy czym z przyczyn historycznych ogólnie znanych rozłożenie ich w skali regionalnej jest bardzo nierównomierne – od 3% na Kielecczyźnie i 5% w Łódzkiem do około połowy w województwach dolnośląskim i lubuskim. W województwie śląskim jest ich 11%, przy czym oczywiście w takich miastach, jak Bytom, Gliwice czy Sosnowcu jest ich znacznie więcej niż w Sosnowcu lub Zawierciu.

Osoby o korzeniach kresowych (choć oczywiście nie jest to warunkiem przyjęcia!) o silnie rozwiniętej potrzebie kultywowania swojej kresowości działają w organizacjach tzw. kresowych. Najstarszą z nich i wciąż najbardziej reprezentatywną jest Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z siedzibą we Wrocławiu, powstałe we wrześniu 1988 roku. Data ta jest ogólnie przyjęta jako początek tzw. ruchu kresowego w Polsce, oczywiście w formie zorganizowanej, która w latach PRL była niedopuszczalna – także z przyczyn ogólnie znanych. Impulsem do powstania tego ruchu było – przynajmniej moim zdaniem – ukazanie się pierwszego wydania książki Stanisława S. Niciejki *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*. Ukazała się ona w czerwcu 1988 roku w nakładzie 30 tys. egzemplarzy, które rozeszły się w tempie błyskawicy; wkrótce nastą-

piło kilka kolejnych dodruków, równie szybko rozprzedanych, a profesor Niciejka, zresztą niekresowianin, został – prawdopodobnie w sposób zdumiewający dla niego samego – guru ruchu kresowego, którym jest do dzisiaj. Na każde spotkanie z nim, obecnie promujące kolejne tomy dzieła *Kresowa Atlantyda* walą tłumy, a książki mimo niemałej ceny nie leżą długo na półce. W roli owego guru rywalizują z nim, choć na pewno trafniej jest powiedzieć współlistnieją, takie osoby, jak ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, niestrudzony w dochodzeniu prawdy zwłaszcza o tzw. ludobójstwie wołyńskim, pani Danuta Skalska, popularna przede wszystkim jako redaktorka audycji *Lwowska Fala* w Radiu Katowice, słuchanej przez kresowian na całym świecie, Tomasz Kuba Kozłowski działający w warszawskim Domu Spotkań z Historią, ale wygłaszający pogadanki kresowe na terenie całego kraju. Znane i szanowane postacie to także Stanisław Srokowski, pisarz i publicysta, którego opowiadanie *Nienawiść* stało się podstawą scenariusza filmu *Wołyń* Wojciecha Smarzowskiego, Ryszard Jan Czarnowski, autor popularnych książek z dziejów Lwowa i Kresów, czy Przemysław Włodek, lekarz z Krakowa, niestrudzenie spisujący i wydający po kolei dzieje lwowskich ulic i poszczególnych domów czy kościołów. *Last but not least* to także redaktor Marcin Hałas, który swój wojowniczy charakter wyraził najdobitniej w tytule książki *Oddajcie nam Lwów* skutkowało to zakazem (miejmy nadzieję, że czasowym!) wjazdu na Ukrainę.

Wracając jednak do Towarzystwa Miłośników Lwowa, którego nazwę po krótkim czasie uzupełniono o człon „Kre-



sów Południowo-Wschodnich”, a które szybko uzyskało swoich członków i oddziały na terenie całego kraju. Niedawno odbyły we Wrocławiu Krajowy Zjazd Delegatów stał się okazją do przyjrzenia się obecnej kondycji ruchu kresowego i perspektywom jego rozwoju. Jako jeden z delegatów miałem okazję uczestniczyć w obradach „od kuchni”, a ponieważ jeden głos zaważył na tym, że nie wszedłem do władz ogólnokrajowych Towarzystwa mogę w miarę obiektywnie swoje refleksje przedstawić. Są one i pesymistyczne, i optymistyczne.

Pesymizm wywodzi się z faktu, że ruch kresowy – przynajmniej w ramach organizacji, o której mówimy – tkwi w koleinach, w które wszedł 28 lat temu. Wówczas to tłumy entuzjastów, przede wszystkim rodowitych lwowian i kresowian, zasilili jego szeregi, a wielu z nich aktywnie uczestniczyło w działaniach, które kontynuowane są do dziś. Należy tu wymienić:

- pogadanki, prelekcje i wydawnictwa popularyzujące tematykę kresową;
- organizację wyjazdów na Kresy;
- kwesty na rzecz pomocy zamieszkałym tam Polakom oraz na remontację cmentarzy oraz innych zabytków kultury polskiej na Kresach.

Z biegiem czasu, co jest oczywiste, liczba członków zaczęła maleć, a wielu wybitnych i znanych działaczy i popularyzatorów, jak Witold Szolginia, Jerzy Michotek, Jerzy Janicki odeszło do wieczności. Zaczęto więc zdawać sobie sprawę z tego, że bez przekazania dziedzictwa kresowego młodzieży i wstępowania jej w szeregi Towarzystwa umrze ono śmiercią naturalną. Pojawiły się więc konkursy wiedzy o Kresach, festiwale piosenki kresowej itp. adresowane przede wszystkim do młodzieży szkolnej. Sęk w tym, że nie przyniosły one zmiany warty w Towarzystwie ani w metodach jego działania. TMLi KPW nadal kierowane jest przez tę samą od lat ekipę wypróbowanych działaczy, wybiera-

nych przez działaczy z terenu, którym dotychczasowe metody pracy całkowicie odpowiadają. Główny organ Towarzystwa, czasopismo Semper Fidelis, oparte na dotacjach państwowych nie może być z tego powodu sprzedawane w kioskach, a nawet gdyby było, to i tak nie cieszyłoby się poczytnością – kto nie wierzy, niech przejrzy kolejny numer (choć zamieszcza także i moje artykuły!). Zarząd Główny nie posiada nawet strony internetowej (!), co jest wręcz niewiarygodne (mają ją tylko niektóre, bardziej prężne oddziały). Jak w tej sytuacji myśleć o pozyskaniu młodzieży? Nic więc dziwnego, że z TML odeszli niektórzy, bardziej aktywnie nastawieni działacze i całe grupy członków, tworząc osobne organizacje, jak choćby Stowarzyszenie Kresowian Kędzierzyn-Koźle. Pojawiły się nowe ruchy i inicjatywy, np. znakomita akcja „Mogile pradiada ocal od zapomnienia”, fanklub Pogoni Lwów, odrodzonej kilka lat temu i wiele innych, w dużej mierze związanych z ruchem narodowym, choć oczywiście nie tylko.

Obecny zjazd ukazał słabość organizacji, ale także całego tzw. ruchu kresowego – skostnienie metod działania połączone z ambicjami działaczy, prowadzącymi do różnego typu animozji, a nawet wręcz awantur. Organizując imprezę kresową muszę zastanawiać się, czy zaprosić pana X, bo wtedy nie przybędzie pani Y, a jeśli będzie ona, to nie ma co liczyć na prezydenta miasta Z. I tak dalej, i tak dalej... Była jednak mowa o optymizmie. Skąd go czerpać? Mimo wszystko na zjeździe z największą liczbą głosów do Zarządu wszedł młody działacz z Warszawy, Jan Szymański, a także dwoje innych młodych – oczywiście jak na standardy TML! – działaczy, którzy przedstawili się zebranym w bardzo sensowny i ciekawy sposób. Zaprezentowano także biuletyn Oddziału Stołecznego TML, redagowany ciekawie i w atrakcyjnej, nowoczesnej szacie graficznej. Przeszłość więc pokaże, czy TMLiKPW zakończy swój żywot jako grupa sentymentalnych 90-latków wspominających rodzinne Kresy przy herbatce i ciasteczku, czy też odegra ważną rolę w polskim ruchu kresowym XXI wieku. Ogromną rolę powinien odegrać tu film *Wołyń*, który problematykę Kresów Wschodnich, wciąż mimo wszystko niszową, powinien wprowadzić do szerokiego obiegu społecznego. Może dlatego nie został nagrodzony na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni...

Artykuł ten napisałem w 2016 roku, po Zjeździe TMLiKPW we Wrocławiu; wywołał on zresztą wówczas pewną konsternację wśród tzw. działaczy kresowych, zadowolonych z siebie i swojej działalności. Zdecydowałem się przypomnieć go obecnie, z okazji kolejnego Zjazdu odbytego zresztą z powodu pandemii z półtorarocznym opóźnieniem. Znako-



mita większość tekstu jest nadal aktualna; przez kolejnych 5 lat Towarzystwem nadal kierowała wypróbowana grupa działaczy, a młodzi zostali szybko spacyfikowani. Powstała co prawda strona internetowa Zarządu Głównego <https://tmlikpw-zarzadglowny.pl> ale jej aktualność i bogactwo treści – mówiąc delikatnie – zostawia wiele do życzenia. Podobnie zresztą czasopismo *Semper Fidelis*, które – także z powodu pandemii – wychodzi bardzo rzadko.

Sytuacja ta spowodowała jednak bunt części działaczy, przede wszystkim z województwa śląskiego, skupionych wokół Adama Kiwackiego, Prezesa Oddziału TML iKPW w Częstochowie. Dał się on poznać w środowisku jako aktywny, mający szereg pomysłów i potrafiący je realizować działacz, twórca m.in. niewielkiego, ale bardzo ciekawego Muzeum Kresów w siedzibie Oddziału (warto je zwiedzić – Częstochowa, ul. Nowowiejskiego 3).

Grupie tej udało się przekonać większość delegatów do wyboru zarówno nowego Prezesa, jak i Zarządu Głównego, złożonego niemal wyłącznie z osób cieszących się jego zaufaniem. Co prawda średnia wieku członków Zarządu jest nadal wysoka, ale jest to już wyłącznie II pokolenie kresowian, urodzone po Jałcie. Są więc powody do ostrożnego optymizmu co do przyszłości ruchu kresowego, tym bardziej, że jeden z jego głównych postulatów – utworzenie Muzeum Kresów w Brzegu na Opolszczyźnie – ruszył z miejsca (choć do oddania go do użytku zwiedzających droga jeszcze bardzo daleka). Również organ prasowy Towarzystwa, czyli wspomniane *Semper Fidelis*, ma zostać zdynamizowany dzięki powołaniu nowego Kolegium Redakcyjne- go złożonego ze znanych i kompetentnych w tematyce kresowej osób, wśród których mam przyjemność się znaleźć.

PS Redaktor Marcin Hałas swobodnie wjeżdża już na Ukrainę i bardzo często przebywa we Lwowie, skąd nadsyła ciekawe i aktualne korespondencje.

Operowy

Roberto Skolmowski, „Carmina Burana” i „Wesele Figara”

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Kiedy dowiedziałem się, że Teatr Wielki w Łodzi przygotowuje – kilkakrotnie przekładaną z powodu pandemii – premierę „Wesela Figara” Wolfganga Amadeusza Mozarta, nie byłem tym zachwycony ze względu na fakt, że widziałem wcześniej realizację tej opery komicznej, zrobione dość siermiężnie i bez polotu, więc zamykałem oczy i słuchałem pięknej muzyki, nie zważając na niedociągnięcia w reżyserii i stronie wizualnej. Tutaj jednak przyciągnęły mnie przede wszystkim dwa nazwiska: Roberto Skolmowskiego i Pawła Dobrzyckiego.

Obchodzący 35-lecie pracy artystycznej Skolmowski debiutował w Operze Śląskiej jako reżyser „Rigoletta” w 1987 roku. Od tej pory zrealizował około 100 spektakli, z których ponad połowa to widowiska operowe, także wielkie inscenizacje we Wrocławiu („Straszny dwór”, „Trubadur”, „Carmen”), o których było głośno nie tylko w Polsce. Pamiętam dobrze jego wyjątkową inscenizację kantaty scenicznej „Carmina Burana” Carla Orffa w Operze Śląskiej (2008), nagrodzoną aż czterema Złotymi Maskami. Reżyser zaprosił do współpracy dodatkowo aktorów Wrocławskiego Teatru Pantomimy, tancerzy break dance, judoków, alpinistów i chór dziecięcy, a w scenografii Radosława Dębniaka zachwycała potężna konstrukcja Koła Fortuny. (7 lat wcześniej Skolmowski wyreżyserował „Carmina Burana” w Operze Wrocławskiej, w choreografii Henryka Konwińskiego i Aleksandra Sobieszewskiego; nie widziałem tej inscenizacji, więc nie mogę jej porównać z bytomską.) Twórcą choreografii był tu Maciej (Maćko) Prusak, związany przed laty jako tancerz z Wrocławskim Teatrem Pantomimy, gdzie występował w wybitnych spektaklach Henryka Tomaszewskiego: „Śnie nocy letniej” wg Szekspira i „Kaprysie” wg Hauptmanna, a jako choreograf współpracuje z dobrymi efektami m.in. z Janem Klatą. Rzykowny, ale bardzo udany był pomysł przeniesienia tego widowiska z małej bytomskiej sceny do gigantycznej sali katowickiego „Spodka”. Powiększono ilość wykonawców do 200 osób: zwiększono ilość muzyków, artystów chóru i tancerzy. Dyrygował Tadeusz Serafin. To wielkie wydarzenie artystyczne towarzyszyło Kongresowi Kultury Województwa Śląskiego.

Od 1988 roku artysta współpracował aktywnie z Teatrem Wielkim w Poznaniu i Operą Wrocławską. Jako dyrektor Opery i Filharmonii Podlaskiej w Białymstoku wyreżyserował „Straszny dwór” Moniuszki, „Traviatę” Verdiego, „Jasia i Małgosię” Brzechwy oraz musical Chrisa Williamsa „Korczak”. Opinie o jego realizacjach są generalnie bardzo dobre, ale w 2014 roku odwołano go ze stanowiska dyrektora ze względu na finansowe problemy zarzą-

danej przez niego instytucji. Po odwołaniu wyreżyserował tam jeszcze słynny musical Bocka „Skrzypek na dachu”.

Natomiast w Teatrze Wielkim w Łodzi Skolmowski reżyserował już „Napój miłosny”, „Bajaderę” (z A. Stanisławską), „Don Pasquale”, „Zemstę nietoperza”, „Czarodziejski flet”, „Moc przeznaczenia”, „Impresaria w opałach” i „Małego kominiarczyka”. Po 15 latach przerwy mamy wreszcie na deskach łódzkiego teatru kolejną – bardzo udaną – inscenizację tego artysty. Akcja łódzkiego „Wesela Figara” toczy się w hiszpańskiej Sewilli nie w XVII wieku (jak zapisał librecista Lorenzo da Ponte), lecz na początku XVIII wieku (zgodnie z pierwowzorem literackim Pierre’a de Beaumarchais). Dekoracje i kostiumy Pawła Dobrzyckiego robią niesamowite wrażenie. Dodatkowo potężne drewniane ściany stają się – jak mówi reżyser – „tubą akustyczną”, dzięki czemu bardzo dobrze docierają do widzów głosy śpiewaków.

Ogromną zaletą spektaklu jest fakt, że recytatywy są tu śpiewane po polsku według wspaniałego przekładu Stanisława Barańczaka, dzięki czemu publiczność może łatwiej podążać za skomplikowaną intrygą i bawić się grą słów. (Podobnie jest w Warszawskiej Operze Kameralnej, w spektaklu wyreżyserowanym przez Grzegorza Chrapkiewicza.) Z przyjemnością obejrzałem to przedstawienie. Kierownikiem muzycznym jest bardzo dobry dyrygent Adam Banaszak, od stycznia 2022 roku nowy zastępca dyrektora do spraw artystycznych w Teatrze Wielkim w Łodzi. Sprawdził się już wcześniej jako kierownik muzyczny w Teatrze Muzycznym w Poznaniu oraz w Operze Wrocławskiej. Wysocki był poziom artystyczny śpiewaków. W tej operze nie można tylko skupiać się na śpiewaniu, ale trzeba pokazać również aktorski talent komediowy – i to się bardzo udało. Na drugiej premie-



Wesele Figara, fot. J. Miklaszewska

rze 19 grudnia 2021 roku podziwiałem między innymi: młodego, utalentowanego Arkadiusza Anyszkę w partii Almavivy, gwiazdę teatru Patrycję Krzeszowską jako marzącą o wielkiej miłości Hrabinię, Hannę Okońską w roli zabawnej pokojówki Zuzanny, Artura Jandę jako pełnego temperamentu Figara, Michała Sławeckiego w roli trochę szalonego pafia Cherubina, Olgę Maroszek w charakterystycznej roli rubasznym klucznicy Marceliny i Roberta Ulańskiego jako przemądrego doktora praw. Warto więc wybrać się do Łodzi, tym bardziej, że Teatr Wielki świętuje obecnie swoje 55-lecie. Na okres karnawału zaplanowano między innymi wielką „Galę Jubileuszową”, „Zemstę nietoperza” Straussa (reż. i chor. Giorgio Madia), wybitny spektakl baletowy „Grek Zorba” z muzyką Theodorakisa (chor. Lorca Massine), dobry od strony muzycznej oraz teatralno-aktorskiej „Straszny dwór” Moniuszki (reż. Krystyna Janda), nowatorski od strony reżyzerskiej „Baron cygański” Straussa (reż. Tomasz Konina) i zabawną operę komiczną „Don Pasquale” Donizettiego (reż. Michał Znaniecki).

A wracając do Roberto Skolmowskiego, warto byłoby zaprosić tego wyjątkowego artystę do realizacji jakiegoś spektaklu operowego lub musicalowego na Śląsku. ■

W życiu tak bywa, że na naszej drodze pojawiają się cudowne osoby -anioły, które nawet po zniknięciu z tej drogi na jakimś etapie i tak pozostają w naszych myślach i wpływają na nasze działania. Spotykałem takie osoby, tyle dobrego im zawdzięczam, ich nieobecność odczuwam dotkliwie, bardzo mi ich brakuje. Brakuje mi Barbary Buczkówny, Stanisława Moryty, Marcina Błażewicza. Teraz odeszła kolejna, bliska mi niegdyś koleżanka, kompozytorka Jolanta Zdechlikiewicz-Reclik.

Jola – tak się do niej zwracałem – przyszła na świat 25 października 1959 roku w Czeladzi. Muzyką i sztuką w ogóle zainteresowała się spontanicznie i od wczesnych lat konsekwentnie dążyła do celu osiągnięcia zawodowego poziomu w artystycznej pracy. Początkowo myślała o pianistyce. Dopiero po latach odkryła swoje prawdziwe powołanie, odkryła – samą siebie. Można powiedzieć, iż jej droga do komponowania była raczej długa i niełatwa. Jak wyznała mi w rozmowie, którą w 1983 przeprowadziłem z nią dla „Wieczoru”, popularnego naówczas popołudniowego dziennika: *Przez wiele lat moje zainteresowania oscylowały wokół zagadnień odtwórczych. Miałam zostać pianistką. Jednak, w pewnym momencie, zdałam sobie sprawę, iż samo odtworzenie mi nie wystarczy. Między najbardziej twórczym odtwarzaniem a najprymitywniejszymi, naiwnymi formami tworzenia różnica jest ogromna. Komponując muzykę, tworząc ją, odczuwam zupełnie odmienny rodzaj satysfakcji niż podczas grania nut zapisanych wcześniej przez kogoś innego – nawet Beethovena. Rozpoczęłam więc studia na Wydziale Teorii Muzyki, Kompozycji i Dyrygentury katowickiej Akademii Muzycznej. Pierwszy rok spędziłam w tej uczelni jako wolna słuchaczka – nie zostałam po prostu przyjęta – ale zaliczyłam go i na rok drugi przyjęto mnie bez egzaminów. Początkowo wiele osób nie wierzyło w to, że pogodzę teorię teoretyczne z kompozytorskimi. Przecież jestem kobietą, a kobiety, jeśli już mają rozum, bardziej zdadne bywają do garów i dzieci niż do kompozycji... Pomógł mi wtedy mój późniejszy nauczyciel, profesor Edward Bogusławski.*

Miała więc szanse zrealizować marzenia – i tak też zdecydowaliśmy zatytułować ten wywiad. Prawdę mówiąc, mimo pomocy Bogusławskiego, który popierał ambicje młodej kompozytorki, ich relacje nie były łatwe. Doceniała jego pedagogiczną elastyczność: *O ile zwykle student musi się nagiąć do często bezsensownych, wymagań i indywidualności swego profesora (jeśli nią dysponuje), o tyle on czyni odwrotnie, przystosowując się jak gdyby do indywidualności swych uczniów. Pokazując profesorowi świeżo powstający utwór nigdy nie słyszę brutalnych, negatywnych ocen czy prób narzucenia jakiegokolwiek obcego mej estetyce punktu wi-*

Odejście szczerzej kompozytorki



PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

*dzenia. Są natomiast wartościowe uwagi-sugestie. Profesor pozostawia nam bardzo dużą swobodę forsowania własnych koncepcji. Jednakże Bogusławski lubił muzykę dynamiczną, muzykę rozwoju, pełną perypetii, ruchliwą i wysoce ekspresyjną – a tu pojawiła się kompozytorka z zupełnie odmienną wizją muzyki: zdecydowanie introwertycznej, cichej, budowanej z długich, delikatnie splecionych punktów i linii, a równocześnie drażącej bogaty świat wyrafinowanego, subtelnie cieniowanego brzmienia, co oddają same tytuły: *Games of Colours* na orkiestrę (1985); *Rainbow Music* na zespół kameralny (1983); *Tam, gdzie się kończy tęcza* na głos i instrumenty (1988); albo *Painting Inside Your Freedom* na zespół kameralny (1991). Nie bez kozery mówiła o swoich wzorach: *Jeśli chodzi o tych, których muzyka mnie fascynuje – wymieniałabym nazwiska Witolda Szalonka, Charlesa Ivesa, genialnego amerykańskiego kompozytora, tworzącego w pierwszej połowie XX wieku oraz Oliviera Messiaena, kompozytora francuskiego. Szalonkowi zawdzięczała predylekcję do nietypowych rozwiązań barwowych (Ogród motyli na fortepian i 60 kieliszków z 1996; Czerwone liście wirują za mną... na wiolonczelę i szeptu jesiennie z 2000; Kryminalny walc na fortepian solo i dwoje pianistów z 2003). The Unanswered Question Ivesa uważała, i słusznie, za jedno z kluczowych dzieł XX wieku. W muzyce Messiaena podziwiała mistyczne uniesienie płynące z głębokiej wiary oraz polikolorystykę harmoniczną. Ja bym tu jeszcze dorzucił nazwiska Mortona Feldmana, twórcę muzyki statycznej, spokojnej i dynamicznie stonowanej, a także Erika Satiego, Henry'ego Cowella i Johna Cage'a, których (odmienne, indywidualne) podejścia do zagadnień preparacji fortepianu musiały ją inspirować – będąc pianistką dużo na ten instrument pisała.**

Poznaliśmy się, o ile mnie pamięć nie zawodzi, w 1982. Jola miała już okazały dorobek i to o sporym ciężarze gatunkowym. Mnie szczególnie podobały się dzieła z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wśród których wymienić można *Haiku* na kontrabas, *Trzy scherzina z zakończeniem na d*, *Over and over again* na zespół kameralny, *Cztery utwory* na wiolonczelę i dwa kontrabasy, *Preludium, Intermezzo e Aria* na orkiestrę smyczkową, a także *Nauczę się nie pamiętać* na sopran i harfę (1981) oraz *Nokturny* na trzy flety, flet altowy, klarinet i czeleste (1983).

Cierpiała, jak my wszyscy, z powodu braku wykonań: *Sytuacja młodych twórców jest beznadziejna! Młodemu kompozytorowi nie pomagają literalnie nikt. Dotychczas, np., skomponowałam prawie dwadzieścia utworów i „szczęść się” aż trzema (!) wykonaniami. Mimo to była pogodna, emanował z niej specyficzny stoicki optymizm.*

Z zamiłowaniem pracowała z dziećmi kreując dla nich serię utworów, z których co najmniej kilka zasługuje na miano klasyków. Ten rodzaj twórczości jest chyba najtrudniejszy – ale Jola wychodziła z takich kompozytorskich bojków zwycięsko.

Miała przesympatyczną obsesję na punkcie niezależności i szczerości wypowiedzi, a to cechy piękne: *Każda sztuka, także i muzyka, powinna być nade wszystko szczerą. Muzyka musi stanowić produkt szczerości kompozytora wobec siebie i samej muzyki. Nigdy [nie kieruję się dyktatem publiczności]! Przecież byłoby to strasznie nienaturalne – odbiorca narzucający artyście swą estetykę. Powtarzam – artysta musi być szczerzy! Szczerą pozostała do końca.*

Pożegnano ją 23 grudnia 2021 w Kościele Rzymskokatolickim pw. Św. Archaniołów Michała, Gabriela i Rafała w Czeladzi.



PŁOMIENIE

Płomienie we mnie
 Te co już zgasły i jeszcze nie wybuchły
 Płonę cały tymi co teraz
 od włosów po myśli i przecucia
 Bez przerwy
 Nie gasnę nawet na chwile snu
 który też płomienny
 wielobarwnymi jezorami zdumień
 rozpała noce i gasi dni

Pożar pożarł mnie doszczętnie
 dopopielnie
 Nie mogę się ochłodzić
 ostygnąć
 zatrzymać

Wiatr wiejący nie wiadomo skąd i po
 co trzeźwym dniem i pijaną nocą
 nie daje zgasnąć
 skulić się w iskry
 w popiół którym posypałbym głowę
 i te myśli tak bezwstydnie kolorowe:
 niebieskozielone od miedzi
 żółtopomarańczowe od sodu
 zielonożółte od baru
 a czerwone
 najczerwniejsze
 od miłości niespełnionej
 - tej co była i nie będzie

Płomienie płomienie
 dokoła mnie i we mnie
 otulają przerażają
 i rzucają w przepaść piekła
 i unoszą ponad siódme niebo

SKAZANIEC

Skazany za wrażliwość na myślenie
 mówienie śpiewanie pisanie
 na dzielenie się sobą po kawałku
 bez ustanku
 na okrągło i kanciasto do utraty tchu i snu
 z prywatnością wywleczoną na ciekawski świat
 i ze światem zamkniętym na cztery wiatry
 w kasie pancernej głowy (w której skowyt)
 gdy serce jeszcze bije
 tłoczy coraz bledszą krew
 wciąż wolniej
 nim zastygnie w kryształ lodu
 oczy staną w słup
 a duszyczka się uniesie w jesień
 wreszcie wolna

GESTY

Tyle gestów daremnych
zbytecznych
niepotrzebnych załamania rąk
wymachiwania pięściami
podawania ręki na zgodę
gdy w drugiej za plecami nóż

Tyle gestów w zamyśle
w domyśle
zanim jeszcze przytulą czy zranią
nim się pojawią
na wyciągnięcie pragnień czy lęków
zdławiają krzyk
wykrzyczą ciszę

Tyle gestów skrytych
w twym spojrzeniu
- nie do ukrycia

JA?

Czy to jeszcze ja czy oni we mnie
- ona drażniąca serce
- on zatruwający umysł
Jeszcze tylko ręce i nogi są moje
choć mnie już nie słuchają
robią co chcą i idą gdzie chcą

Ile we mnie mnie zostało? Mało
bo przepędzili wyrzucili podmienili
moje ja na ich widzimię
i już nie patrzę własnymi oczami
nie rozróżniam barw i dźwięków

Poszarzała mi duszyczka
skuliła się skundliła
- szłocha na ramieniu
przerażona i bezradna

Rozpaczliwie szukam siebie w sobie
Posklejany z obcych myśli
poskładany z cudzych snów
chorych idei
Z odrąbaną świadomością
a doszytą przyszywaną zgodą
na wszystko co nie moje i obce

Lecz spróbuję przyjść do siebie
wrócić
myśl po myśli
słowo po słowie
krok po kroczku żebym poczuł
że ja to prawdziwie JA

JUŻ IDE

Z głową pod pachą by jej nie zgubić
ze złamanym sercem na temblaku
tam gdzie myśl poniesie

Doganiać gasnące słońce
Uciekać przed wschodzącą śmiercią
Potykam się o ludzi spotykam zwierzęta
i przypominam
i pamiętam
że nie wolno mi przystanąć
zatrzymać się znieruchomieć w skałę

Choćby mi powiązali nogi –pójdę
Choćby mnie przywalił krzyż
ciężki jak walec drogowy
będę się czołgał dalej i dalej
aby się zbliżyć i odnaleźć sens
którym droga
i bezdroża do wydeptania
- nawet wtedy gdy nie będę
miał już nóg

AVE

Witaj chwilo
Zawsze jesteś
Bez początku i końca
Kresu i zarania
Gdzie i kiedy – kropło czasu
W oceanie bezkresnym bezdennym
choć przy mnie i we mnie
W każdej chwili przyjmuję cię chwilo
z otwartymi ramionami
serca
duszą bielutką
jak w dniu narodzin
tą czystą nadzieją
że będziesz wreszcie tą
co przyniesie spokój – ten święty –
którego mi świat dać nie może
ale ty możesz jeśli tylko zachcesz
bo jesteś spoza tego świata
utkanego z żądzy władzy
pieniądza i zniewoleń
Ty chwilo wolna wolnością stworzona
bym czekał na ciebie cierpliwie
i ufnie czuwał
by się z tobą nie rozminąć
gdy się zjawiasz bym mógł cię przywitać
z tą pewnością
że mnie już nie opuścisz moja chwilo
a staniesz się początkiem
wieczności

GWIAZDA

Raz jesteś jasną gwiazdą
która oświetla wschody i zachody
to znowu ciemną
najciemniejszą
spod której wyzierają czarcie typy
Jednak jaką jesteś
w danej czy zadanej chwili
zawsze patrzysz mi prosto w oczy
hipnotyzująco zniewalająco
przenikasz mnie światłem i mrokiem

Dzięki tobie żyję
często życiem nie do życia
umieram umieraniem nie do śmierci
ale zawsze najprawdziwiej
w tym świecie na niby
(dopiero tamten będzie na serio)
który mi przysłonił bym zobaczył
rozjaśnił bym oślepnął
i czuł każdą chwilę jeszcze radośniej
i boleśniej
nim tajemnice tajemnego różańca
co przepływa przez palce
nie mijając bezgłośnie
bo ryje w każdej chwili
- grani na górze czasu –
ścieżki wiodące zawsze w górę
w to miejsce gdzie się spotkamy
i wszystko będzie takie jasne i czyste
jak przed stworzeniem
człowieka

DOTYK ŚWIATŁA

Dotykam światła
parzy kłuje ziębi
przenika czerń i mrok
budzi się w ciszy
pęczniejące w krzyk
Nazywa imionami
kszałty skrywane mgłą
Wydobywa z wnętrza nocy
wszystkie barwy tęczy
rozwieszona na firankach snów
Światło
schowane w pustce
jak skrzydła listków w pąkach
nim wybuchną zielenią
i uniosą wysoko
ponad małość szarość – siostrę mroku
chcącą przybić do brudu ziemi
i chaosu zwątpień
Światło
patrzy mi prosto w oczy
bym oślepnął na ciemność
i unosi
coraz wyżej
wsysa w świetlistość
bym przejrzał i dojrzał
do owoców spadających w ręce
wpadających do serca
otulających
prowadzących
w to czułe miejsce pod słońcem
gdzie już nie zgasną

Z familoka do kameruńskiej dżungli

JANUSZ PLEWNIAK

Nie widzieli białego

Kto i gdzie w XXI wieku nie widział jeszcze białego człowieka? To czarni Ewondo, członkowie czwartego wielkością plemienia stanowiącego 7,5% ludności kraju w południowym Kamerunie. A jeszcze dokładniej, nie oni wszyscy, lecz grupy rozsiane we wioskach kameruńskiej dżungli. A białego owszem, od wielu lat widują, ale jednego jedynego, swego księdza Adalberta. Nagle mieli okazję naocznie się przekonać, że nie on jeden ma białą skórę. Do Pater Adalberta – czyli księdza Wojciecha Grzywocza przybyli inni biali z Europy, czyli my dwaj.

Buńczucznym byłoby się wypowiadać o Kamerunie po kilkutygodniowym pobycie. Przedstawiam własne, kompaktowe wrażenia stamtąd: zauroczenie pięknym kobiet, gościnnością wieśniaków, dziewiczą dżunglą, ale także nieustanny brud, ubóstwo, powszechność chorób: AIDS i malarii.

Kamerun jest dwudziestosześcioletnim państwem w zachodniej Afryce, tuż ponad równikiem, ze stolicą w Yaounde. Terytorium Kamerunu 475 440 km² to około półtora raza więcej niż Polska, tyle mniej więcej co amerykański stan Kalifornia.

Do wybrzeży Kamerunu pierwsi na początku XVI wieku dotarli Portugalczycy. Ich nieliczne nadbrzeżne faktorie handlowały różnymi towarami, ale głównie niewolnikami. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku powstały pierwsze misje chrześcijańskie. W roku 1884 Kamerun stał się kolonią niemiecką. Najstarszy murowany, do dzisiaj zachowany i czynny kościół katolicki w stolicy Yaounde postawili misjonarze niemieccy w 1905 roku.

Często czyta się o zagrożeniach obcych ludów chorobami przyniesionymi przez białych. To działa w obie strony. W początkowym okresie biali misjonarze umierali po roku, najwyżej po dwóch latach od przybycia do Kamerunu, uśmierceni nieznanymi w Europie zagrożeniami roznoszonymi przez tutejsze insekty.

Po pierwszej wojnie światowej Kamerun został podzielony pomiędzy Wielką Brytanię i Francję. W latach sześćdzie-

siątych XX wieku najpierw część francuska, a następnie około 1/3 południowej chrześcijańskiej części angielskiej utworzyła Federacyjną Republikę Kamerunu. Pozostałe muzułmańskie 2/3 byłej kolonii angielskiej wchłonęła Nigeria.

Ustrój polityczny Kamerunu to połączenie demokracji parlamentarnej z systemem prezydenckim. By się nie rozpisywać nad różnicą teorii i praktyki, wystarczy gdy powiem, że prezydent ma bez mała nieograniczoną władzę, a tę od 1982 roku wciąż sprawuje ten sam urodzony w 1933 roku Paul Biya. Dodam, że wcześniej, zanim zmienił fotel na prezydencki, już od 1975 roku był premierem.

Opuszczając z synem Łukaszem wnetrza potężnego Airbusa w stolicy Kamerunu Yaounde, byliśmy jedynymi białymi pasażerami.

Zacznę opowieść od przygody w Mbalmayo, od kradzieży aparatu fotograficznego. Jednego z aparatów fotograficznych, bo mieliśmy dwa. Drugiego dnia pobytu tamże, mieście około 50 km od Yaounde, skradziono mi Olympusa. Złodziej wyrwał mi go poprzez otwarte okno samochodu na postoju, gdy czekaliśmy na księdza Wojtka kupującego potrzebne oleje do auta.

Mniej żał mi było aparatu, a bardziej już wykonanych fotografii. Spontanicznie, bez chwili namysłu wyskoczyłem z samochodu i zacząłem biec za czarnoskórym bandziorem. Potknąwszy w pogoni za złodziejem, przewróciłem się i do krwi potłukłem. Acz to był dobry omen. Gdy po podniesieniu się i jeszcze parunastu niepotrzebnych w biegu krokach stanąłem w bocznym zaułku przed zwartym półkolnym „murem” czarnych ciał, zdałem sobie sprawę, jaką głupotę czynię. Przy sobie miałem wszystkie nasze dokumenty, pieniądze i... siebie. Jeden jedyny, samotny biały turysta naprzeciw czarnoskórych autochtonów. Uśmiechnąłem się głupawo, pokłoniłem głęboko i powiedziałem po francusku, dziękuję bardzo, *merci beaucoup* – nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy. Odwróciwszy się, średnio prędko wróciłem do zatłoczonej głównej ulicy, a następnie do naszego terenowego samochodu.

Znów byliśmy razem. Siedzieliśmy w dziuple japońskiej produkcji. Czułem się oszukany, wykpiony, ale też pouczony, że miastowi Kameruńczycy kradną na potęgę. Biedni żebrzą. Często plują na ziemię. Załatwiają potrzeby fizjologiczne do rowu na brzegu ulicy. Dosłownie. Bez skrępowania, zupełnie naturalnie wyciągają „fujarek” i leją. Kobiety przykucają i to samo. Oczywiście nie wszyscy, ale wystarczająco wielu.

W całym Kamerunie nie ma ani jednego kina, ani jednego teatru. Wierzyłem gospodarzowi na słowo we wszystkich opowieściach, ale tym razem zwątpiłem. Zapytałem przy okazji ciemnoskórego Marca, jednego z jego wykształconych wychowanków; ile macie kin w Kamerunie? Odpowiedział, były kiedyś dwa, ale splajtowały, bo bardzo tanio można na targu kupić pirackie nagrania. Obecnie w kinach są sklepy wielobranżowe. Czasami w ośrodku kultury francuskiej jest seans filmowy. Acz czy to można nazwać kinem?

Czarną ma skórę. Ten nasz koleżka?

Thomas Alexandre Dumas – ojciec autora „Hrabiego Monte Christo” – był generałem wojsk Napoleona. Mimo to nie przyznano mu Legii Honorowej, bo był czarnoskórym.

W afrykańskim Molendo stoją białe w ziemię drewniane słupy. Między nimi rozciągnięty jest kabel, przewód elektryczny. Na niektórych chatkach zawieszono są nawet liczniki energii elektrycznej. Wszystko to jest perfidnym rodzajem atrapy. Wystarczyłoby gdzieś tam, gdzie ta linia się zaczyna, podłączyć prąd. Wystarczyłoby od rozdzielnika we wsi poprowadzić przewody do chat. I stałaby się jasność. Od lat nie dzieje się nic. To jest Afryka. Był projekt. Ktoś ukradł fundusze albo sprzedał plany, albo zabrakło woli działania, albo zmienił się urzędnik w ministerstwie, albo... Od lat prądu nie ma. Przed niedawnymi wyborami zjawili się we wsi agitatorzy rządzącej partii i po raz nie wiadomo który, obiecywali za udział w głosowaniu, zaraz po wygranej, podłączyć prąd do wiosek i po raz nie wiadomo który, słowa nie dotrzykali.



Pater Adalbert przed jednym z wiejskich kościółków. Fot. Janusz Plewniak



W takich studniach zaopatrują się na prowincji w wodę mieszkańcy Kamerunu. Fot. Janusz Plewniak



Ścieżka w dżungli. Fot. Łukasz Plewniak



Powrót z poletka w dżungli. Fot. Janusz Plewniak

Przepeliła się miarka. Jeden dzień po wertepach tam i drugi dzień po wertepach z powrotem – ksiądz Adalbert udał się do urzędu energetyki w stolicy z wyrzutem i pretensjami. W odpowiedzi urzędas wskazał na swe czarne przedramię i stanowczo powiedział: najpierw trzeba mieć ten kolor skóry, by przychodzić tu z żądaniem. Jak przed laty Dumas ostał się bez orderu Legii, bo był czarny, tak współcześnie wioskowa parafia pozostaje nadal bez światła, bo kapłan jest biały.

Kto wie? Może też być tak, że krewny, choćby daleki kuzyn czarnoskórego rasisty jest czarownikiem, a z tymi ksiądz Adalbert od dawna ma na pieńku. Czarownicy nie mają już dzisiaj nieograniczonej władzy, prawnie wcale jej nie posiadają, niemniej prosperują dobrze. Ich dobre rady trzeba opłacić i być może dlatego są cenione? W drodze do Kribi pokazali nam Wojtek siedzibę znanego maga. Murowany, biało malowany parterowy dworek, obok drewniana wieża podobna myśliwskim ambonom w Europie. Na łące wokół domu wysokie, rzeźbione totemy. I ewenement. Cały spory teren czarodzieja ogrodzony. Nigdzie we wioskach nie widzieliśmy płotu. Ogrodzenie posesji zobaczyliśmy dopiero w stolicy Yaounde, wokół rezydencji *głównego czarodzieja kraju*, prezydenta Paula Biya.

Biblia nie jest czarnoskórym obca. Jest nawet przetłumaczona na plemienny język Ewondo. Nadal jednak łatwiej kupić na jarmarcznym straganie w mieście stołecznym *vis a vis* bazyliki figurkę bogini płodności, bożka płonów niż krzyż czy miniaturkę Maryi. Wiara i pradawne wierzenia się przeplatają. Może nawet żyją w symbiozie? Przez dwie doby mieszkaliśmy w mieście, w ośrodku prowadzonym przez księży, czarnych rzecz jasna. Ludzie tu mają szczególny stosunek do zmroku. Boją się ciemności. W tymże ośrodku popołudniami odbywało się triduom najświętszego sakramentu, z rytmicznymi, wielogodzinnymi modlitewnymi śpiewami, procesją z monstrancją i kadzidłem.

Wieczorem, tuż po zmroku, który na równiku zapada w kilka minut, siedzieliśmy na tarasie naszej kwatery. Nagle z ciemności, oświetlając sobie drózkę jedną latarką, wyłoniła się kilkuosobowa grupa w długich po ziemię białych szatach, jakby tunikach. Jeden z mężczyzn wiózł taczki pełne żagwi, dzięki czemu był lekko podświetlony czerwienią. Inne sylwetki ledwo dawały się zauważyć w mroku. Skręcili za węglem naszego baraku. Wyjrzałem ciekawie zza muru. Kobiety stanęły kołem ponad gorącą zawartością tacek i nuciły murmurando. Jeden z uczestników wyjął małą zawartość żaru i zagrzebał w ziemi. Po czym, okadzwszy miejsce, ten osobliwy pochód ruszył kilkanaście metrów dalej. Tam ceremonia się powtórzyła. I tak ob-

chodzili wokół terenu całego duszpasterskiego, chrześcijańskiego ośrodka po zewnętrznej stronie. W powietrzu unosiła się przyjemna woń kadzidła. Może chociaż tym dymem komary odczarowali?

Parafia Wojciecha to kilkanaście wiosek rozrzuconych po buszu. Jedne bliżej, dwa, trzy, cztery kilometry od centrum misyjnego, inne dalej, do szesnastu kilometrów odległe. Między dwoma najbliższymi wioskami, z boku drogi stał *przybytek rozkoszy*, dom publiczny po prostu. Niezwykłość niebываła. Tu w dżungli, wbrew prawu stanowionemu przez państwo, wbrew naukom kościołów utrzymała się poligamia. I nie owi poligamiczni rodzice mają problem, tylko kapłan. Bo jak tu udzielać sakramentów? A na dobitkę jeszcze ta „agencja towarzyska” za wsia.

Wiara, że seks ma znaczenie magiczne, jest rozpowszechniona w Kamerunie i dotyczy wszystkich środowisk. – Seks może być rytuałem praktykowanym w celu osiągnięcia określonych celów. Politycy uprawniają seks homoseksualny, by zdobyć pieniądze i władzę. Praktykuje się też rytualny seks kazirodczy, seks z osobą chorą psychicznie. A wreszcie seks ze zwierzęciem.

Wojtek przebywa ciągle z chorymi na SIDA, jak po francusku określa się AIDS. Tutaj, z dala od stołecznych szpitali musi na co dzień walczyć z przesadami.

Od czego się umiera? Z powodu niewidocznego wirusa czy równie niewidocznych złych mocy? Umierający pacjent zastanawia się, co spowodowało jego chorobę. Częściej myśli, że jest to złe spojrzenie zawistnego starca z sąsiedztwa, niż wierzy w to, co mówi się o AIDS.

Wydawało się, że nie ma argumentu przeciwko grzesznej chacie. Natchnienie spadło nagle. Wojtek ogłosił wielką parafialną procesję z niespodzianką dla mężczyzn. W orszaku obok niego szli uroczyste ubrani katecheci i ministranci.

W ręce dzierżył tutejszy symbol władzy, wąską, długą na 80 cm trzcynową miotłę z barwną rękojeścią. Procesja podeszła pod same drzwi burdelu. Tam Wojtek wygłosił kilka zdań, uderzył symboliczną, magiczną miotłą w ściany chaty, a następnie głośno, kilkakrotnie powtórzył: przeklinam to miejsce śmierci. Na ścianie czarną farbą wypisał datę. Przybytek w błyskawicznym tempie splajtował. Przejeżdżaliśmy obok. Mury jeszcze stoją. Zapisana data wyraźnie niezatarta.

Wspominaliśmy ten incydent w drodze powrotnej. Czarnoskóry celnik na lotnisku w Yaounde, spojrzawszy na podłużną miotłkę, zapytał. – Czy pan wie, że wywozi symbol mocy i władzy?

Czym trzeba się zasłużyć, by mieć prawo do tak cennego trofeum? Leczeniem, czarami, nauczaniem, posługą, zbudowaniem studni? Studnia. To pierwsze, od czego zaczynał Wojciech w każdym no-

wym miejscu. Najpierw budował studnię i dół na śmieci. Obie dziury kilka metrów głębokie. Nie potrzeba cementu, twarda, wysuszona glina trzyma mocno jak cement. Studnię trzeba z góry zamknąć i zamontować sprowadzoną z miasta ręczną pompę. Wodę ceni się; służy po kolei do gotowania, mycia, zmywania, splukiwania...

Ile jeszcze studni wykopać trzeba, zanim coś się tam zmieni i czy to nowe będzie lepsze?

Czarnego trzeba pokochać

W Kamerunie ludzie, barany i ptaki nadmorskie są barwy czarnej. Natomiast czarni księża noszą białe (kremowe) sutanny. Wojtek, chociaż biały, jest nietypowy, nosi się lekko. Pracuje ciężko.

Studnia. To pierwsze, od czego zaczął Wojciech w każdym nowym miejscu. Najpierw budował studnię i dół na śmieci. Jak w poprzednim akapicie powiedziałem, wodę ceni się; służy po kolei do gotowania, mycia, zmywania, splukiwania... Dół na śmieci pozostaje otwarty; co kilka dni skrapia się odpadki naftą i spala. We wszystkich odwiedzanych wioskach widzieliśmy studnie, przynajmniej po jednej. W Melondo są dwie. Noszeniem wody ze studni do domostw zajmują się dzieci, czasami kobiety. Mężczyźni nigdy. Jakże miałby biały kapłan podtrzymać autorytet solidniej niż wybudowaniem studni?

Nawet w mieście bieżącą wodę w kranach mają nieliczne domy oraz hotele dla bogatych. Co tutaj rozumie się potocznie przez hotele dla białych. Przyjeżdżają z Europy, Chin lub Ameryki, mieszkają w Hiltonie albo Mont Fébé, poruszają się klimatyzowanym busem, odbędą kilka wyreżyserowanych spotkań z pigmejami i wracając, sądzą, że widzieli Afrykę. A nie spróbowali nawet palmowego wina.

W wioskach rozsianych w dżungli czarnoskórzy ścinają palmę, jej pień temperują na szpic podobnie jak my ołówki i taką pochyłą pod około 45° zostawiają na zboczu. Pod zaostrzoną końcówkę podstawiają kanister. Po 3-4 dniach zaczyna kapać zacier procentowy matowo-biały zwany winem palmowym. Tyle uciechy, skoro nie ma innej. Co dobę trzeba palmę na nowo ostrzyć i taka bimbrownia działa kilkanaście dni.

Kameruńczyk wie, że biały jest bogaty. Stąd respekt, a zarazem nienawiść? Stąd duma bycia czarnym i tęsknota za światem białych? W Wojtka terenowym Mitsubishi nawalił alternator. Poważna sprawa, samochód bez prądu. Było to w Mbalmayo, mieście około 50 kilometrów od stolicy Yaounde. W znajomym warsztacie, gdzie Wojtek bywa stałym klientem, wymieniono węgliki, prądnica po dwóch godzinach reperowania znów funkcjonowała. Za swoje zaangażowanie mechanik zażądał odpowiednik 70 Euro.

– Niezwykle drogo. Nigdy tak drogi nie byłeś – usłyszał z wyrzutem i zakłopotaniem.

– Wozisz dwóch białych. Jesteś teraz bogaty.

Innym razem, w buszu, na taras fary przyszło dwóch na oko osiemnastolatków, sieroty mieszkające kątem w parafialnej przybudówce. Przyszli porozmawiać o marzeniach. Chcą zostać murarzami i wyjechać do Europy. Przy czym dla wielu Kameruńczyków Europa jest synonimem Francji.

Trzeba było widzieć wzburzenie Pater Adalberta.

– Co wy wiecie o Europie? Na takich jak wy nikt tam nie czeka. Nie będziecie mieli gdzie mieszkać, nie będziecie mieli co jeść. Tam kłoszarzy w lecie śpią pod mostem, a w zimie schodzą do podziemi metra, by się ogrzać. Gdy wy jesteście głodni, zawsze możecie pójść do dżungli wykopać kilka bulw dzikiego manioku, zerwać kiść bananów. W Europie zginięcie na śmietniku. Uczcie się i czynicie sobie to miejsce przyjaznym.

Opuścili głowy i odeszli bez przekonania. Przecież widzą, że obcy biały jest bogaty.

W latach sześćdziesiątych XX wieku budziła się do niepodległości kolonialna Afryka. Także Kamerun. Gdy na innych kontynentach klasy polityczne powstawały przez dziesięciolecia, czasami stulecia, tu nowa klasa politycznych liderów zrodziła się w okresie kilku tygodni. Biali uciekli, zostali wygnani, często pomordowani. Czarni ich naśladowcy przejęli styl życia w komforcie, bez doświadczenia własnego, za to z wyobrażeniem bycia panami. Czarni współziomkowie niemający nikogo przy korycie władzy zubożeli jeszcze bardziej. Korupcja nowej kasty przerasta wszelkie wyobrażenia. Mówi o tym w każdej noworocznej mowie prezydent i obiecuje zmiany. Już kilkadziesiąt lat obiecuje.

Przykład korupcji polityków sięga dołów. Przy wjeździe i wyjeździe z każdej miejscowości napotykałyśmy niczym nieuzasadnione kontrole. Kilku mundurowych policjantów, często w towarzystwie kobiety *lekkiej*, przeciąga sznurek w poprzek drogi. Trzeba się zatrzymać i dać w łapę. Nasz monsieur l'abbé próbuje legalnie. Pokazuje wszystkie wymagane dokumenty. Gaśnica i trójkąt też są. Jeszcze nalepki na szybach. Te także zgodnie z prawem. Policijny cerber bardzo niechętnie przepuszcza nas, każąc kolegom opuścić sznurek. Kilkaset metrów dalej kolejna czujka. Kontrole drogowe służą policji i żandarmerii głównie do wyłudzania łapówek. Tym razem czarny policjant z uśmiechem podchodzi do otwartych okien auta i wita się z nami wszystkimi, życząc szczęśliwego nowego roku, chociaż styczeń przekroczył półmetek.

Ignorując okazane dokumenty, mówią z uśmiechem: – Co ty mi pokazujesz?

Papierami się nie najem. Dostaje 1000 fcaf* (1,5 euro). Możemy jechać dalej do następnej pułapki.

Kamerun jest ubogim państwem z ubogim społeczeństwem. Nie ma nawet sensownego portu oceanicznego, który mógłby przyjmować obecnie pływające statki olbrzymy. Taki port dopiero obecnie za kilometrami piaszczystych, ciągle jeszcze pustych plaż Grand Bantanga, dwadzieścia kilometrów od Kribi budują Chińczycy. Wyposażają port firmy europejskie. Od tego przyszłościowego portu, również pod chińskim nadzorem, budują Kameruńczycy pierwszą szeroką arterię do największego miasta Douala. Ten port i ta droga mają odmienić oblicze Kamerunu. Mają przynieść lepsze, bogatsze życie. Pytanie – komu?

Ostanie dwa dni, jak zaczęliśmy, tak kończymy w stolicy. Znow ten sam przeogromny hałas, tłum motocyklistów, pieszych sprzedawców noszących cały kram na głowie, barwnie przystrojonych prostytutek, zaczepiających przed każdym barem, dziesięciomilionowym mieście nie ma ani jednego skrzyżowania z czynną sygnalizacją świetlną. Załoczone pieszymi pobocza. Między drogą a poboczem rów, do którego publicznie załatwiane są podstawowe potrzeby.

Poznany tutaj Marc, absolwent uniwersytetu, zawozi nas do dzielnicy na wzgórzu, na plac przed pałacem kongresowym, skąd mamy panoramę na całe stołeczne miasto. Niewielka powierzchnia zwyczajnych domów, nawet kilka wieżowców oraz ciągnące się po horyzont hektary lepierek krytych blachą falistą. W tej dzielnicy na wzgórzu, skąd



Stara fėja samochodowa jako dzwon kościelny. Fot. Janusz Plewniak

spoglądamy na miasto, są chodniki, są drzewa wzdłuż jezdni, spotykamy uprawiających jogging czarnoskórych. Tylko śmieci równie dużo, jak w dole. Mijamy kilka ambasad, budynek ONZ-owskiej organizacji do walki z głodem, nuncjaturę apostołską i odgradzony wysokim płotem zielony, wielki ogród z oślepiającym białą pałacem prezydenckim. Tam wejścia nie ma. Czymże się różnią mieszkańcy wybranego kwartału od pozostałych czarnych pobratymców z niskich partii miasta? Metodami uprawianej korupcji, skalą prowadzonej po cichu kradzieży i handlu? Rodzajem pitych trunków? Płotem na tyle wysokim, by nie widzieć zza niego ubóstwa, by nie czuć smrodu, by nie potykać się o brud?

Pytam naszego przyjaciela:

– Jak mogłeś wytrzymać 40 lat samotności w ciżbie obcych?

– By tu żyć, czarnego trzeba pokochać – odpowiada.

* fcaf – jednostka monetarna Unii Centralno Afrykańskiej, wspólna dla Gwinei Równikowej, Gabonu, Kamerunu, Republiki Kongo, Czadu i Republiki Centralnej Afryki.

1 euro = 655,957 franków caf. ■

Do opowieści kameruńskich – POSTSCRIPTUM

Wojtek Grzywoczek (ur. 1948) – Abbe Adalbert 40 lat mieszkał w Afryce. Byliśmy pierwszymi w ogóle polskimi gośćmi, którzy go odwiedzili po dziesięcioleciach na placówce w dżungli. Od początku, od 1976 roku w Kamerunie, Wojtek-Pater Adalbert przebywał na południu kraju, w jego francuskojęzycznej części. Najpierw przez 21 lat był księdzem w Djoum. Następnie 19 lat był duszpasterzem w Melondo i okolicznych wioskach. Można retorycznie zapytać: Jak ci wszyscy misjonarze i misjonarki, ale także lekarze bez granic, wolontariusze i inni to wytrzymują? Wytrzymują, bo swe eksportnie traktują jako misję. Oni przecież nie pojechali do kontraktowej pracy na eksport. Od tamtych zdarzeń – od zamordowania siostr – Wojtek przy każdym drzwiach na farze miał dzidę, a pod łóżkiem i w aucie maczetę. Sam wie, że w razie czego zapewne nie byłby w stanie ani kogokolwiek zakatrupić, ani nawet się obronić. To są rekwizyty, które miały działać zastraszająco na osoby odwiedzające farę. Wprawdzie stał na misji maszt wysoki bambusowy, ale łączność działała jak światło na wozie policyjnym. Łączy, nie łączy... Abbe Adalbert pozostał ubogi, biedniejszy niż czarni księża w podobnej sytuacji, bo nie cenił dóbr doczesnych i wiele z tego, co dostawał, co dostaje, rozdaje bardziej potrzebującym. Po powrocie na rodzinny Śląsk takim pozostał. Odwiedziłem go ponownie latem 2020 roku w jego kochłowskiem mieszkaniu. Pokazał mi plik pocztowych kwitów nadania paczek; wszystkie adresy tych paczek afrykańskie.

Korespondent z Mariackiej

Jacek Durski

16 października 1943 – 30 grudnia 2021

BARTŁOMIEJ MAJZEL

„Przebudziłem się kilkanaście lat temu z uwięzienia zwykłością. Wytrysło spod pędzla, płócienn, źródło słów. Zacząłem pisać” – powiedział kilka lat temu, w rozmowie z Joanną Storczeńską-Segietą, Jacek Durski. Jacek... Pisarz, poeta, malarz, rzeźbiarz, artysta multimedialny. Ale nade wszystkim dobry, ciepły i serdeczny człowiek, roztaczający wokół siebie niezwykłą aurę. Blask.

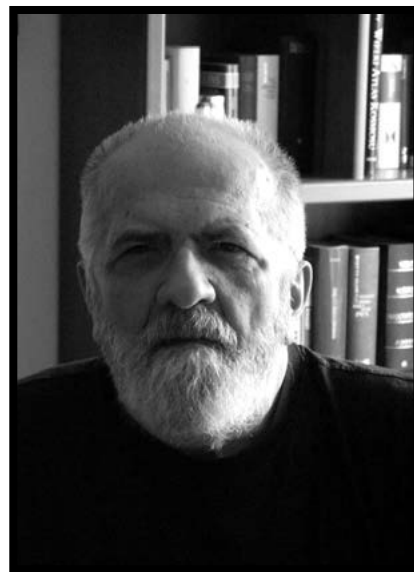
Owe „przebudzenie ze zwykłości”, którego doświadczył na przełomie wieków, okazało się dla niego bardzo owocne. Ostatnie dwie dekady życia stały się czasem jego szalonej artystycznej aktywności, ogromnej rozpiętości zainteresowań i twórczych działań. Całkiem tak, jakby niezbędność istnienia w wielu artystycznych wymiarach była dla niego czymś nieodzownym do życia.

Jacek zmarł 30 grudnia w wieku 78 lat, w przeddzień Sylwestra, w przeddzień dnia, w którym uświadamiamy sobie i celebруем nieuchronność biegnącego czasu zawłaszczającego losy i życiorysy, książki i wspomnienia.

Literacka Polska usłyszała o nim pod koniec XX wieku, kiedy zachwycał czytelników i krytyków doskonałą, mocną książką zatytułowaną *Mariacka*. W następnych latach dość regularnie ukazywały się jego kolejne dzieła m.in. *Rok*, *Uderza Ziemia*, *36 bytów*, dwie pierwsze części niedokończonego tryptyku *Okno*. Jacek Durski był pisarzem obdarzonym niezwykłą wy-

obrażnią, która podparta została doskonałym warsztatem, pracowitością i zmysłem do snucia świetnie skonstruowanych narracji. Motywem, do którego nieustannie powracał, była katowicka ulica Mariacka, przy której spędził sporą część swego życia. Dziś Mariacka jest reprezentacyjnym deptakiem miasta, kiedyś była przestrzenią, w której przecinały się drogi cwaniaczków, cinkciarzy, prostytutek, zdeprawowanych pracowników UB, zdziwaczałych inteligentów i obsiadających chodniki pijaczków, którzy sącząc tanie wina, w zamian za kilka groszy opowiadali przechodniom swoje prawdziwe i zmyślane losy. W takich warunkach kształtowała się wrażliwość i pisarski kunszt Jacka Durskiego. Z takiego napięcia, między tęsknotą za zanikającym bezpowrotnie światem, a nieadekwatną dla własnej przeszłości teraźniejszością ulicy, rodziła się jego najlepsza literatura.

Jacek był jednocześnie fascynującym malarzem i rzeźbiarzem. Uczestniczył w ponad 40 wystawach indywidualnych w kraju i na świecie oraz w ponad 30 wystawach zbiorowych. W roku 1981 zaliczony został przez Kunstpodium do pierwszej dziesiątki awangardowych malarzy Europy Wschodniej. W ostatnich latach jego wielką pasją stała się grafika komputerowa, dająca możliwości nie tyle poszukiwania nowych przestrzeni, co ich kreowania zgodnie z własnymi tęsknotami i niepokojami.



Nieczęsto spotykamy w życiu ludzi, od których bije światło. Mówimy o nich „ludzie anioły”. Czujemy się w ich obecności lepsi i szlachetniejsi. Jacek Durski był takim człowiekiem, który potrafił przemieniać rzeczywistość, eliminując z niej to, co nieistotne, podle i małe.

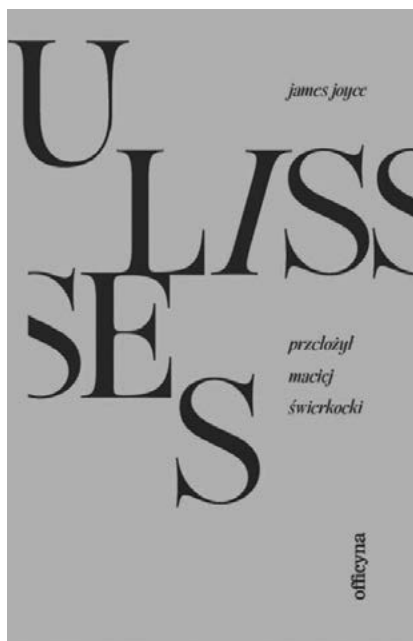
„Na szczęście mam więcej niż jedno życie. Napiszę Tam, co tutaj nie zdążę” – powiedział Jacek w przywołanym na wstępie wywiadzie. Napisz Jacku, napisz koniecznie... Dobry pisarz potrafi z wysokości dostrzec jeszcze więcej i znakomicie snuć dalej niedokończone opowieści i splatać wątki, których tutaj, spleść się nie udało...

Maciej Ciemny i Maciej Jasny. O dwóch tłumacz(eni)ach *Ulisses*

JERZY PASZEK

W roku 1969 ukazał się przekład powieści Joyce'a Macieja Słomczyńskiego, natomiast w roku 2021 translacja Macieja Świerkockiego. Są to dwa przedsięwzięcia godne uwagi, gdyż nasi tłumacze poświęcili wiele lat i wysiłków na dokonanie swoich zaskakująco trudnych i ciężkich przedsięwzięć. Muszę stwierdzić, że trudzili się sensownie i zupełnie serio, ale w jakże odmiennych okolicznościach! Słomczyński miał o **wiele mniej** pomocy w postaci edycji *Ulisses*a z objaśnieniami oraz komentarzami, Świerkocki zaś posiadał już znakomite przewodniki, dotyczące dzieła Joyce'a, a w szczególności książki Weldon Thorntona (1968) i Dona Gifforda, Roberta Seidmana (1989, 2008), wyjaśniające większość aluzji literackich i historycznych przekładanego encyklopedycznego tomiszczka. Inaczej mówiąc, Słomczyński mógł sięgnąć (z prac polskich) po popularnonaukową książkę Egona Naganowskiego (1962, 1967), dotyczącą całego dorobku Joyce'a, a Świerkocki – obok źródeł obcojęzycznych – miał też do dyspozycji monografię Piotra Pazińskiego z roku 2005 pt. *Labirynt i drzewo. Studia nad „Ulissem” Jamesa Joyce'a*. Chcę powiedzieć, iż drugi tłumacz do swego przekładu wprowadza, o ile to możliwe, dodatkowe mikrouwagi czy podpowiedzi, mające ułatwić czytelnikowi lekturę!

Przykładem niechaj będzie scena częstowania Dedalusa przez Blooma filiżanką kakao. W opisie Słomczyńskiego czytamy: „Jak Bloom przygotowywał kolację dla poganina? [...] Jego [Dedalusa] uwaga została skierowana na nie [oznaki gościnności] żartobliwie przez gospodarza i przyjął je poważnie, gdy pili w żartobliwie-poważnym milczeniu maso-



wy produkt Eppsa, owo kakao stworzenia” (MS, 705-706). Te same fragmenty Świerkocki przekłada w ten sposób, by czytelnik odgadł religijny charakter rytuału: „Jak Bloom przygotował **komunię** dla poganina? [...] Gospodarz zwrócił mu na nie [gesty gościnności] uwagę żartobliwie, gość zaś przyjął je poważnie, gdy w żartopoważnym milczeniu popijali niczym **wino mszalne** dostępny tak powszechnie jak **święty Kościół** produkt Eppsa, kakao krzepiące duszę oraz ciało” (MS, 664-665). Należy dodać, iż o tych religijnych kontekstach sugeruje nam w oryginale jedynie kalambur „Eppsa’s **massproduct**, the creature cocoa” (JJ, 597). Jest w nim połączony przymiotnik „masowy” i rzeczownik „msza”. Z tego wynika, że wspomnianie

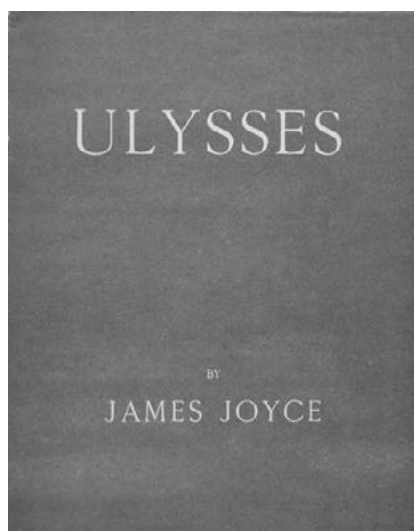
o „świętym Kościele” jest dodatkowym ułatwieniem dla odbiorcy drugiego przekładu. Na ten kalambur zwracał uwagę już Helmut Bonheim (*Joyce’s Benefactions*, Berkeley i Los Angeles 1964, 128), a i ja pisałem o tym w tomie *Blask arcydzieł* (Katowice 2020, 194).

Inne przykłady przekładu kalamburów i palindromów. Słomczyński grę słów z tytułem opery irlandzkiego kompozytora Michaela Williama Balfego *The Rose of Castille* (chodzi o analogię z frazą „Rows of cast steel”; JJ, 135) tłumaczy na kalamburowe powiedzenie „*Róża Kast(r)ylia*” (MS, 145), natomiast Świerkocki nie wprowadza dwuznaczności, opartej na podobnych dźwiękach, lecz wyzyskuje tu homonim „Róża” – ‘kwiat’ oraz „róża” – „choroba” (MS, 141). Lepiej zaś drugi tłumacz od pierwszego radzi sobie z translacją palindromu „Madam, I’m Adam” (JJ, 138) na „Madam, a jam Adam” (MS, 144; nb. sugerowałem taką możliwość w „Tekstach” 1973, nr 5, s. 101); Słomczyński dał tu najpopularniejszy polski palindrom: „Kobyła ma mały bok” (MS, 148). Uważam, że słowo „metempsychoza”, którego nie rozumie żona Blooma, Molly, jest trafniej i bardziej dowcipnie przetransponowane przez Słomczyńskiego jako „mnie tam psy chodzą” (MS, 716) niż przez Świerkockiego: „miecie psy koza” (MS, 674). W oryginale czytamy: „metempsychosis (met him pike hoses)” (JJ, 607), co – tak jak u krakowskiego tłumacza – zawiera aluzje erotyczne. Nb. przekład autora z Łodzi podobny jest do tłumaczenia Aloyisa Skoumala (J. Joyce: *Odyseus*. Praha 1993, 453): „hnętem si kozy”.

Wybitnym i wyrazistym exemplum ułatwiania czytelnikowi zrozumienia *Ulisses*a jest w ostatnim przekładzie dodanie do

tekstu Joyce'a kilku słów, które wyzyskuje się następnie w kreacji całkiem zgrabnego i poprawnego (w jakowejś ludowej – tu: uczniowskiej – etymologii) wywodu: „Armstrong, no. Co wiesz o Pyrrusie z plemienia Molossów? [...] **Z plemienia Molossów**, panie profesorze? Molossowie wymyślili molo” (MŚ, 30). W poprzednim tłumaczeniu dialog ten wyglądał inaczej, choć też nieco odbiegał od oryginału: „Ty, Armstrong. Czy wiesz coś o Pyrrhusie? [...] O Phallusie, proszę pana? Phallus to taki pal, który się wbija pod molo” (MS, 29). Joyce ów dialog tak zapisał: „You, Armstrong. Do you know anything about Pyrrhus? [...] Pyrrhus, sir? Pyrrhus, a pier” (JJ, 30). Oba spolszczenia są dowcipne, bo wystarczy przeczytać hasło Pyrrus (łac. Pyrrhus) w *Małej encyklopedii kultury antycznej* (Warszawa 1988, 629), by się dowiedzieć, iż był to „władca (319-272 p.n.e.) Epiru, pochodzący z rządzącego przez długi okres czasu tym krajem plemienia Molossów”; natomiast fraza „Pyrrhus, sir” może się komuś kojarzyć nie tylko ze słowem „pier” („molo”), ale i z „piercer” (‘przebijak, świderk’). Nazwisko jednorazowego kochanka Molly, Blazesa Boylana (JJ, 64) jest, moim zdaniem, szczęśliwiej i dźwięczniej przetłumaczone jako Bujny Boylan u Słomczyńskiego (MS, 69) niż jako Bies Boylan (MŚ, 69) u jego rywala.

Niekiedy jednakże Świerkocki bywa równie dowcipny co konkurent z Krakowa. Tak jest we fragmencie dotyczącym korespondencji z pretendentką do rangi kochanki Blooma. Akwizytor w myśli drwi sobie z propozycji spotkań przykościelnych, o których marzy Marta: „Moglibyśmy się spotkać którejś niedzieli po różańcu. Dziękuję; nie używam” (MS, 86). Łódzki tłumacz ucieka się tutaj do wykreowania czasownika „różańcować”, czyli kalamburu zderzającego rzeczow-



nik „różaniec” i czasownik „tańcować”: „Można by się spotkać w którąś niedzielę po różańcu. Dziękuję; nie różańcuję” (MŚ, 85). I chociaż Słomczyński jest bliższy frazy Joyce'a („Could meet one Sunday after the rosary. Thank you: not having any”; JJ, 80), to Świerkocki wprowadza inny rodzaj dowcipu, bardziej łatwego do zauważenia i zrozumienia!

Krakowski autor kryminałów (słynny ongiś Joe Alex) lubił oślniewać czytelnika rzadkimi słowami! Proste zdanie o przyjemności, serwowanej nam przez ekspres: „A jet of coffee steam from the burnished caldron” (JJ, 48), tak samo prosto przybliżonej przez łodzianina: „Strumień kawowej pary z kotła wypozerowanego ekspresu” (MŚ, 49), staje się u Słomczyńskiego zagadką, bo nie każdy z nas spotkał się z perkolatorem (pewnie perkotającym?): „Strumień oparu kawy tryska z polerowanego **perkolatora**” (MS, 49). Spojrzenie do *Wielkiego słownika wyrazów obcych* (Warszawa 2003, 964) zdumiewa, gdyż okazuje się, iż jest to wielce tajemnicza machina: ‘przyrząd do sporządzania wyciągu z rozdrobnionych leczniczych surowców roślinnych metodą perkolacji’, czyli patrz pod Perkolacja, a tam 5 linijek detalicznych objaśnień! Nie inaczej jest w tym samym akapicie oryginału (JJ, ib.) ze zdaniem o zjedaniu sera po obiedzie: „Your postprandial, do you know that word? Postprandial”. Ostatni tłumacz wnosi tu zmyślny neologizm: „Poposiłkowy, słyssała pani takie określenie? Poposiłkowy”. Słomczyński, nieświadomy zupełnie faktu, iż nie każdy zna łacinę, angielski lub francuski – daje przykład dezynwoltury: „Twoje **postprandium**, czy znasz to słowo? **Postprandium**” (MS, 49). Nb. słownik angielsko-polski pod hasłem Postprandial zamieszcza jednowyrazowe wyjaśnienie: ‘poobiedni’. Znają je niektórzy z lektury *Popiołów*, gdzie słówko poobiedzie oznaczało ‘sjeść’.

Świerkocki tak daleko podąża w kierunku uproszczeń i ułatwień dla czytelnika, że nawet nie stara się na wprowadzenie

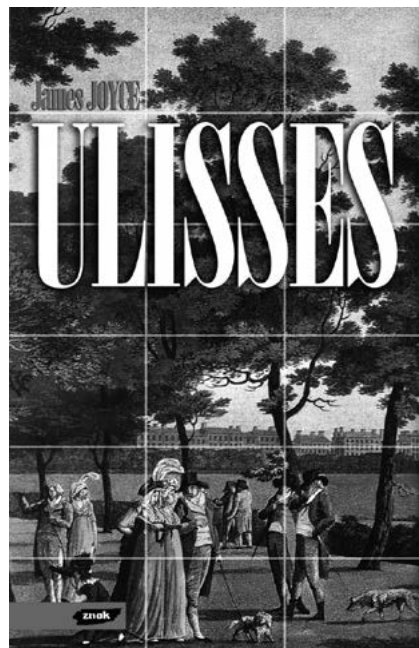
oryginalnej ortografii, stylizowanej na archaiczną: „if the book should be loft or go aftray, to refore it to Michael Gallagher, Carpenter, Dufery Gate, Ennifcorthy, country Wicklow, the fineft place in the world” (JJ, 630). U Słomczyńskiego zachowano zapis litery „s” przez „f”, co dało w rezultacie: „gdyby książka ta zagubiła fię lub zoftała gdzie zarzucona, aby [osoba znalazcy] przywróciła ją Michaelowi Gallagherowi, ftolarzowi, Dufery Gate, Ennifcorthy [błąd SM, bo ma być Ennifcorthy], hrabftwo Wicklow, najpiękniejfze miejfcie na fwiecie” (MS, 741). Łódzki tłumacz upraszcza ortografię: „jeśli książka niniejsza zagubiona lubo kędy zapomniana zostanie, niechby zwrócono ją Michaelowi Gallagherowi, cieśli, zamieszkałemu przy Dufery Gate, w Enniscorthy w hrabstwie Wicklow, najnadobniejszym miejscu na całym świecie” (MŚ, 697). Tak więc ginie tu cała zagadka dla polskiego odbiorcy: czy Dufery Gate nie jest przypadkiem Dusery Gate? O czym pisałem w eseju *Biblioteka Blooma*, zamieszczonym w „Pracach Filologicznych” z roku 2018.

Już te dywagacje (bo przecie nie są to obszerne dociekania translatorskie!) mogą przekonać czytelnika o zamiarach obu Maciejów: jeden z nich za wszelką cenę dąży do ułatwienia lektury, drugi – nie lubi takich manewrów. Mnie się wydaje, że w przyszłości będzie się czytało albo przekład Macieja Ciemnego, albo jego rywala – Macieja Jasnego. Tak jak czytamy dwie wersje *Rękopisu znalezionego w Saragossie* hrabiego Jana Potockiego: jedną z dołączoną historią Żyda Wiecznego Tułacza, a drugą z pominięciem tej wciągającej, bo m.in. konkurującej z *Mistrzem i Małgorzatą* Michała Bułhakowa, opowieścią.

Dalszy ciąg moich wywodów skupi się na zapowiadanej na s. 783 MŚ książce-encyklopedii *Łódź Ulissesa*. Ten pożądaný komentarz do lektury Joyce'a omówię w późniejszym terminie. ■

Mała bibliografia

James Joyce: *Ulysses*. Harmondsworth 1968 (skrót: JJ). – James Joyce: *Ulisses*. Przeł. Maciej Słomczyński. Warszawa 1969 (skrót: MS). – James Joyce: *Ulisses*. Przeł. Maciej Świerkocki. Łódź 2021 (skrót: MŚ). – Don Giffort, Robert Seidman: „*Ulysses*” *Annotated*. Berkeley 1989. – Egon Naganowski: *Telemach w labiryncie świata. O twórczości Jamesa Joyce'a*. Warszawa 1971. – Jerzy Paszek: *Biblioteka Blooma*. „Prace Filologiczne. Literaturoznawstwo” 2018, nr 8 (11). – Piotr Paziński: *Labirynt i drzewo. Studia nad „Ulisesem” Jamesa Joyce'a*. Kraków 2005. – Weldon Thornton: *Allusions in „Ulysses”*. *An Annotated List*. Chapel Hill 1968.



Powieści młodzieżowe Marty Fox od trzech dekad cieszą się powodzeniem u nastolatków, ponieważ z empatią i bez nachalnego dydaktyzmu poruszają ich autentyczne problemy, takie jak dylematy dotyczące wyboru przyszłego zawodu, pierwsze przyjaźnie i związki – również erotyczne – przypadkowa ciąża, anoreksja czy doświadczanie dyskryminacji oraz przemoc. Ich fabuły są osadzone w konkretnym czasie i miejscu – współczesnych Katowicach – co uwidacznia się zwłaszcza w języku, w którym cytaty z poezji mieszają się z aluzjami do telewizyjnych reklam, a młodzieżowy slang ze śląską gwarą.

Najnowsza książka autorki, *Moja Ołowianko, klęknij na kolanko*, również prezentuje wszystkie wyżej wymienione cechy. Jej narratorką jest siedemnastoletnia Weronika, cierpiąca na depresję z powodu licealnego wyścigu szczurów, zawodu miłośnego oraz śmierci ukochanej babci. Tym razem jednak Marta Fox decyduje się spleść losy fikcyjnej nastolatki z losami postaci autentycznej i znacznie starszej – Jolanty Wadowskiej-Król, pediatry, która niemal pół wieku wcześniej wykryła ołowicę u setek dzieci z familoków otaczających hutę w Katowicach-Szopienicach. Tym samym pisarka czyni równoprawną bohaterką pierwszoplanową nie tylko dojrzałą kobietę, ale również stolicę Śląska, dotąd pełniącą jedynie funkcję tła dla uniwersalnych problemów okresu dorastania.

Weronika, poproszona przez panią Jolantę – prywatnie przyjaciółkę jej zmarłej babci – o odpłatne uporządkowanie prywatnego archiwum, poznaje historię batalii o zdrowie ofiar katastrofy ekologicznej stoczoną z PRL-owskimi notablami. Bardziej adekwatnym słowem byłaby jednak „herstoria”, gdyż walkę tę podejmuje kobieta – pani Jolanta, przy wsparciu profesora Bożeny Hager-Małeckiej oraz garstki pielęgniarek, laborantek i sprzątaczek. Jest to pokolenie Matek-Polek, wypełniających obowiązki domowe i wychowawcze bez współudziału mężów, ale zarazem pokolenie buntowniczek, dumnych z samodzielnie zarobionych pieniędzy, odważnych, solidarnych i wiernych – jak byśmy dziś powiedzieli – ideałom siostrzeństwa oraz *girl power*. Panie, często po godzinach pracy, ryzykując złamaniem kariery, a nawet więzieniem, najpierw roznoszą po szopienickich familokach wezwania na badanie. Później stawiają diagnozę, kierują chore dzieci do szpitali i sanatoriów. Następnie domagają się przyznania ich rodzinom mieszkań z dala od trujących wyziewów oraz odszkodowań. W końcu zaś nawiązują do likwidacji huty. Po drugiej stronie barykady, u szczytów władzy, znajdują się sami mężczyźni – wspierający kobiecą batalię, lecz posiadający ograniczone kompetencje wojewoda Jerzy Ziętek oraz czarne charaktery, stawiające rozwój przemysłu i propagandę sukcesu ponad cierpieniem robotniczych rodzin – pierwszy sekretarz śląskiego Komitetu Wojewódz-

Szopienicka herstoria

KSIAŻKI

kiego PZPR-u Zdzisław Grudzień i skrupupowany rektor Akademii Medycznej Józef Jan Jonak. Pełna poświęcenia i determinacji, mrówcza praca Jolanty Wadowskiej-Król i jej pomocnic zostaje zestawiona z postawą doktora Judyma z powieści Stefana Żeromskiego. Weronice kojarzy się ona jednak przede wszystkim z Erin Brockovich, również bojowniczką o prawa ofiar katastrofy ekologicznej, a zarazem matką trójki dzieci, znaną z biograficznego filmu z Julią Roberts.

Odkrywanie przeszłości regionu pomaga nastolatce wyjść z depresji, jednak na szczęście żaden dorosły nie próbuje umniejszyć jej cierpieniem, porównując je z doświadczeniami pani Jolanty czy jej małych pacjentów i ich bliskich. Przeciwnie, troskliwi rodzice zapewniają Weronice przede wszystkim wsparcie psychologa i psychiatry, a praca nad uporządkowaniem archiwum emerytowanej lekarki stanowi jedynie uzupełniającą formę terapii. Dziewczyna podejmuje ją dopiero po pokonaniu pierwszej, najtrudniejszej fazy choroby, na skutek łagodnej zachęty, nie nacisku. Nauką, jaką czerpie z biografii przyjaciółki babci, nie jest zaś slogan: „Weź się w garść, inni mają gorzej”, lecz przekonanie, że spełnienie może przynieść nie tylko sukces mierzony pieniędzmi, sławą i zaszczytami, lecz również budowanie serdecznych relacji w domu i pracy, opieka nad słabszymi i walka o prawdę – nawet jeżeli ceną za hołdowanie takim wartościom okazuje się właśnie niemożność osiągnięcia sukcesu w tej pierwszej postaci.

Opowieść o Jolancie Wadowskiej-Król, nazywanej przez pacjentów Matką Boską Szopienicką, wydaje się atrakcyjna dla współczesnej młodzieży również dlatego, że Marta Fox unika w niej zarówno patosu, jak i przytłaczającej, naturalistycznej beznadziei. Rekonstruuje peerelowską rzeczywistość, autorka dba o sensualne szczegóły, takie jak smak zbożowej kawy i „szkło-



WERONIKA GÓRSKA

ków”, dzięki czemu nie jest ona szaro-bura, lecz wielobarwna, jak makatki haftowane kordonkiem przez główną bohaterkę. Szopienickie dzieci nie tylko leżą w łóżkach i płaczą, ale też – na tyle, na ile pozwalają im wyniszczone chorobą organizmy – bawią się, między innymi w „Moją Ołowiankę”, przemianowaną tak na ich potrzeby z „Uljanek”. Szopienickie matki i pracownice przychodni nie tylko przeciwstawiają się bezdušnemu systemowi, ale również pieką ciasta, szyją bananowe spódnice i razem z Marylą Rodowicz nucą *Małgośćę* – ówczesny hymn wychodzących z kryzysu kobiet. Katowicki krajobraz tworzą zaś nie tylko pokryte pyłem Szopienice, w których usychają drzewa i zdychają kanarki, a na kilka rodzin przypada jedna toaleta i jeden kran z zimną wodą, ale również pełen różnorodnych okazów flory i fauny Park Kościuszki oraz obszerne i wygodne mieszkania w secesyjnych kamienicach czy mniejsze, lecz również zaopatrzone w kanalizację i centralne ogrzewanie lokale w nowych blokach z wielkiej płyty.

Zaletą najnowszej książki Marty Fox jest także aktualność. Problemy Weroniki oraz sposób, w jaki potraktowali je jej bliscy, powinny zainteresować nie tylko jej rówieśników, ale również wszystkich dorosłych, którzy pragną zaradzić kryzysowi psychicznemu wśród dzieci i młodzieży. Natomiast część powieści poświęcona Matce Boskiej Szopienickiej koresponduje z zagadnieniami katastrofy klimatycznej, pandemii, niedostatecznej ilości pracowników służby zdrowia czy wreszcie siły kobiet, ich społecznego zaangażowania oraz wymazywania ich dokonania z kart historii pisanej przez mężczyzn. ■

Marta Fox: *Moja Ołowianko, klęknij na kolanko*. Wydawnictwo Butterfly, Konin 2021, s. 208.

„Pisałem ze zrozumieniem, że potem niczego się nie wyprę”. Fraza ta stanowi zgodę na wcielenie się w rolę poety, czyli wybranie losu człowieka, którego każde wypowiedziane / napisane przez niego słowo będzie wkrótce rozcinane, obserwowane, analizowane i podważane. W zacytowanym fragmencie wiersza *Wielkie żarcie* dostrzegalna jest świadomość roli, jakiej podejmuje się autor, zdający sobie sprawę z wagi własnego słowa – chciałoby się napisać, wagi własnego wiersza.

Dla autora *Zwłoki* zjawiskiem kluczowym jest czas. W tomie zostaje ponadto wyeksponowana wrażliwość autora na przestrzeń, a dokładniej na jej pamięć, która w nieunikniony sposób jest narażona na działanie czasu, a która zdaje się szczególnie zajmować poeetę. To właśnie przestrzeń staje się elementem zwracającym uwagę na przemijanie. Zazwyczaj nie jest ono jednak wyrażane wprost – dostrzegalna jest tutaj umiejętność poetyckiego obserwowania otaczającego świata, deszyfrowania go, a następnie ponownego wtłaczania w kod, tym razem poetycki. Twórczość autora *Hostelu* jest zatem czymś w rodzaju poetyckiego przekładu intersemiotycznego, który ma otworzyć czytelnikowi oczy, pozwolić mu dostrzec pozostawiony w przestrzeni ślad śmierci.

W wierszach zawartych w omawianym tomie do głosu dochodzą również pośrednio zwierzęta. Autor usiłuje wymykać się kłątwe antropomorfizowania przeżyć tych istot poprzez dystansowanie się od nich. Wszelkiego rodzaju „kwestie zwierzęce” wyrażane są w beznamiętny sposób. „Nieziemne pozostaną / inne znaki. Wiosną sukę w rui potraci pośpieszny” – cierpienie, obojętność i poczucie wszechobecnej niesprawiedliwości są przedstawione w bezlitośnie bezpośredni sposób, bez próby przełożenia przeżycia zwierzęcego na ludzkie. W poezji Gajdy aspekt ekologiczny zajmuje zresztą szczególne miejsce. Łączy się on ściśle ze wspomnianym wcześniej przemijaniem i z historią zaklętą w przestrzeni. Utworem poruszającym wspomniane zagadnienia oraz znacząco wybijającym się na tle tomiku jest wiersz *Czekając na barbarzyńców*, którego tytuł stanowi oczywiste nawiązanie do Kawafisa i jego poematu o tym samym tytule. Jego *Czekając...* nie jest utworem o złudnym, nienadchodzącym zagrożeniu, a o wydarzeniu obecnym, wszechogarniającym – o kryzysie świata.

Ten jawi się na wielu płaszczyznach – społecznej, ekologicznej i moralnej, a te, wraz z rozwojem dykcji autora, zdają się zacierać swoje granice, stają się liniami jedynie pozornymi. Zacieranie się granic dopełnia wizję upadku świata. Początkowo kryzys dotyczy jednostki – poeta zauważa postępującą atomizację społeczeństwa. W wierszach dominują osamotnienie oraz rozczarowanie, które są wyrażane, a przy tym potęgowane przez odczuwaną tu obojętność. Sympotemem kryzysu jest nieautentyczność, podjęcie do świata jak do wiecznego pokazu, podczas którego można jedynie obserwować

Przenikający upadek

KSIAŻKI

miliardy istnień „łatwych / i tanich w eksploatacji z perspektywy / masowej produkcji”. Świat opisywany w wierszach jest zniewolony przez ustrój kapitalistyczny, w którym niemożliwe jest zachowanie autentyczności i jakiegokolwiek wyrwanie się z, zagarniającego coraz to szersze polacie podmiotowości, systemu. Gajda, poprzez ową wielopłaszczyznowość, na przestrzeni lat stworzył spójny obraz rozkładającego się świata.

Wspomniane zjawisko dostrzegamy w tytułach i frazach, które można przypisać do osób i zjawisk obecnych w przestrzeni politycznej. I tak w wierszu *Po co nam wolność* pojawia się „ja” liryczne, które traci zdolność wymowy / milknie? po tym, jak słyszy, że musi pracować na miskę ryżu. Zaangażowanie Gajdy również zmienia się na przestrzeni lat. Nieco wtórne refleksje poświęcone tematowi narodowym i tożsamościowym („I gaśnie państwo jak łopot // białoczerwonej wbitej w gówno na oczach / milionów. Czyżby naród był kolonią mszyc / na liściu? [...]”) przechodzą w mocne uświadomienie życia w czasach postępującej polaryzacji („Czy jesteś poetą zaangażowanym? / Czy aby na pewno w fakty i ich rażące // bezprawie?”). Rzeczywistość wymaga bowiem opowiedzenia się po jednej ze stron. Autor *Człowieka z halabardą* próbuje przekazać czytelnikowi, że przestaliśmy żyć w świecie pozwalającym zachować neutralność światopoglądową.

Rozszerzenie tematyki wierszy podejmowanej przez Gajdę idzie w parze z rozwojem ich poetyckiego przedstawiania. Analizując początkową fazę twórczości poety, dochodzi się do wniosku, że skonkretyzowany obraz rzeczywistości stanowi jedynie płótno, na którym jest malowany kryzys aksjologiczny świata. Centralna część tomu – jak określił Maciej Melecki w *Posłowiu* do zbioru – stanowi „poezję najczystszej próby”. Na pierwszym planie wysuwa się tu językowa wyobraźnia, która zdaje się podkreślać niemożność poznania świata z powodu jego powiązania z językiem. Największą wartość poezji Gajdy



ANDRZEJ HANDZLIK

stanowi efemeryczność obrazu poetyckiego, jego stałe uleganie przekształceniom.

„Karmieni zbiorowością // jak gęsi tuczone na foie gras?” – czytamy w wierszu zamykającym tomik, którego tytuł posłużył także za nazwę całego zbioru. Lęk przed społeczeństwem, przytłaczającą masą, dążącą do zabicia podmiotowości, zdaje się dominujący, wysuwa się na pierwszy plan i ma stanowić pewnego rodzaju ostrzeżenie dla czytelnika. Człowiek zostaje porównany do gęsi karmionej na *foie gras* – nie dostrzeżenie zagrożenia, godzi się na bycie wtłoczonym w kapitalistyczny świat, nie zauważa, że celem „żywiciela” jest jedynie uzyskanie z „żywnego” jak największej ilości surowca, zgromadzenie kapitału kosztem drugiego człowieka. Gajda zostawia nas z wizją świata, w którym godzimy się na wykorzystywanie przez najbardziej ekspansywny z istniejących systemów – kapitalizm. Poeta zauważa, że stajemy się częścią rozbudowanej maszyny. Więcej: jesteśmy zadowoleni z naszego położenia.

Wiązania wodorowe to zbiór wierszy zasługujący na uwagę. Cechą charakterystyczną dobrej poezji jest możliwość jej pogłębionej i zawsze narażonej na podważenie interpretacji. W przypadku Gajdy, próba stworzenia wiodącej linii interpretacyjnej zawsze skazana będzie na niepowodzenie, ponieważ obcujemy ze sztuką skoncentrowaną wokół zagadnień tożsamościowych i filozoficznych. Jednocześnie jednostronne odczytanie *Wiązań...*, zostaje uniemożliwione poprzez językowe eksperymenty autora. Poezja ta bowiem jest resztyfikowanym obrazem świata, który dociera do czytelnika jedynie w formie poetyckiego powidoku, dzięki czemu pozostawia mu możliwość dostrzeżenia tego, co zwykle bywa pomijane podczas bezpośredniej obserwacji. ■

Piotr Gajda: *Wiązania wodorowe. Wiersze wybrane z lat 2008–2020*. Mikołów: Instytut Mikołowski 2021, s. 106.

Debiut literacki Sylwii Chwedorczyk *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej* można uznać za najważniejszą książkę biograficzną ubiegłego, 2021 roku. Książka Chwedorczyk to przede wszystkim studium rozwijającego się z niezwykłą determinacją talentu literackiego i autorytetu moralnego, a także dojrzewającej miłości, której źródłem była fascynacja intelektualna i cielesna. Niebagatelne znaczenie dla wysokiej oceny *Kowalskiej* ma również tytaniczna praca autorki, która przestudiowała „3090 stron miłości” (tak Chwedorczyk tytułuje czwarty rozdział biografii), czyli listy wymieniane między Anną Kowalską (*de domo Chrzanowską*) i Marią Dąbrowską (*de domo Szumską*) od listopada 1945 do stycznia 1948 roku.

To książka napisana z pasją, która objawia się nie tylko na poziomie konstrukcji biografii, a także tytułatury poszczególnych części i podrozdziałów, lecz również na poziomie wprowadzania czytelnika w poszczególne epizody, których bohaterki – Dąbrowską i Kowalską – muszą nauczyć się funkcjonować między Wrocławiem a Warszawą, żyć obok siebie (życie ze sobą również okaże się wymagać wielu kompromisów), a także akceptować zmienność humorów partnerki. Osobnym problemem, który spadnie na Kowalską po śmierci Dąbrowskiej, będzie odkrycie trzeciej wersji testamentu, która upoważnia autorkę *Na rogatce* do opieki nad jej spuścizną literacką (razem z Czesławem Hernasem).

Chwedorczyk kreśli portret kobiety zdeterminowanej, by osiągnąć sukces (stąd decyzja, by kolejne książki publikować wraz z mężem – Jerzym Kowalskim), wrażliwej na uwagi dotyczące własnej powierzchowności (na zdjęciach prezentuje się jako kobieta korpułentna, przysadzista), a także skłonnej do autoanaliz. Ze spuścizny pozostawionej przez autorkę *Szczeliny* wyłonił się wielowymiarowy portret kobiety zaradnej, utalentowanej i odważnej (pod koniec życia Kowalska poprosiła córkę Martę o notowanie dyktowanych przez nią myśli co wzmacnia heroizm, jakim charakteryzowała się podczas zmagania z rakiem piersi).

Wartość książki Chwedorczyk wiąże się nie tylko z umiejętnością sprawnego przeprowadzenia czytelnika przez życie jednej z najbardziej pracowitych i niedocenionych intelektualistek XX wieku, lecz również z kwestionowaniem twierdzenia o niezmienności orientacji seksualnej. W historii rekonstruowanej z pietyzmem, ale i ostrożnością pojawiają się zarówno elementy pragnienia, szacunku, jak i odpowiedzialności za trwałość skomplikowanej relacji. Jest ona tym bardziej zdumiewająca, ponieważ biorą w niej udział dwie pary, które uczą się żyć ze świadomością, że partnerka obdarzyła uczuciem inną kobietę. Chwedorczyk, pisząc o miłości dwóch kobiet, nie epatuje opisami zbliżeń seksualnych, jednak kwestie pożądania, starczego uwiądu oraz gąsienicy życia stanowią dominanty tematyczne kolejnych części.

Taka miłość się nie zdarza

KSIAŻKI

Podstawą książki są listy, jakie Dąbrowska i Kowalska wymieniały przez niemal cały czas trwania związku. Mogłoby się wydawać, że referowanie korespondencji dwóch pisarek okaże się niewystarczająco dobrą strategią naświetlania kulis ich związku, jednak Chwedorczyk potrafi syntetyzować informacje, budować napięcie, komentować to, co nie może umknąć uwadze czytelnika. Najważniejszymi zadaniami są: odkrycie osobowości Dąbrowskiej i Kowalskiej, a także zakreślenie szerokiego tła, które okazuje się niezbędne by zrozumieć rodzącą się i rozwijającą relację (czas drugiej wojny światowej, osiadanie każdej z pisarek w innym miejscu, powojenne zmagania z socrealizmem, a także próby napisania *opus magnum*).

W kolejnych partiach książki Chwedorczyk rekonstruuje nie tylko uczucie, jakie połączyło Dąbrowską i Kowalską, lecz przede wszystkim sposób, w jaki pisarki ze sobą korespondują. Autorka *Nocy i dni* jest bardziej surowa w ocenach, chce celowo spowodować pogorszenie samopoczucia interlokutorki (szczególnie po uzyskaniu informacji o ciąży Kowalskiej), nie cofa się przed krytykowaniem, a także dezawuowaniem talentu Kowalskiej, natomiast autorka *Mrocznego południa* nie pozwala sobie na uszczypliwości, cierpliwie omawia własne odczucia, jej korespondencja wyróżnia się na tle pełnych gorczy listów Dąbrowskiej spokojem i opanowaniem. Dąbrowska, jak pisze Chwedorczyk, „wiele z nich pisze pod wpływem alkoholu, niewyspania, rozstrojenia nerwów” (s. 236). Książka Chwedorczyk to również studium samotności, która dotyka zarówno Kowalską po śmierci męża oraz Dąbrowską po utracie Stanisława Stempowskiego.

Dowiedzenie, że Chwedorczyk napisała książkę wybitną (o czym świadczy nominacja do Górnośląskiej Nagrody Literackiej „Juliusz”) nie powinno nastęrczać trudności. Jej genialność wynika nie tylko z uda-



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

nej próby ujęcia trudnego tematu (homoseksualna miłość dwóch artystek zaangażowanych w heteroseksualne związki), lecz również rekonstrukcji losów Anny Kowalskiej bez referowania zbyt dużej liczby listów. Mimo że Chwedorczyk skupia się w przeważającej części książki na młodości, adolescencji i dorosłym życiu Kowalskiej, to jednak w tytule sygnalizuje również niepoślednią rolę Dąbrowskiej, która stała się pełnoprawną bohaterką publikacji.

Tytuł *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej* sugeruje zależność Kowalskiej od Dąbrowskiej, lecz również wpisana w relację kobiet obustronną potrzebę poszukiwania czułości i zrozumienia. To także zaakcentowanie pewnej przynależności, której trwałość nadwątlila ciąża Kowalskiej. Opowieść o homoseksualnej miłości nie jest wolna od rozterek zarówno jednej jak i drugiej pisarki (przy czym trzeba zaznaczyć, że to Dąbrowska obawiała się plotek i homofobicznych komentarzy).

Historia opowiedziana przez Chwedorczyk okazuje się zajmująca i wciągająca niemal od pierwszych stron. To po części zasługa wdzięcznego materiału literackiego, a po części talentu narracyjnego biografki, która potrafi wyważyć cytaty i własne refleksje na temat miłości dwóch kobiet o ustabilizowanych karierach. Mimo zajmowanej przez Dąbrowską pozycji, Kowalska zdołała wybić się na niezależność, przekuć życie w dobrą literaturę i pozostawić pokaźny dorobek. Jej życie naznaczone było trudnymi i brzemiennymi w skutki decyzjami, jednak mimo wielu przeciwności (śmierć męża, choroba nowotworowa) Kowalska jawi się w biografii Chwedorczyk jako kobieta, która zna nie tylko smak porażki, lecz również sukcesu. ■

Sylwia Chwedorczyk: *Kowalska. Ta od Dąbrowskiej*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2020, s. 368.



Szczególne tchnienia chwil

KSIAŻKI

TERESA TOMSIA

Pytania o źródła mocy twórczej oraz o możliwości języka – w wyrażaniu metafizycznego statusu człowieka w świecie, w jakim żyje i w mowie, jaką się posługuje – zadaje Wojciech Kass w eseistycznym zbiorze *Ręka pisząca*. Poeta krąży w notatniku wokół interesujących go tematów kreacji i przemijania, zastanawiając się, jakie sfery odkrywa przed człowiekiem sztuka, a co w nim pobudza bliski kontakt z naturą.

Fragmenty przemyśleń i wewnętrznych monologów autora zostały zebrane na pniu, pochodzą bowiem z końca czerwca roku wydania, a początkowe notatki z kilku poprzednich lat, zatem rękopisy (czy raczej maszynopisy) zostały zgarnięte wprost z biurka poety w Leśniczówce Pranie, gdzie Wojciech Kass egzystuje i tworzy. Czyta się je niczym rozmowę z autorem o nurtujących go problemach dotyczących roli literatury i kultury we współczesnym społeczeństwie, również dowiadujemy się, że „ja” pyta o tożsamość rówieśnika, przypominając mistrzów poprzednich pokoleń, nie zgadzając się na „świat wypreparowany z jakichkolwiek znaczeń i wartości, które dają pewność istnienia, poczucie istnieniowości”.

Teksty mają różnorodną formę: krótkich rozważań filozoficznych, notki będącej efektem obserwacji najbliższej okolicy, metaforycznych opisów bytowania wśród pól i lasów, poetyckich epifanii, gdy „istnienie” dochodzi do głosu. Najbardziej przemawia w autorze poeta-metafizyk, który uważnie patrzy i widzi dalej niż horyzont, a przecucie niesie go mocniej niż wiatr porywający włosy dziewczyny stojącej u brzegu jeziora i zapatrzonej w dal. Świadomość niedoskonałości języka w wypowiedaniu uczuć nakazuje zamilknąć wobec tajemnicy dożytkalnego a niewidzialnego: „Każde słowo, choćby nie wiadomo jak czule wyszeptane, byłoby dewastacją tej intymności, która zawiązała się między wiatrem i dziewczyną, a każdy dotyk, choćby niewyobrażalnie delikatny, byłby niewybaczalnie żalonym. Stałem więc i patrzyłem”.

Wojciech Kass zamieścił w swoim notatniku szczególne tchnienia chwil, jakie przyszło mu przeżyć danego dnia, co udało mu się dostrzec, bo przecież nie co dnia zdarza się czas owocnego patrzenia – skrzętnie zapisał wszelkie dary duchowe, a więc znajdziemy tu „rady i przestrogi według Hölderlina” skierowane do młodych poetów, relację z konkursu recytatorskiego gimnazjalistów w Myszyńcu, rozmowę z przyjacielem o „śmierci epistolografii”. Zastanawia się, jak „odnowić przymierze człowieka i ziemi”, cytując wersy Małgorzaty Lebdy o ojcu i chorobie pszczoł, żeby podkreślić dziedziczenie wiedzy i wycucia w obchodzeniu się z naturą.

Odchodzenie wymaga współodczuwania, łagodności, zrozumienia, wdzięczności za wspólną obecność, ciszy i spokoju. Z szacunkiem i czułością żegna się z kotką Fufką, która była świadkiem niemal dwóch dekad życia rodziny poety w Praniu. Zapisuje rozmowy z pisarzami, uwagi o lektu-

rach oraz niektóre sny, gdy pojawiają się w nich znaczące dla niego postacie kultury – Julia Hartwig podaje poecie kajet z listami, na które ma odpowiedzieć na kolejnej stronie, lecz słowa zapisane błędą jak pamięć o ludziach, którzy odeszli. Jeśli ich nie wspominamy, nie cytujemy, zacierają się ślady. Język należy ćwiczyć, przypomina autor, aby zdołał nazwać ból i rozpacz, uniesienie i uwielbienie, miłość, życie i śmierć. Trzeba się zmagać ze słowami zwłaszcza wtedy, gdy zbyt łatwo podpowiadają nam określenia uczuć, jakich dogłębnie nie odczuwamy. Nie pozwala, byśmy szli na łatwiznę: „Język tęskni do zbliznienia się z Tajemnicą, to jego antropologiczna misja i ontologiczny zew. W słowie – to wielkie pragnienie poety – rana bytu zasklepia się, choćby na chwilę”.

Charakterystyczne w zapiskach Kassa są częste odwołania do klasyki dawnej i bliskiej, sąsiadujące cytaty z Tołstoja i Brodskiego, Gałczyńskiego, Różewicza, Miłosza i Zagajewskiego, poszukiwanie definicji, czym mogłaby być wewnętrzna harmonia człowieka we współczesnym świecie rozdręganym emocji i natłoku idei. Poeta proponuje zachowanie pogody ducha, wzajemne zaufanie i otwarcie się na los innego człowieka nie w sensie „podglądactwa”, lecz nauki, jak lepiej żyć, w jaki sposób uczuć się tajemnic świata i poznawania własnych możliwości rozwoju i przemiany, choćby okazała się dotkliwa, bo – jak ustalił – „poezja jest instrumentem życia, a nie celem samym w sobie, jest takim dzwoneczkiem, na którego dźwięk drugi człowiek podnosi głowę, nastawia ucha, pragnie ustalić źródło tego dźwięku”.

Przed wszystkim przyciągają czytelnika metaforyczne frazy Kassa, choć należy zgodzić się z wieloma filozoficznymi refleksjami dotyczącymi zniweczenia obyczajów nieśpiesznego poznawania, bezinteresownej gościnności czy znaków braku wspólnotowego spotkania. Rada wynikająca z zapisanych na pniu myśli w Leśniczówce Pranie jest taka: „Ptak nie szuka posłuchu dla

swojego śpiewu. I ty, poeto, bądź bezinteresownym i nie zabiegaj zanadto o tubę ani ucho dla swojej pieśni”.

Poeta wędruje przez las, wsłuchując się w odgłosy ziemi i własnych kroków, zewsząd dobiegają znaki życia, śpiew ptaków, szum wiatru, trzask łamanych gałęzi. Pragnie dotrzeć w głębię puszczy, zanurzyć się w cieniu pierwotnej natury. Dostrzega cywilizacyjne zmiany niszczące przyrodę. Słyszysz oddech i bicie serca. Opisuje w wierszach i esejach wrażenia z wędrowki, która toczy się przez lata. Ważny jest powierzony mu czas – zastanawia się, jak go przeżyć, by nie stracić nadziei. Pyta, w jaki sposób poetycka fraza oddziałuje na czytelnika tak sugestywnie, że szukamy następnej? Po czym mamy poznać, że nie jest fałszywa, że ukazuje rzeczywistość w jej zjawiskach najtajniejszych? Poprzez język przemawiają do nas uczucia, doświadczenia, doznania, wszelkie emocje tylko wtedy, gdy słowo „działa”, czyli ma w sobie ducha, a nie jest tylko słowem zapisanym na papierze: „Działania będące jeszcze dekadę temu jakoś dla mnie ważne tracą znaczenie, przestają być wyzwaniem. Nie to, że straciłem wiarę w sens podobnych robotek i nawet nie to, że są niewarte wysiłku, rzecz w tym, iż co innego słyszę teraz od czasu; słyszę jego jednostajny i uporczywy szum, w którym giną pieczołowicie budowane modele, rusztowania, konstrukcje”.

Jeśli w odnajdowaniu własnego rytmu mówienia i pisania, w uzdrawianiu ducha współczesnego człowieka pomogą rady doświadczonego poety, jego wyrazista osobowość i odwaga nazywania problemów, być może stanie się mentorem dla młodego pokolenia. Czy jego głos wybrzmi mocno i zostanie usłyszany, o tym dowiemy się zapewne z kolejnych fragmentów *Ręki piszącej*. ■

Wojciech Kass: *Ręka pisząca*. Wydawnictwo Austeria, Kraków–Budapeszt–Syrakuzy 2021, s. 122.

Nikt Janiny Barbary Sokołowskiej otwarcie stawia przed czytelnikiem następujące zadanie: „jeżeli zaszpelesz się w lustro z liter/ i wyrwiesz z głębi mój cień/ może mnie ocalisz / a może wszystko pójdzie na marne”. To chyba najważniejsza próba dla poezji, którą w swoim *non omnis moriar* nazwał już Horacy, a dopełnił Miłosz pytając: „Czym jest poezja, która nie ocala / Narodów ani ludzi?”. Poetka pyta o rzecz najważniejszą – sens życia siebie i swoich najbliższych, apelując w wierszu *Odgłosy zamykanego wieka*: „wiedz Stwórco, że nie oddam mojego życia za nic/ weźmiesz je sobie bez pytania” i oznajmia w zamykającym tomik tryptyku *Spowiedź*: „płacząc nad grobem Bóg / odprawia ostatni akt”.

Pozornie wydaje się, że ów metafizyczny szlak walki życia ze śmiercią został już mocno wyeksploatowany w całym spektrum literackich obrazów i archetypów – od biblijnych motywów wanitatywnych poczynając, poprzez średniowieczny *danse macabre* czy barokową *Krótkość żywota* na Różewiczowskim *Ocalonym* – nie kończąc. Wszak bracia Eros i Tanatos kroczą z nami od zarania dziejów i Sokołowska ma tego pełną świadomość. Z przynależną poetce nadwrażliwością wyjmuje znakomicie z zaopatrzonego literackiego szafy znane symbole i rekwizyty. Jest wśród nich sen, światłość i ciemność, mówiąca *memento mori* czaszka, są czasomierze i wiele innych „dowodów na istnienie”.

Wydaje się, że nie sposób obejść się bez elementów owego kodu kulturowego, bez tradycyjnych współrzędnych, jednak autorka znajduje swoją własną drogę obcowania z tematem. Nie czyni zeń źródła teoretycznych rozważań, ale osobistego doświadczenia, z całą gamą zwątpień, tęsknot, niezgod, buntów i wątpliwości. Sprawiają one, że podskórnie zadaje najważniejsze pytania również i za nas. Osamotniona w kosmosie zdarzeń, niepewna w teatrze świata, powtarzająca w odpowiedzi na słynne: „Życie to sen wariata śniony nieprzytomnie...” odpowiada: „przecież tamtego snu nie będziesz pamiętać”. Waha się pomiędzy kilkoma „rozwiązaniem” – zawsze niepewnymi. To pozornie biologiczne, naturalistyczne (ale to nie są najlepsze słowa) zapowiada najsamopierw w wierszu otwierającym zbiór, zatytułowanym *Przemyslenia przed*, w którym czytamy: „dróżka z dymu, ale pójdą nią aby w czystej wierze/ pić ze źródła. albo otchłań i mroczny żagiel w nicości, tak czy owak nie zaświecą martwe oczy / ciało wyniosą jak rzecz z mojego domu // nucę list który zabiorę ze sobą. ukryję na dnie ciemności/ żeby mi oświetlał drogę okołoziemską i monotonna / nudną wieczność rozweselał / a gwiazdy drwiąc zarechoczą: wszystko już było // dlatego skupię się do pierwiastka który nie wie/ że mnie nie ma. lecz uparcie drażny otwór na światło // jeszcze tylko zapiąć czas w śmiech wiatru / oznaczyć znajome kamienie jak drogowskazy / i będę gotowa iść do ziemi z której przyszedłam”.

Ów otwarty „fizyczny” szlak temu skończy się jednak trzyaktową *Spowiedzią*, któ-

KSIĄŻKI

rej kanwą są wydarzenia ostatniego czasu. Poetka świadomie rezygnuje jednak z natrętnych, wszechobecnych „covidów” czy „pandemii” zastępując je opisem. Słowa zapisuje na tej samej partyturze co słynne wyliczenie Naborowskiego, z tym że: „dźwięk, cień, dym, wiatr...”, zastąpiły „rękawiczki, maseczka, izolacja, paraliż”. Nie brzmi już ono niczym dźwięk dzwonów wybijających etapy życia, ale hasłowo, niczym bizarne przepustki do niego, bo: „... na balkonie schnie Chrystus/ ogłasza bezsilność nieba”.

Sokołowska nieustannie waha się pomiędzy wyborem powrotu czy rozpląnięcia się w materii, a doświadczeniem religijnym. Używa przy tym prostego, niemal potocznego języka, który w jakiś sposób odziera sacrum z afekcji czy patosu i sprawia, że podążając tokiem myśli poetki nie tylko jej wierzymy ale współodczuwamy ewokowane, często sprzeczne emocje, jak w wierszu *Przychodzi ostatnia, w dzień pogrzebu*, tak obrazującym funeralną rzeczywistość: „dym z kadzidła to znak obchodów święta Wiecznej Nocy / (nie Wielkiej – bez przesady, zarezerwowana dla Jezusa) / rytualny taniec Duszy/ bo zmarli są silniejsi od żywych. nie muszą się bać”. Owo niezrozumienie, niepokodzenie, wewnętrzne rozdarcie czasem wyrażane jest wprost, jak w wierszu *Perły matki* opartym na ludowym motywie wotywnym, kiedy podmiot liryczny stwierdza: „nie pojmuję takiej wiary. nie rozumiem nabożnych/ kościołów stojących na straży niematerialnego Boga / patrzę na sznur pereł. jest w tym jakiś niepokój/ niejasny do końca/ bo kiedy trzy razy zapieje kur i ktoś zawoła: „chodź już” / jak Judasz się zaprę?”.

Pożegnanie z najbliższymi, ale i samą sobą, nie mają w sobie nic z akceptacji, nic z pewności. Wyobrażanie własnej śmierci nie ma na celu jej oswojenia, czy pogodzenia się z nią, jest raczej, jak to się dzieje w depresji czy syndromie presuicydalnym, paradoksalną próbą ocalenia się

Nikt

Janina Barbara Sokołowska



WAMiKO.pl

PIOTR SKOWRONEK

bie, choćby w „lustrze słów”, w emocjach czytelników, w jeszcze jednym oddechu.

Ten aspekt podkreśla znacząco stosowanie znaków przystankowych. Sokołowska nie liczy się z powszechnymi zasadami interpunkcji, a jej ulubionym znakiem jest kropka. Stawia ją w wielu nieoczekiwanych miejscach. Zatrzymując się, nabierając oddechu, przystając w myśleniu i emocjach. Czasami wygląda to jak dziecięca zabawa w „trupa”. Wszystko na moment zamiera, by po chwili ożyć. To dykcja właściwa strwożonemu sercu. Nagłe zatrzymanie, skurcze, westchnienie i... kolejny oddech do następnej „kropki”.

Mocowanie się z odchodzeniem nie ma w sobie nic z sentymentalizmu. Sokołowska nie próbuje też oswoić go jakkolwiek formą humoru, zbiera za to „dowody na istnienie” nie tylko w swojej prywatnej, intymnej pamięci: gołębie ojca, perły mamy, ale również sięgając do rozległych pokładów kultury. Owe tropy znajdziemy w wielu miejscach. Tytuł wiersza *Ziemia nieobiecana* jest antonimem tej biblijnej, „Obiecanej”. Tu wszystko jest na opak: „prostokątna piaskownica / plastikowe zabawki w szarym pisaku / uśmiechają się do słońca”, ale wszystko to staje się efemeryczne pod wpływem „nowego” i „słońce wtopi się w ziemię. zapadnie zmrok / i tak już będzie”. Poetka jest, i w jakimś sensie nie jest pewna zbliżającej się śmierci. Wie, że osiągnie ona najbliższych i ją samą, więc stara się ocalić „ostatnie” chwile potwierdzające sens całego życia, istnienia, bycia, a co za tym idzie kondycji i tożsamości „ja”, wydaje się antytezą tytułowego *Nikt*. W sukurs przychodzi jej motyw *teatrum mundi*, bo: „zegar wskazuje czarne godziny. rozwiesza szarfy, czas wartownik ostrzy noże. pomyślałabyś – teatr / a to ludzkie dramaty”. I upomina sama siebie: „zamknij w kamieniu dekalog płagi i nie pisz o tym”.

Janina Barbara Sokołowska: *Nikt. MaMiKo, Szczecin 2021, s. 80.*

ZMIERZCH

Wspominać? Gdyby tylko można
na krótką chwilę wrócić do domu
na chwilę zmierzchu, gdy spływa z pola
w białe jabłonie ogrodu.

Prowadził mnie za rękę ojciec:
– patrz synku, jaki ładny zmierzch
kiedy urośniesz, będziesz malować
kupię ci farby olejne. Chcesz?

I gdybym malował, na zachód słońca
patrzyłbym jak ojciec: pogodnie i ufnie
dziś ze zmierzchem spływają słowa
jak znaki ślepe i głuche.

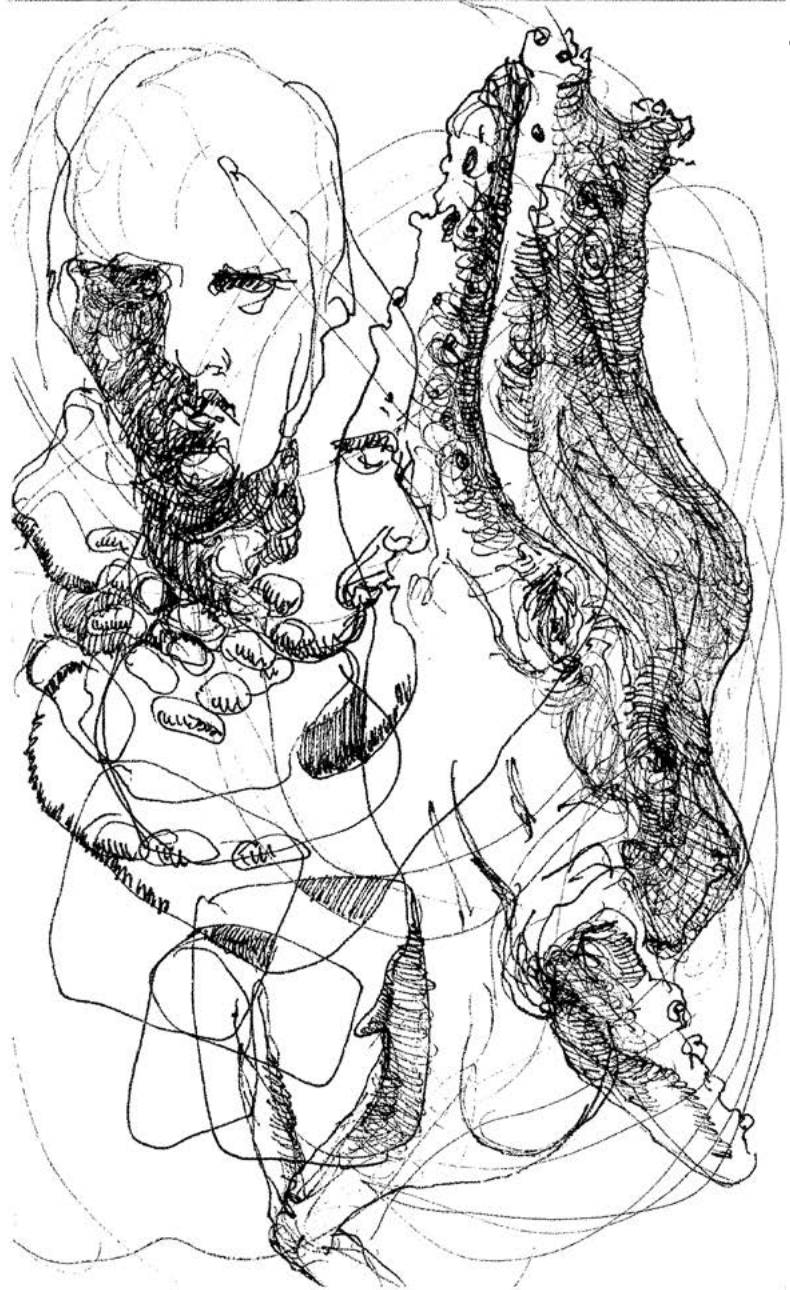
Gęstnieje za oknem zimowy mrok
i wpełza na szyby cieniem tęnym
na białej ścianie maluje Król Olch
rozdarty konar starej wierzy.

MOŻE TAK JEST

Może tak jest
że w nieskończonej przestrzeni świata
z miliardami lat świetlnych
które mierzą odległości
galaktyk

mała kolorowa
ziemia
zgubiła się Bogu

a może
nie panując już nad nami
zajął się inną częścią kosmosu
rzekąc:
niech radzą sobie sami

**ZEMSTY RĘKI ŚMIERTELNEJ NIE BĘDZIE**

z Szymborskiej

Niczego nie ocalisz: ani sarny, ani jej kopytek
biegnących w las czarnych znaków,
zostanie tylko kartka z zapisanym truchcikiem
słów pustych wzdłuż białego szlaku

poezja nikogo i niczego nie ocala
sama umiera bezradna wobec czasu
już w chwili narodzin staje się martwa
odchodząc nawet od swego poety.

NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY

Premier Mateusz Morawiecki zapowiedział nowy program transformacji dla Śląska

KATOWICE. Przygotowana Transformacja 3.0 to zmiany poprzemysłowe, tworzące nowe miejsca pracy dla mieszkańców całego województwa. Uwzględni rozwiązania, które sprawdziły się w Programie dla Śląska np. w zakresie infrastruktury, ochrony środowiska, służby zdrowia, edukacji czy działań samorządowców – kilkadziesiąt miliardów zainwestowanych środków. Rząd chce jednak tworzyć nowe perspektywy – innowacyjne projekty i technologie przyszłości: węgiel i gaz, atom i wodór, wiatr i słońce. Premier wziął udział w posiedzeniu podkomisji stałej do spraw transformacji regionów zagrożonych wykluczeniem w związku z wdrożeniem Zielonego Ładu oraz parlamentarnego zespołu ds. transformacji regionów górniczych w województwie śląskim, którego głównym tematem były zmiany na Śląsku. Zapowiedziany nowy program transformacji regionu uwzględni ulepszenie dotychczas proponowanych działań oraz aktualną sytuację geopolityczną. Śląsk jako region może szczycić się dużym potencjałem – inżynierskim, projektowym, technicznym, technologicznym, a także tym związanym z działalnością śląskich uczelni. Nowe rozwiązania będą tworzone we współpracy ze związkami zawodowymi oraz prezesami spółek węglowych i energetycznych. Szef polskiego rządu podkreślił jak ważne jest, żeby mieszkańcy Śląska i całego regionu wiedzieli jak będą przebiegać zmiany. Zwłaszcza w dobie mierzenia się z wyzwaniem związanym z polityką klimatyczną Unii Europejskiej oraz zmianami gospodarczymi zachodzącymi na świecie. Poziom bezrobocia dziś w województwie jest jednym z najniższych w Polsce i najniższy w III RP. Za to jeden z wyższych jest poziom wynagrodzeń – w porównaniu do innych regionów. Świadczy o to skuteczności do tej pory podejmowanych działań.

Światowe Forum Miejskie. 11 Sesja WUF

KATOWICE. Światowe Forum Miejskie to największe na świecie wydarzenie poświęcone rozwojowi miast. Odbywa się co dwa lata, a pierwsza jego edycja miała miejsce w 2002 roku w Nairobi. Gospodarzami, a zarazem współorganizatorami 11. Sesji WUF, będą Polska i Katowice. Po raz pierwszy wydarzenie zagości w Europie Środkowo-Wschodniej. Odbędzie się od 26 do 30 czerwca 2022 roku w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach. Hasło polskiej edycji WUF brzmi: „**Zmieniamy nasze miasta dla lepszej przyszłości**”. Partnerami wydarzenia po stronie polskiej, którzy wspierają organizatorów, są Instytut Rozwoju Miast i Regionów oraz Rada Młodych WUF11.

Polska, reprezentowana przez ministra Grzegorza Pułę, a także ONZ, reprezentowana przez dyrektora wykonawczą UN – Habitat Maimunah Mohd Sharif, podpisali dwie umowy dotyczące organizacji WUF11 w Polsce. Umowy formalnie potwierdzają, że WUF11 odbędzie się w Polsce.

Katowice – Europejskie Miasto Nauki 2024

KATOWICE. Podczas konferencji prasowej zorganizowanej w Centrum Informacji Naukowej i Bibliotece Akademickiej (CINIBA) nastąpiło ogłoszenie przyznania Katowicom tytułu Europejskiego Miasta Nauki 2024 oraz podpisanie umowy konsorcjum organizatorów EMN 2024.

Z inicjatywy prezydenta Katowic dra Marcina Krupy i środowiska akademickiego reprezentowanego przez rektora Uniwersytetu Śląskiego prof. Ryszarda Koziołka, Katowice wystąpiły o przyznanie tytułu Europejskiego Miasta Nauki w 2024 roku, a co za tym idzie organizacji EuroScience Open Forum 2024 (Otwarte Forum EuroScience 2024 – ESOF 2024). Wydarzenie odbywa się co dwa lata i poświęcone jest kluczo-

wym dla przyszłości świata badaniom naukowym i innowacjom. Europejskie Miasto Nauki wraz z konferencją ESOF jest prestiżową marką i oferuje miastu gospodarzowi ogromną możliwość przyciągnięcia naukowców, polityków, biznesmenów i przedstawicieli mediów z całego świata. Tytuł umożliwia zwiększenie zaangażowania mieszkańców i środowiska naukowego w rozwiązywanie problemów lokalnych, wzmacnia również możliwości pozyskania środków do realizacji planów inwestycyjnych na regionalną naukę, zwiększa turystyczną atrakcyjność miasta na arenie międzynarodowej, pozwala na zwiększenie oddziaływania uczelni na wszystkie sfery życia i zwiększa ich rozpoznawalność na arenie międzynarodowej. Od 8 do 10 października 2021 w Katowicach gościł prezes Stowarzyszenia EuroScience prof. Michael Matlosz. Jego wizyta i udział w 5. Śląskim Festiwalu Nauki KATOWICE, którego liderem jest Uniwersytet Śląski, były okazją do prowadzenia rozmów na temat kandydatury Katowic i działań związanych z ubieganiem się o tytuł. Kandydatura Katowic okazała się najlepsza – stolica województwa śląskiego otrzymała tytuł Europejskiego Miasta Nauki 2024! Przyznanie tytułu Europejskiego Miasta Nauki 2024 oraz organizacja konferencji ESOF2024, są konsekwencją uznania miasta Katowice oraz Uniwersytetu Śląskiego i innych katowickich uczelni za doświadczonych współorganizatorów i gospodarzy ogólnosięwiatowych wydarzeń, jak np. UN Climate Change Conference (COP24), UN World Urban Forum 2022 czy Śląski Festiwal Nauki KATOWICE. Katowice są pierwszym w historii miastem z Europy Środkowo-Wschodniej uhonorowanym tytułem EMN. Instytucją przyznającą tytuł oraz organizującą konferencję ESOF jest EuroScience (European Association for the Advancement of Science and Technology – Europejskie Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju Nauki i Technologii). Euroscience to największe ogólnoeuropejskie stowarzyszenie skupiające badaczy i naukowców.

XIV Europejski Kongres Gospodarczy (EEC)

KATOWICE. Najważniejsze nurty tematyczne kolejnej edycji Europejskiego Kongresu Gospodarczego (EEC) oraz rekomendacje dotyczące roli tej ważnej debaty były przedmiotem spotkania w Katowicach Rady EEC. **Radę tworzą ludzie gospodarki i nauki, samorządowcy i politycy europejscy. Gremium to odgrywa ważną rolę w procesie programowania Kongresu. Kongres odbędzie się 25-27 kwietnia 2022 roku w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach.**

Centrum Popularyzacji Nauki Politechniki Śląskiej w Gliwicach (CPN)

GLIWICE. Centrum Popularyzacji Nauki Politechniki Śląskiej w Gliwicach (CPN) jest laureatem konkursu Popularyzator Nauki 2021 w kategorii Instytucja. Powstanie CPN wynikało z oddolnej inicjatywy popularyzatorów. Od 1 lutego 2017 roku, funkcjonuje już prawie pięć lat – poinformowała prof. PŚl., dr hab. Aleksandra Ziemińska-Buczyńska, dyrektor Centrum Popularyzacji Nauki Politechniki Śląskiej w Gliwicach podczas gali wręczenia nagród konkursu Popularyzator Nauki 2021. W tej chwili sztandarowym projektem CPN jest Noc Naukowców Politechniki Śląskiej, która w 2020 roku zorganizowana była online, a w roku 2021 hybrydowo. Wydarzenia tłumaczone są na język migowy i na język angielski. Centrum działa na wielu płaszczyznach i dociera do osób w różnym wieku. Bierze udział w licznych przedsięwzięciach, oferuje uniwersalne zajęcia, osadzając je w środowisku lokalnym i w regionie – i wciąż szuka nowych form aktywności. Kształci naukowców w zakresie komunikacji nauki.

Śląskie Centrum Inżynierii Prawa, Technologii i Kompetencji Cyfrowych Cyber Science

KATOWICE. Interdyscyplinarne konsorcjum naukowo-badawcze, łączące technologię, prawo nowych technologii i kompetencje cyfrowe, zawiązały w poniedziałek Uniwersytet Śląski, Politechnika Śląska, Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach i Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa. Uroczystość podpisania porozumienia w sprawie utworzenia konsorcjum odbyła się w poniedziałek w Katowicach w ramach 16. Szczytu Cyfrowego ONZ – Internet Governance Forum 2021 (IGF). To pierwsze takie polskie konsorcjum naukowo-badawcze. Porozumienie podpisali rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. Ryszard Koziołek, rektor Politechniki Śląskiej prof. Arkadiusz Mężyk, rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach prof. Celina Olszak i dyrektor Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej Wojciech Pawlak. Konsorcjum będzie nosiło nazwę Śląskie Centrum Inżynierii Prawa, Technologii i Kompetencji Cyfrowych Cyber Science. Naukowcy mówili o europejskim programie Cyfrowa Europa 2021–27. Digital Europe Programme 2021–27 (DEP). Przypomnieli, że zapewnia on finansowanie obliczeń super komputerowych, sztucznej inteligencji cyber bezpieczeństwa, zaawansowanych umiejętności cyfrowych i zapewnienia szerokiego wykorzystania technologii cyfrowych w gospodarce i społeczeństwie. Podkreślili, że wdrażanie nowych technologii wymaga kompetencji technologicznych, społecznych prawnych, w zakresie cyberbezpieczeństwa, a także zarządzania, marketingu i finansów. Realizacja konsorcjum ma się odbywać przez wspólne projekty badawczo-wdrożeniowe, wspólne projekty dydaktyczne (interdyscyplinarne ścieżki międzyuczelniane z udziałem NASK), działanie na rzecz środowiska akademickiego, wykorzystywanie społeczności akademickich i uczelni jako piaskownicy regulacyjnej i technologicznej czy współpracę studentów.

Melduję się w Kato

KATOWICE. Władze Katowic zachęcają osoby, które tu mieszkają, lecz nie są zameldowane, aby się meldowały. Katowicki magistrat podkreśla, że miasto stało się nowoczesnym centrum regionu, w którym dobrze się pracuje, uczy i żyje. Sporo osób korzysta z miejskiej infrastruktury i spędza tu wolny czas, ale nie do końca wie, że ma realny wpływ na kolejne inwestycje. Zameldowanie w Katowicach to nie tylko urzędowa formalność, ale przede wszystkim płynące z tego realne korzyści dla mieszkańców. Wiedzą o tym niemal 53 tysiące osób, które wystąpiły o Katowicką Kartę Mieszkańca. Karta Mieszkańca uprawnia do zniżek u 89 partnerów prywatnych i w 12 jednostkach miejskich. Dzięki niej mieszkańcy miasta mogą taniej skorzystać m.in. z basenów, kortów tenisowych, wydarzeń kulturalnych, usług fryzjerskich, weterynaryjnych czy prawnych. Dzięki zameldowaniu i rozliczaniu w Katowicach podatku dochodowego – osoby te wspierają miejski budżet i lokalne inwestycje. Warto dodać, że o podziale części środków z budżetu miasta decydują również sami mieszkańcy. Katowicki budżet obywatelski od lat cieszy się sporą popularnością wśród katowiczian. Kampania „Melduję się w Kato” to szereg filmów promocyjnych, animacji i innych działań mających zachęcać do zameldowania się w Katowicach. Na ulicach pojawią się billboardy, na których autentyczni mieszkańcy Katowic będą zachęcali do „zameldowania się w Kato”.

Krakowice – perspektywa jasna czy może tragiczna

KATOWICE. Adaptacja do procesu „kurczenia się” gmin i ściślejsze powiązanie z dynamicznie rozwijającym się Krakowem – takie rady dla samorządowców z Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii mają eksperci z Instytutu Rozwoju Miast i Regio-

nów. Miasta Górnego Śląska i Zagłębia wyludniają się. Proces ten będzie dalej postępował; tylko sam Sosnowiec do roku 2050 ma stracić ok. 1/3 ludności. Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia pracuje nad pionierskim dokumentem, jakim będzie Strategia Rozwoju GZM na lata 2022–2027 z perspektywą do 2035 roku. Metropolia na Śląsku i w Zagłębiu liczy aż 2,3 mln mieszkańców, ale problem depopulacji nie jest jej obcy. W ostatnich 10 latach w GZM na skutek ubytku naturalnego i migracyjnego ubyło 107 tys. mieszkańców. W ciągu kolejnych lat procesy depopulacji ulegną pogłębieniu – wg Głównego Urzędu Statystycznego w latach 2020–2030 ubędzie kolejne 140 tys. mieszkańców. **Zdaniem ekspertów nie pomogą projekty rewitalizacyjne. Konieczna jest adaptacja do zmian demograficznych oraz ściślejsze powiązanie z obszarem metropolitalnego Krakowa. Podkreślano, że w Metropolii liczba studentów przewyższa już liczbę górników. Obecnie w GZM studiuje blisko 89 tys. osób. Metropolia jest także drugim po Warszawie miejscem lokowania największych firm. widoczne jest w Metropolii „odrodzenie kulturalne”, które w naturalny sposób, ciągnie za sobą odrodzenie gospodarcze.**

Ekspertcy Instytutu Rozwoju Miast i Regionów podsumowali rezultaty – realizowanego wspólnie z Ministerstwem Rozwoju i Technologii – projektu Gospostrateg – NewUrbPact. Kluczowym wątkiem w przedstawionych wynikach analiz pozostaje demografia. Wskaźnik dzietności na całym jej terenie znajduje się obecnie poniżej średniej krajowej – żaden z subregionów nie osiąga wskaźnika 2,1, co by gwarantowało tzw. zastępowalność pokoleń (najgorzej jest w Zagłębiu Dąbrowskim i subregionie bytomskim), a ludność – zwłaszcza w wieku produkcyjnym – odpływa z miast na obrzeża GZM lub wręcz poza jej granice. Ekspertcy mówią wprost, że metropolia znajduje się w fazie dezurbanizacji i kurczenia się ośrodków miejskich. Ostrzegają ponadto, że te procesy jeszcze się nasilą. Do 2050 r. liczba ludności spadnie we wszystkich powiatach GZM (na plusie będzie tylko powiat mikołowski); największy spadek odnotujemy w Sosnowcu, gdzie „zniknie” 1/3 ludności (a część badaczy uważa, że może to być nawet 40 proc.!). Co czwarty mieszkaniec GZM będzie liczył co najmniej 65 lat... Ekspertcy zastrzegają, że nie można mówić o GZM jako o regionie upadającym, ale zwracają uwagę na dystans dzielący ją od tzw. wielkiej piątki polskich metropolii (Warszawa, Kraków, Trójmiasto, Wrocław, Poznań). Fachowcy raczej nie wierzą, że sytuację zasadniczą zmienią działania rewitalizacyjne – efekty tych ostatnich są niewspółmiernie małe w stosunku do kosztów. Podkreślają przy tym, że konkurencja między miastami GZM przynosi finalnie katastrofalne skutki – i apelują o sprawiedliwszy podział kosztów i benefitów związanych z funkcjonowaniem we wspólnej metropolii. Możliwość „ucieczki” do przodu dla GZM widzą natomiast na... wschodzie. Ograniczenia przestrzenne i środowiskowe, a także ceny nieruchomości w Krakowie sprawiają, że istnieje potencjał, by bazą mieszkaniową dla tamtejszego rynku stały się miasta GZM. Pod jednym wszakże warunkiem: należy poprawić dostępność komunikacyjną obu tych ośrodków.

Metropolitarna Rada Rozwoju

KATOWICE. Przedstawiciele Ministerstwa Funduszy i Polityki Regionalnej, Ministerstwa Infrastruktury, władz samorządowych reprezentujących podregiony, reprezentanci Unii Metropolii Polskich, Śląskiego Związku Gmin i Powiatów, rektorzy śląskich uczelni weszli w skład **Metropolitalnej Rady Rozwoju. Rada to interdyscyplinarne gremium ekspertów zewnętrznych o kwalifikacjach i doświadczeniach zawodowych związanych z problematyką obszarów miejskich.**

Wsparcie merytoryczne zarządu metropolii podczas trwających prac nad Strategią Rozwoju Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii na lata 2022–2027 z perspektywą do roku 2035 – to główne zadanie Metropolitalnej Rady Rozwoju. Do wzię-

cia udziału w jej pracach zaproszenie przyjęli przedstawiciele władzy rządowej i samorządowej, środowisk społeczno-gospodarczych oraz naukowo-badawczych.

Do zadań rady należeć będzie wskazywanie istotnych kierunków rozwoju pierwszej Metropolii w Polsce oraz weryfikowanie ustaleń powstającego dokumentu. To wszystko ma służyć podnoszeniu jakości życia mieszkańców, tak by Metropolia była atrakcyjnym miejscem pracy, inwestowania, zamieszkania i spędzania czasu wolnego. Zaproszeni zostali też rektorzy uczelni publicznych: Politechniki Śląskiej, Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Ekonomicznego oraz przedstawiciele Głównego Instytutu Górnictwa, Urzędu Statystycznego w Katowicach, Instytutu Ekologii Terenów Uprzemysłowionych i oddziału śląskiego Towarzystwa Urbanistów Polskich. Środowiska gospodarcze w radzie będą reprezentować Regionalna Izba Gospodarcza oraz Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna. Parterem wspierającym GZM w procesie opracowania Strategii Rozwoju GZM jest firma doradczą PwC. Strategia Rozwoju GZM ma być gotowa do końca 2022 r. Wyznaczy m.in. cele i kierunki jej rozwoju, a także komponent planistyczny w postaci modelu struktury funkcjonalno-przestrzennej związku metropolitalnego (co jest nowością wprowadzoną rok temu do przepisów prawa). Obecnie obowiązującym dokumentem, wyznaczającym główne kierunki działań w pierwszej fazie funkcjonowania Metropolii, jest Program Działań Strategicznych do roku 2022. Określa on ok. 30 zadań do realizacji w latach 2018–2022 w ramach 5 priorytetów rozwojowych i jest zwany „małą strategią”.

Projekt KSENON

ŻORY. Projekt KSENON zakłada budowę w Żorach, na terenie wchodzącego w skład strefy obszaru Osiny, kompleksu czterech hal. Każdy z budynków ma składać się z ośmiu modularnych boksów przemysłowych z uzupełniającą częścią o charakterze pozaprzemysłowym wraz z otoczeniem.

Boksy przeznaczone pod kilkuletni wynajem dla mikro i małych przedsiębiorstw mają mieć powierzchnię od 260 m kw. do 390 m kw. Przewidziano budowę części nieprzemysłowej o powierzchni ok. 1 tys. m kw. z centrum kompetencji, miejscem coworkingu, bistro oraz pomieszczeniami biurowymi dla kilku firm.

Zgodnie z zamysłem KSSE akcelerator, obok zapewniania bazy sprzyjającej rozwojowi firm, ma być miejscem poszerzania umiejętności i wiedzy na różnych szczeblach i z wykorzystaniem różnych technologii. Tym, co wyróżni go od typowej dzierżawy hal o charakterze deweloperskim, będzie część nieprzemysłowa i urbanistyczna oraz procesowe wykorzystanie otoczenia, związanego m.in. z już istniejącym i funkcjonującym biznesem.

W trwającym postępowaniu KSSE na budowę w Żorach czterech hal o łącznej powierzchni użytkowej niespełna 3,4 tys. m kw wraz z częścią usługową i zagospodarowaniem terenu, przy budżecie nieco ponad 75,8 mln zł brutto, wybrano tańszą z dwóch ofert Budimeksu, za 77 mln zł.

KSSE dostała 40,8 mln zł dofinansowania na ten cel z puli Regionalnego Programu Operacyjnego Woj. Śląskiego na lata 2014–2020, przeznaczonej na wsparcie regionalnych oraz lokalnych centrów kreatywności i innowacji. Cały projekt oszacowano na 77,4 mln zł.

Etnologia w sieci

KATOWICE. Muzeum Śląskie w Katowicach zorganizowało konferencję naukową na temat „Etnologia w sieci”. Współcześnie, w dobie dynamicznych przeobrażeń, część naszej aktywności życiowej przenosi się do sieci – w obszary różnego typu stron internetowych, na fora, blogi, portale społecznościowe, gdzie

ludzie się spotykają, odnajdują, informują, zwierzają, zachęcają, bawią, modlą, kłócą, wspierają czy dyskutują albo hejtują. Sytuacja pandemiczna uzmysławia nam to dobitnie. Znaczenie świata wirtualnego od dłuższego już czasu dostrzegane jest przez badaczy nauk społecznych. Internet nie jest czymś nowym, jednak jest tworem żywym i zjawiska w nim funkcjonujące zmieniają się, podobnie jak życie w świecie rzeczywistym. Te w sieci dostosowują się do realnych, są odpowiedzią na aktualne potrzeby kolejnych pokoleń. Rzeczywistość wirtualna nie jest fikcją, a cyberświat staje się dla badaczy równoległym obszarem do eksploatacji i nieskończonym źródłem wiedzy o człowieku. Konferencja adresowana była do przedstawicieli różnych dyscyplin naukowych – etnologów i antropologów, socjologów, kulturoznawców, folklorystów, historyków, językoznawców – którym problematyka współczesnych zjawisk kulturowych występujących w Internecie jest bliska. Pragniemy, by była pretekstem do rozmów, jakie aspekty życia codziennego, społecznego i duchowego człowieka przeniosły się w cyberprzestrzeń i jak ewoluowały, jakie nowe zjawiska oraz zachowania kulturowe wykształciły się wyłącznie w wirtualnym świecie, co nam dał, a co odebrał model życia „online”. Podejmowano w dyskusji m.in. następujące tematy:

Stan badań nad rolą i znaczeniem Internetu we współczesnym życiu. Sacrum w sieci – objawy wiary, kult, praktyki religijne, społeczności religijne. Miłość w sieci – portale oraz aplikacje randkowe jako miejsce spotkań współczesnych singli. Magia w sieci – wierzenia i zachowania magiczne w Internecie, wróżby, horoskopy, zaklęcia magiczne, łańcuszki szczęścia. Internetowy folklor słowny – netfolklor, język portali społecznościowych (emotikony, skróty językowe, memy), posty, komentarze itd. Kariera w sieci – blogerzy, szafiarki, influencerzy itd.

Wspólnotowość w sieci – cyberwspólnoty, mobilizacja społeczna, usieciowienie aktywizmu.

Internet w czasie pandemii i wymuszonej przez nią izolacji społecznej – przymusowe przeniesienie życia do sieci – praca, życie codzienne, relacje międzyludzkie, edukacja, kultura, rozrywka, zakupy, usługi online i inne nowe zjawiska, wykształcone potrzeby wyjątkowej sytuacji i in.

Jordi Savall doktorem honoris causa Uniwersytetu Śląskiego

KATOWICE. Słynny kataloński muzyk i kompozytor Jordi Savall odebrał w Katowicach tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego. Savall to mistrz violi da gamba, jeden z najwybitniejszych interpretatorów muzyki dawnej, zwłaszcza z okresu renesansu i baroku. W 2008 r. został mianowany ambasadorem Unii Europejskiej ds. dialogu międzykulturowego i otrzymał tytuł Artysty UNESCO na rzecz Pokoju. Tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach został mu nadany uchwałą senatu uczelni z 26 października. Savall wyraził przekonanie, że najważniejszą cnotą muzyki jest to, że jest „prawdziwą nauką społeczną” – sposobem łączności z innymi, droga do zrozumienia innych kultur i czasem jednym sposobem komunikacji, nawet z wrogiem.

Biskup koadiutor

KATOWICE. Nuncjatura Apostolska w Polsce ogłosiła decyzję papieża Franciszka: „Dotychczasowy biskup pomocniczy diecezji ełckiej bp Adrian Galbas SAC będzie pełnił posługę biskupa koadiutora w archidiecezji katowickiej. Oznacza to, że z chwilą zakończenia posługi przez obecnego metropolitę, abp. Wiktora Skworca, zostanie jego następcą” – poinformował Episkopat. Bp Adrian Galbas SAC ma 53 lata. Jest doktorem teologii duchowości. Studiował też dziennikarstwo. W czasie dotychczasowej posługi pełnił m.in. funkcję prefekta alumnów w Wyższym Seminarium Duchownym Księży Pallotynów w Ołtarzewie. W latach 2011-2019 był prowincjałem Prowincji

Zwiastowania Pańskiego w Poznaniu. 12 grudnia 2019 r. został mianowany biskupem pomocniczym diecezji ełckiej. Święcenia biskupie przyjął 20 stycznia 2020 r. W Konferencji Episkopatu Polski pełni m.in. funkcję przewodniczącego Komisji ds. Apostolstwa Świeckich, jest także koordynatorem w Kościele w Polsce trwającego synodu o synodalności. Jego zawołaniem biskupim są słowa „Pax Christi” (Pokój Chrystusa). Z prośbą o wyznaczenie arcybiskupa koadiutora zwrócił się do Stolicy Apostolskiej abp Wiktor Skworc o czym na początku lipca poinformowała archidiecezja krakowska. W oświadczeniu opublikowanym w sobotę na stronie Archidiecezji Katowickiej abp Skworc podziękował papieżowi za wyznaczenie do tej funkcji „pasterza pochodzącego z Bytomia”.

Prof. Krzysztof Uniłowski

KATOWICE. Tablicę upamiętniającą literaturoznawcę, krytyka literackiego i wykładowcę Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach prof. Krzysztofa Uniłowskiego odsłonięto w poniedziałek przed wejściem głównym do Biblioteki Śląskiej w Katowicach. Krzysztof Uniłowski (1967–2019) był pracownikiem Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego, pełnił także funkcję prodziekana ds. kształcenia i studentów Wydziału Humanistycznego. Był współzałożycielem i wieloletnim redaktorem kwartalnika literackiego „FA-art” oraz „Śląskich Studiów Polonistycznych”, autorem trzech tomów rozpraw oraz książek krytycznoliterackich, laureatem nagrody im. Kazimierza Wyki i nagrody im. Ludwika Frydego, a także prezesem zarządu Towarzystwa im. Teodora Parnickiego.

VII Jurajski Festiwal Kolęd i Pastorałek – Łazy 2022

ŁAZY. Do składu komisji Jury VII Jurajskiego Festiwalu Kolęd i Pastorałek zaproszenie przyjęły:

Karolina Mrugalska – wokalistka, studentka Akademii Muzycznej im. Kiejstuta i Grażyny Bacewiczów w Łodzi na kierunku Wokalistyka estradowa w klasie prof. dr hab. Renaty Danel.

Martyna Sołtyśik (Czapska) – gitarzystka basowa, absolwentka Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach i dziennikarstwa muzycznego na DSW we Wrocławiu, **Weronika Skalska** – wokalistka, autorka tekstów. Jej wrażliwość i wszechstronność muzyczna pozwala współpracować z artystami reprezentującymi różne gatunki muzyczne. Jest frontmanką grupy Funkylogic, z którą tworzy i prezentuje autorski materiał z pogranicza funky, soul, pop. Jesienią 2021 roku zespół wydał debiutancki album pt. „Ponad Ziemią”.

Po weryfikacji zgłoszeń i wysłuchaniu prezentacji video nominowano finalistów w kategoriach:

6–9 lat – soliści; 10–13 lat – soliści; 14–18 lat soliści; 19–50 lat soliści; 50+ soliści; Zespoły/Chóry oraz w kategorii Duety. Wyróżnieni wystąpią na koncercie finałowym.

Sylwester na Stadionie Śląskim

Stadion Śląski ponownie stał się największą sceną muzyczną w Polsce! Na ogromnej multimedialnej scenie wystąpili najwięksi muzycy artyści. Była to już trzecia edycja sylwestrowej imprezy organizowanej wspólnie z Telewizją Polsat. Na scenie Stadionu Śląskiego usłyszeliśmy największe hity lat i dekad. Wśród polskich gwiazd pojawili się m.in. **Dawid Kwiatkowski, Viki Gabor, Doda, Cleo, Danzel**, zespół **Bajm, Paweł Domagała, Ewelina Lisowska**, zespół **Enej**. Z kolei z zagranicznej sceny muzycznej zobaczyliśmy takie osobistości jak **Liz Mitchell** i **Dr Alban**. Na scenie pojawili się również Lenka Klimentova i Rafał Maserak, którzy zaprezentowali najgorętsze układy choreograficzne. Imprezę poprowadzili: Krzysztof Ibisz i Karolina Gilon.

Familok Story

EDWARD WIECZOREK

Choć familoki należą do najbardziej charakterystycznych elementów śląskiego krajobrazu, podobnie – jak kopalnie i hałdy – od kilkudziesięciu lat systematycznie z niego znikają. To proces nieodwracalny. Domy starzeją się podobnie jak ludzie i niedługo w miejsce prawdziwych familoków pozostaną tylko ich artefakty zapisane w filmach Kazimierza Kutza, obrazach Ewalda Gawlika, Erwina Sówki, Jacka Rykały i Romana Nowotarskiego czy w regionalnej literaturze, jak choćby w „Cholonku” Janoscha. Zanim znikną na zawsze, przyjrzyjmy się architektonicznemu (ale i socjologicznemu) zjawisku pod nazwą **familok**.

Familok

Według słownikowych definicji, to po prostu patronacki budynek wielorodzinny (np. w Łodzi nazywany famułą; z niem. Familie, czyli rodzina), stawiany przy manufakturach, hutach, kopalniach i tym podobnych obiektach od końca XVIII w. Familoki wchodziły w skład kolonii i osiedli robotniczych i w klasycznej „koszarowej” postaci były budowane na przełomie XIX i XX w. w miastach, w których powstawały duże zakłady. I choć domów z czerwonej cegły o koszarowym wyglądzie jest w śląskich miastach sporo, bo budowali je także kamienicznicy chcący w ten sposób podreperować swój budżet, to do miast **familoków** pretendują jedynie te, które powstały w ramach budownictwa patronackiego zakładów pracy.

Początki czyli mieszkalne koszary

Kiedy przemysł górnośląski zaczął rozwijać się (XVIII w.), jego robotników rekrutowano z wsi w najbliższych okolicach. Kiedy jednak zaczął się jego dynamiczny rozwój, pracowników trzeba było pozyskiwać z coraz dalszych okolic, zatem powstał problem ich dojazdu ewentualnego zamieszkania w pobliżu zakładów. Na początku XIX w. sprawy mieszkaniowe starano się rozwiązać przy pomocy pożyczek na budowę domów (tzw. Beihilfe), jednak nie zawsze zdawało to egzamin i sprawą budowy mieszkań dla pracowników zajęli się pracodawcy – stąd określenie budownictwo patronackie (pod patronatem zakładów). Kiedy powstawała Królewska Odlewnia Żeliwa w Gliwicach i Królewska Huta w dzisiejszym Chorzowie, zbudowano dla pracowników niewielkie budynki, najczęściej dwu- lub czterorodzinne, nawiązujące do tradycyjnego budownictwa wiejskiego. Chciano w ten sposób załagodzić szok towarzyszący przenosinom robot-

ników ze wsi do przemysłu na obrzeżach miast. Najstarsze zachowane do naszych czasów familoki zbudowano w Chorzowie przy ul. Kalide w 1798 r., jako kolonię dla pracowników Huty Królewskiej. Dziś, po licznych wyburzeniach, kolonię tworzy tylko kilka parterowych domów z użytkowym poddaszem, przeznaczonych pierwotnie dla sześciu rodzin. Podobna, zbudowana w 1860 r., choć nieco odmienna w formie kolonia Ficusus w Rudzie Śląskiej Wirku przy ul. Kubiny powstała dla górników kopalni „Gotesegen” („Błogosławieństwo Boże”, później „Pokój”). Tę nietypową kolonię tworzą czterorodzinne piętrowe domy zbudowane z kamienia, z ceglаныmi obramowaniami okien i drzwi. Za każdym budynkiem znajdował się niegdyś również wybudowany z kamienia chlewik, a każde mieszkanie, oprócz przedsionka, miało dużą izbę i małą kuchnię.

Później budownictwo patronackie przyjęło proste formy architektoniczne i minimum wygód, stąd też familoki nazywano Mietskasernerne, czyli mieszkalne koszary. Z tamtego okresu pochodzi zabrzańskie osiedle Borsig w Biskupicach. Zbudowano je w latach 1863-1871 dla pracowników koncernu „Borsigwerke”: kopalni „Jadwiga” i „Ludwik” oraz huty żelaza i koksowni. Składa się na to osiedle 66 dwukondygnacyjnych budynków mieszkalnych, z wysokimi poddaszami, dla 8 lub 12 rodzin. Infrastrukturę osiedla tworzyły: gospoda z hotelem i kantiną urzędniczą, szkoła ewangelicka z kaplicą, cmentarz ewangelicki, plac targowy, poczta, dom lekarza i izba przyjęć. Obok osiedla powstał park z pawilonem tanecznym, kręgielnią, restauracją i halą sportową. Całe osiedle obsadzono zielenią i połączono aleją z zakładami Borsiga. Choć koszty budowy domów dla robotników na tym osiedlu były niemal dwukrotnie wyższe od dotychczas ponoszonych w innych osiedlach patronackich, uzyskano efekt w postaci stabilizacji i zadowolenia załogi, unikając groźby odpływu rąk do pracy, np. do bogatej Westfalii.

Ta obawa o wyjazd do pracy na zachód zaowocowała innymi – nowoczesnymi jak na owe czasy – koloniami i osiedlami, dając początek gwałtownemu procesowi budowlanemu na Górnym Śląsku na przełomie XIX i XX w. Wówczas też w 1897 r. powstała charakterystyczna koszarowa kolonia robotnicza Zgorzelec na pograniczu bytomskich Łagiewnik i Szombierek, dla robotników huty Hubertus (potem Zygmunt). Kilkanaście lat później sprzedano osiedle

koncernowi Grafliche Schaffgotschwerke. To o tyle ciekawe, że kolonie robotnicze nie były zazwyczaj przedmiotem handlu. Kolonia składa się z ponad 30 małych, dwukondygnacyjnych kamieniczek z frontowym wejściem, sienią i schodkami frontowymi. Urzeka położeniem domów wśród drzew, na nieco pofałdowanym terenie.

W tym miejscu warto też wspomnieć o socjologicznym fenomenie **familoka**. To nie tylko miejsce zamieszkania, ale cały „mikrokosmos”. Tu wszyscy z wszystkimi się znali i wszyscy o wszystkich wszystko wiedzieli. W obrębie jednego budynku dochodziło do małżeństw, istniała solidarność mieszkańców, okazywana zwłaszcza w sytuacjach dramatycznych (śmierci, choroby, utrata pracy). Dzieci wychowywały się pod czujnym okiem niepracujących zawodowo, a zajmujących się domem żon robotników.

Osiedla wzorcowe

W latach 1905-1906 (prace projektowe i przygotowawcze) rozpoczęto budowę w Rokitnicy osiedla robotniczego dla górników kopalni „Castellengo” hr. Ballestrema. Projektantem osiedla był znany architekt Hans von Poellnitz. Osiedle, budowane etapami, w latach 20. XX w. obejmowało 52 domy czterorodzinne otoczone niewielkimi ogródkami, 8 ośmiorodzinnych, gospodę, 5 sklepów, aptekę, przedszkole, szkołę dla dziewcząt oraz łaźnię. Jako ciekawostkę warto w tym miejscu dodać, że w latach 20. XX w. dobudowano na osiedlu kilka eksperymentalnych domów stalowych, stojących po dziś dzień.

W 1913 r. w czasie odbywającego się we Wrocławiu Ogólnoniemieckiego Kongresu Górniczego uznano osiedle rokitnickie za wzorcowe w górnośląskim przemyśle węglowym.

Podobnie wzorcowe jest katowickie osiedle Giszowiec, zbudowane dla pracowników koncernu Georg von Giesche's Erben – głównie górników kopalni „Giesche” („Wieczorek”). Jest to przykład introdukcji na Górny Śląsk idei „miast ogrodów” (choć w tym wypadku bardziej pasowałoby niemieckie określenie Gartendorf – wieś ogród).

Ideę „miast ogrodów” lansował angielski urbanista Ebenezer Howard, który w 1898 r. wydał w Londynie niewielką książeczkę pt. „Miasta ogrody jutra”. Głosił w niej swoją ideę opuszczenia przez ludzi wielkich i niezdrowych metropolii na rzecz miast-ogrodów. Miały one liczyć do 30 tys. mieszkańców, obejmować podzielane pasami zieleni działnice o różnych funkcjach: mieszkalnych, produkcyjnych, kulturalnych, rekreacyjnych. Zamożni i mniej zamożni żyliby obok siebie, więc byłoby to świat bez kontrastujących ze sobą obszarów luksusu i nędzy. Pierwsze miasto-ogród, Letchworth w hrabstwie Hereford, zaczęło powstawać w 1904 r., budząc – jak to często bywa z nowymi ideami – niechęć u wielu. Dopiero po



Bytom, osiedle Zgorzelec, fot. Edward Wiczorek



Ruda Śląska Nowy Bytom, osiedle Kaufhaus, fot. Edward Wiczorek



Zabrze Rokitnica, osiedle Ballestrema, fot. Edward Wiczorek



Ruda Śląska, osiedle Kościelna-Staszica, fot. Edward Wiczorek



Katowice Nikiszowiec, plac Wyzwolenia, fot. slaskie.travel



Zabrze Biskupice, osiedle Borsig, fot. Edward Wieczorek



Bytom, osiedle Zgorzelec, fot. Edward Wieczorek



Katowice Nikiszowiec, widok z lotu ptaka, fot. slaskie.travel

kilkunastu latych udało się Howardowi zbudować następne – Welwyn.

W tym samym czasie, kiedy powstawało Letchworth, dyrektor koncernu Georg von Giesches Erben, Anton Uthemann rozpoczął budowę osiedla Gieschewald, czyli **Giszowca**. Jego projektantem zostało dwóch architektów, pracujących dla koncernu – Georg i Emil Zillmannowie z podberlińskiego Charlottenburga. W latach **1906-1910** zbudowano kolonię robotniczą dla pracowników kopalni „Giesche” („Wieżeczek”). Wokół centralnej części osiedla, którą wyznaczał plac Pod Lipami, zgrupowano: 3 szkoły, sklep spółdzielczy, gospodę z salą restauracyjną, teatralną i kręgielnię, nadleśnictwo. Trzon osiedla stanowiło 300 domków dwu- i czterorodzinnych dla łącznie ok. 600 rodzin, kilka jednorodzinnych (dla dozoru) i hotel robotniczy. Każdy domek posiadał niewielki ogródek, a na osiedlu znajdowała się ogólnodostępna pralnia z magłem, łaźnią i kilka pieców chlebowych.

Fenomen Nikisza

Do najciekawszych osiedli patronackich, wpisanych w 2011 r. na listę Pomników Historii i pretendujących do wpisu na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO należy katowicki Nikiszowiec, zwany popularnie „Nikiszem”. Powstał on wraz z sąsiednim Giszowcem, kiedy okazało się, że 300 domków Giszowca nie wystarcza na zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych nowej kopalni. Podobnie jak wspomniany Giszowiec był osiedlem patronackim spółki „Spadkobiercy Jerzego Gieschego”, a swoją nazwę wzięło od szybu „Nickisch” (dziś „Poniatowski”) kopalni „Giesche”. **Nikiszowiec** zbudowano w latach **1908-1919** i uzupełniono w 1927 r. o kościół parafialny św. Anny. Projektowali go również Zillmannowie, tworząc dziewięć zwartych bloków z czerwonej cegły, wewnątrz których znajdują się rozległe podwórza. Niedługo w podwórzach znajdowały się „piekaroki” do wspólnego wypiekania chleba, chlewiki na drobny inwentarz i komórki. Poszczególne kwartały domów połączone są charakterystycznymi bramami, dającymi wrażenie zwartości całego układu. Jego centrum tworzy plac Wyzwolenia wraz z kościołem. Na osiedlu zaprojektowano także obiekty użyteczności publicznej, zapewniające mu samowystarczalność: piekarnie, sklepy, dwie szkoły z domem nauczyciela, szpital, restaurację, aptekę, posterunek policji z aresztem, łaźnię dla rodzin górników, wspólną pralnię i magiel oraz place zabaw i kąpielisko.

Nie tylko Nikisz

Kolonii i osiedli patronackich w takim kształcie, w jakim były one budowane, jest już coraz mniej, choć w rejestrze konserwatora zabytków w samym tylko województwie śląskim jest ich ponad 260. Do najciekawszych – oprócz wymienionych wyżej – należą osie-

dla w Czerwionce-Leszczynach i Rudzie Śląskiej.

Osiedle kopalni „Dębieńsko” w Czerwionce-Leszczynach powstawało etapowo w latach 1898-1916, a zaprojektował je mistrz budowlany Stork z Czerwionki. Zabudowę tworzą 84 budynki jedno- i dwukondygnacyjne, murowane z czerwonej cegły glazurowanej, z elementami „muru pruskiego”, fragmentami gładkich piaskowych tynków i innymi wyróżniającymi się zdobieniami elewacji. Wejścia do budynków umiejscowiono od strony podwórza lub z boków. Poszczególne familoki mieściły 4, 6 lub 8 mieszkań, składających się z kuchni i pokoju lub kuchni i 2 pokoi. Mieszkania robotnicze – w zależności od standardów – zajmowały od 40 do 70 m kw. Mieszkania urzędnicze były większe. Budynki posiadały nowoczesną infrastrukturę: piece kaflowe, wodociąg i prąd elektryczny z sieci kopalnianej, lokalny system kanalizacji. Jak wszystkie inne, osiedle było kompleksowe i samowystarczalne – znajdował się w nim: kościół, szkoła, sklep, pralnia, suszarnia, magiel, piekarnia i lokal mieszkaniowy.

Nie mniej ciekawe są rudzkie osiedla Kaufhaus, Karmańskie i Kościelna-Staszica. To pierwsze swą nazwę wzięło od domu towarowego (Kaufhausu) wybudowanego w 1904 r. w centralnej części osiedla pod adresem Niedurnego 99. Osiedle powstało dla robotników huty żelaza „Friedenshütte” („Pokój”) w latach 1854-1924 i składa się zasadniczo z dwóch części: starej – typu patronackiego, wybudowanej około 1870 r. o szeregowej monotonnej, jednokondygnacyjnej zabudowie oraz części bardziej reprezentacyjnej, tworzącej samodzielny kompleks przestrzenny o większym standardzie mieszkań, powstałej po 1904 r. W 1933 r. cała kolonia liczyła około 40 wolnostojących budynków z trzema reprezentacyjnymi gmachami. Obecnie zachowały się tylko dwa: przy ul. Niedurnego 99 (wspomniany Kaufhaus) oraz Gwardii Ludowej 21-23. Osiedle Karmańskie w Rudzie Południowej swą nazwę zawdzięcza spolszczeniu (ześlązczeniu) nazwy Carl Emanuel Kolonie. Powstało w kilku etapach: w latach 1905-1907 powstała zabudowa przy ulicy Południowej (typowe familoki, zburzone w latach 90. XX w.) i 1909-1911 – zabudowania się przy ul. Wolności, Raciborskiej i Zabrzeńskiej, tworzące zamknięty dwoma rzędami domów dziedzińiec. Było ono zbudowane przez koncern hr. Ballestrema dla górników kopalni węgla „Brandenburg” („Wawel”).

Trzecim, ciekawym przykładem zabudowy patronackiej jest osiedle Kościelna-Staszica, składające się z dwóch zespołów domów, z zabudowaniami gospodarczymi. Część z nich – przy ul. Staszica – posiada ciekawe, neomanierystyczne szczyty.

W województwie śląskim kolonie i osiedla robotnicze zachowały się także w Radlinie i Pszowie, Rybniku, Rydułtowach i Knurowie. Mało popularyzowana jest

osiedle „Zandka” w Zabrzu. Interesujący jest także Bobrek w Bytomiu, choć ulega w zastraszającym tempie dekapitalizacji. Trzeba też wspomnieć o osiedlach w Zagłębiu: czeladzkich Piaskach i „Saturnie”, sosnowieckich Ostrowach Górniczych czy zawierciańskim TAZ.

Nie tylko familoki

Architektura kolonii i osiedli patronackich obejmowała nie tylko budynki mieszkalne (czyli tytułowe familoki), ale całą infrastrukturę dodatkową, taką jak: szkoły, sklepy, kościoły i zabudowania gospodarcze. Do tych ostatnich należały przynależne każdemu mieszkaniu chlewiki oraz wspólne dla całej społeczności piekaroki (piekarnioki), czyli piece piekarnicze.

O ile kolonie są rewitalizowane lub przynajmniej stoją, dając świadectwo dawnym czasom, o tyle chlewiki znikają w zastraszającym tempie. Pierwsza fala likwidacji chlewików miała miejsce we wczesnych latach 70. XX w., kiedy masowo je burzono, zakładając na ich miejscach zieleńce (w miastach istniał już wówczas zakaz hodowania zwierząt gospodarskich), uznając je często za „przeżytek czasów kapitalistycznych” (podobnie jak rezydencje kapitalistów – vide katowicka willa Grundmanna czy katowicki pałac Tiele-Wincklerów przy ul. Korfantego). Tak zniknęły chlewiki i piekaroki na – uznanym obecnie za Pomnik Historii – katowickim osiedlu Nikiszowiec, bytomskim Bobrku itd. Te chlewiki, które się ostały, chyłą się wolno ku samozagładzie. Za małe na garaże, za wilgotne na graciarnie. Co najwyżej jakiś miłośnik ulokuje w nich gołębnik.

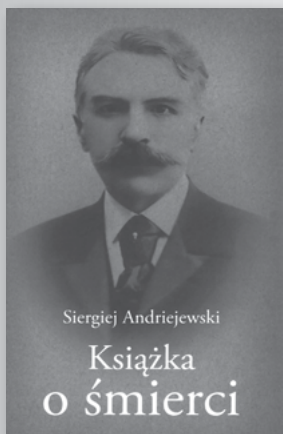
Unikalne stały się też piekaroki. Chyba jedyny na Górnym Śląsku oryginalny i czynny znajdujący się w Rudzie Śląskiej przy ul. Bujoczka.

Zbudowano go ok. 1900 r. prawdopodobnie wg projektu Hansa von Poellniza, głównego architekta pracującego dla rodziny Ballestremów. Swoją funkcję spełniał do lat 50. XX wieku, potem był użytkowany jako pomieszczenie gospodarcze. W 2013 roku staraniem Miasta Ruda Śląska piekarok został wyremontowany oraz przywrócono mu pierwotną funkcję. Inne zachowane rudzkie piekaroki pełnią odmienne funkcje (przy ul. Szczęść Boże zaadaptowano na garaż, zaś usytuowany przy ul. Potokowej przebudowano na kapić św. Ojca Pio).

Tradycyjnym osiedlom, które jako zespoły urbanistyczne zachowały się do naszych czasów, brakuje dawnego kolorytu, który zachował się jeszcze na kartach książek Morcinka, Janoscha, Kutza. Zniknęła prawie całkowicie atmosfera towarzysząca życiu w familoku, fascynująca od lat socjologów.

Ale nadal skupiska czerwonocegłanych, „koszarowych” budynków wywołują u oglądających jakąś refleksję: dla jednych będzie to powrót do lat dzieciństwa, dla innych – odkrywanie Śląska.

KSIĄŻKI NADESŁANE



Siergiej Andriejewski

Książka o śmierci

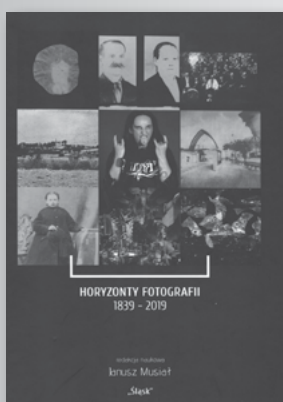
Wybrał i przełożył Marian Kisiel. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe. Katowice 2021.



Zdzisław Józef Kijas

Książdz. Przesłuchanie. Jan Franciszek Macha

Wydawca: Księgarnia św. Jacka, Katowice 2021.



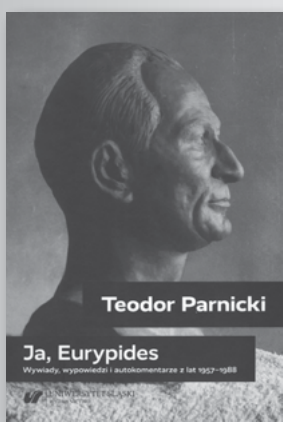
Horyzonty fotografii 1839 - 2019

Redakcja naukowa Janusz Musiał
Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe. Katowice 2021.



Fotografia jako medium, intermedium, postmedium 1839 - 2019

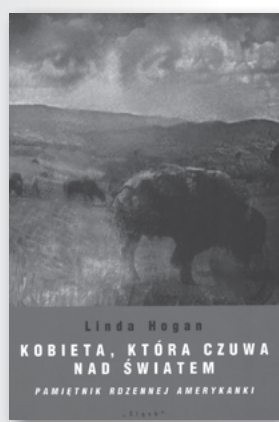
Redakcja naukowa Janusz Musiał
Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe. Katowice 2021.



Teodor Parnicki

Ja, Eurypides. Wywiady, wypowiedzi i autokomentarze z lat 1957 - 1988

Wydawca: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2021.



Linda Hogan

Kobieta, która czuwa nad światem. Pamiętnik rdzennej amerykanki

Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe. Katowice 2021.



Janusz Musiał

Error. Błąd w sztuce. Fotografia 2002 - 2020

Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe. Katowice 2021.



Guliwer. Czasopismo o książce dla dziecka, 3/2021

Wydawca: „Śląsk” Sp. z o.o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice, 2021.

INDEKS ALFABETYCZNY NAZWISK AUTORÓW I ICH PUBLIKACJI ZAMIESZCZONYCH W MIESIĘCZNIKU SPOŁECZNO-KULTURALNYM „ŚLĄSK” W ROKU 2021

OPRACOWAŁA: ALEKSANDRA KUBANOWSKA

A

Altmann Lotte: Foto nr 4, s. 38.
Andriejew Leonid: Wielkolud. Marsylianka. Przeł. Marian Kisiel nr 11, s. 73-74.
Astaszow Jeremi: Foto nr 4, s. 56, 57.
Azow Władimir: Szkła kolorowe. Przeł. Marian Kisiel nr 7, s. 66-67.

B

Babuchowski Andrzej: Rzeczpospolita prywatna. Rec.: Bogdan Widera: Prawdziwa dwunastka. Czeladź 2021 nr 11, 64.
Baj Stanisław: O twórczości Tadeusza Króla. Magnetyczna potrzeba wędrówki nr 7, s. 68.
Banaszak Bartek: Foto nr 9, s. 37.
Baran Tomasz: Foto nr 2, s. 30.
Bartos Ewa: „Pasje” człowiecze. Rec.: Wilhelm Szewczyk: Pasje strasburskie. Oprac. Marian Kisiel. Czerwionka-Leszczyny 2021 nr 12, s. 63.
Bator Art: „Magical Dreams” w Szczyrku nr 10, s. 68.
Bąkiewicz Marta: Odra moją ukochaną rzeką. (...) rozmawia z prof. dr hab. Dorotą Simonides nr 10, s. 8-9.
Bednarczyk Ryszard: „Gliniany stoję na tym kawalecie”. O prozie Edwarda Szopy nr 4, s. 25-27; Czorni jak diobły po szychcie nr 6, s. 30-31; Postać w sztruksowej marynarce. Wisła Jerzego Pilcha nr 6, s. 63.
Bednarek Wojciech: Cmentarz w Ołomuńcu nr 3, s. 6-7.
Biel Urszula: Gra światła, czyli bogate życie kin na prowincji górnośląskiej. Z (...) rozmawia Małgorzata Lichecka nr 6, s. 58-59;
Bielas Bartłomiej: Dzieci i obłąkani. Rec.: Paweł Sołtys: Nieradość. Wołowiec 2020 nr 3, s. 62.
Bieliński Krzysztof: Foto nr 1, s. 3 i 4 okładki; nr 6 s. 3 okładki; s. 56, 57; nr 7 s. 3 okładki; s. 56, 57.
Bienek Tomasz: Betonowe smoki szczerzą kły. Szlakami reliktyw ostatnich tygodni wojny nr 5, s. 53; Dawny czar zagłębiowskich kin nr 6, s. 17-19; Hurra, prezenty! Dziecięce wspomnienia Wigilii dawnych i jeszcze dawniejszych nr 12, s. 50-53; Miasta regionu w świątecznej odsłonie nr 12, s. 68-72; W królestwie sennego marzenia nr 8, s. 68, 73-74; Wrześniowi bohaterowie fortec na szynach. Polskie pociągi pancerne w obronie Śląska 1939 nr 8, s. 35-36; Trwają tylko góry. Jesienne imprese z dzikich Karpat nr 11, s. 22-25.
Foto nr 2, s. 2 okładki; nr 3, s. 2 okładki; nr 4, s. 2 okładki, s. 15, 16, 17; nr 5 s. 2 okładki, s. 16, 17, 18, 52; nr 6, s. 1 okładki, s. 2 okładki, s. 14, 15, 16, 17, 18, 42, 43; nr 8 s. 3 okładki, s. 34, 68, 73; nr 9 s. 15; nr 10 s. 2 okładki, s. 20, 21, 22, 23; nr 11 s. 2, 3, 4 okładki, s. 14, 16, 23, 24, 25; nr 12 s. 51, 52.
Blaut Marek: Depozyt (fragmenty) nr 9, s. 27-30.
Błasiak Wojciech: Węglowy obłęd i jego alternatywa nr 2, s. 16-20.
Bochenek Mirosław: Ballada, której wierzę; Istota; Kantyczka; Niezbędnik; O księżycu w listopadzie; O księżycu w sierpniu; Sama o sobie; Szansa; Zaduszki nr 5, s. 2, 14-15.
Bolczyk Henryk ks.: Wybuch „Solidarności. Z (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 12, s. 14-16.
Bolt Tomasz: Foto nr 4, s. 28.
Borawski Marek: Foto nr 5, s. 2 okładki, s. 4, 5.
Brzoska Wojciech: fatamorgana; igloo; Kroniki sportowe;

skroń, *** jest wreszcie między nami chemia; *** maczasz palec nr 3, s. 44-45.

Buksa Michał: Foto nr 6 s. 2 okładki, s. 33; nr 7 s. 31, 32, 33; nr 12 s. 69.

Bzdok Henryk: Foto nr 1, s. 1 okładki; nr 2, s. 4 okładki; nr 3, s. 33, 34.

C

Certowicz Jakub: Foto nr 2, s. 51.
Chen Jinxin: Foto nr 1, s. 14.
Chlebniow Wielimir: [Gdy konie umierają...]; [Krzesałem krzesiwem...]; [Mało mi trzeba...]; [Moje oczy brodzą...]; [Ni kruche cienie Japonii...]; [O, Dostojewskiego...]; [Obłoczki płynęły...]; [Pękł mieszek...]; [Wieczór, cienie...]; [Zaspiewaj...]. Przeł. Marian Kisiel nr 9, s. 74-75.
Chwastek Karol: Najwytrwalsi. Podziemny protest górników kopalni „Piast” przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 nr 12, s. 48-49; Świat wobec stanu wojennego. Rec.: Ł. Kamiński (red.): Świat wobec stanu wojennego. Katowice 2021 nr 11, s. 66.
Cierniak Henryk (Przeł.): Lee Slonimski: Autor (Author); Koncert (Concert); Nauczyciel w lesie (Teacher in the Woods); Ostatnia cyfra „pi” (The Last Digit of Pi); Spuścizna Orfeusza (The Legacy of Orpheus); Zakochany filozof (Philosopher in Love) nr 3, s. 36-37.
Cieszyński Jakub: W hołdzie lekarzowi i wynalazcy. Wspomnienie o profesorze Tomasz Cieszyńskim nr 7, s. 48-49.
Cofalka Jan: Dwie cenne pozycje. Rec.: Michał Lis, Aleksandra Trzcielińska Polus: Górny Śląsk i Ślązacy w latach 1740-1950; Opole 2020; Michał Lis: Śląska Opolskiego droga do Polski. Opole 2021 nr 7, s. 64-65; Krzyżowe ścieżki Ziemi Raciborskiej. Rec.: Alfred Nowak: Polskie krzyże na ziemi raciborskiej i w przyległych powiatach nr 10, s. 67.
Comand Patrizia: Malarstwo nr 10, s. 69-72.
Cygańczyk Łukasz: Peregrynacje pakistańskie śląskiego podróżnika nr 1, s. 30-35;
Foto nr 1 s. 2 okładki, s. 30, 31, 33, 34, 35.
Czarnecka Maria: Z dyrektor Muzeum Śląskiego (...) rozmawia Tadeusz Sierny nr 9, s. 4-5.
Czech Alojzy: Edwarda Rosego agitacja plebiscytowa nr 3, 25-27; Historia pewnej sanitariuszki. Pamięci Teresy Trzeciak nr 9, s. 40-43; Jurajskie zauroczenie Andrzeja Wierzbickiego nr 7, s. 27-29; Sprawa śląska w oczach Amerykanki nr 4, s. 12-14.
Czerniawski Adam: Proza: Amour de voyages; Olga Tokarczuk na zamku nr 9, s. 44-45.
Czyżewska Agnieszka: Malarstwo nr 4, s. 69-72.

D

Dehiles Magdalena: Fraulein Ligoń nr 1, s. 16-19.
Drappier Eric: Foto nr 3, s. 15.
Drozdowski Marian Marek: Naczelnik Państwa Józef Piłsudski (1918-1922). Błaski i cienie władzy nr 6, s. 7-9.
Drzyzga Ewa patrz Winiarska-Drzyzga Ewa
Duda Harry: Janusz; Morowa niedziela; O Zbigniewie Zielon-ce zapis serdeczny; Piety; Podsumowanie; Psia radość bez smyczy na śródleśnej łące; Ślązak milczący nr 8, s. 60-61.

Dudek Władysław: Foto nr 8, s. 25.

Dusza Julia: Konar płaczącej wierzby; Nie-pewne deklaracje; O czułości; Pomiędzy lirykami; Tatuaż; Więdnięcie; *** cisza; *** Dotykasz mnie białymi dłońmi nr 11, 56-57.

F

Filharmonia Zabrzeńska zakończyła 71. sezon artystyczny. Koncertują i zarażają miłością do muzyki nr 6, s. 40.

Fouganthin Frankie: Foto nr 5, s. 40.

Fox Marta: Katowice nie wierzą łzom nr 9, s. 46-48.

Francuz Grzegorz: O rozumieniu praw zwierząt. Z prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 6, s. 44-47;

Frątczak Paulina: Śląskie tajemnice. Czy na Śląsku powstanie skansen XIX-wiecznej fortyfikacji? Szansa dla Lisiej Góry nr 4, s. 32-35; Foto nr 4, s. 2 okładki, s. 32-35.

G

Gaitoer Anna: Notatnik kulturalny nr 1, s. 74; nr 2, s. 76-78; nr 3, s. 80; nr 4, s. 79-80; nr 6, s. 76-79; nr 7, s. 78-80; nr 8, s. 78-79; nr 9, s. 76-80; nr 10, s. 78-80; nr 11, s. 76-80, nr 12, s. 80.

Gałuszka Joanna: Foto nr 6, s. 54, 55.

Garstka R.: Foto nr 8, s. 53.

Gawłowski Robert: Na chwilę swawolną i lunetę księcia Sylwiusza Nimroda 1650; Na gołębnik po ojcu 1637; Na imię me nowe „Angelus” 1653; Na pochówek chrześcijański ciała Abrahama von Franckenberga, które niepoświęcone leżało w ziemi miesiącami (zamiast epicedium) 1652; Na pokaz autopsji zwłok w Teatro Anatomico Padwa 1647; Na sakiewkę świętego Wawrzyńca i ofiarę dla fundacji przy kościele Świętego Krzyża (tydzień przed środą popielcową) 1660; Na wieczór niedzielny w Lejdzie (zdań zaledwie kilka) 1644; Na wyjście duszy Jacoba Boehmeego w niedzielę dnia 17 miesiąca listopada roku Pańskiego 1624; Na zabawy chłopięce 1635; Na zarazę 1656 nr 6, s. 3, 12-13.

Gąsior Dariusz: Nieuniknione, Pułapka z drzewa, Zabawki nr 12, s. 54-55.

Gerlich Marian Grzegorz: „Jego muzyka będzie miała renesans” (Józef Świder) nr 9, s. 14-15.

Między ciszą a hałasem: Minęło a jednak trwa nr 1, s. 37; Erwin Sówka. Od lokalności ku uniwersalności nr 2, s. 37; Czas zadumy i humanistycznej refleksji nr 3, s. 19; Dezyderata. Fakty, konteksty, asocjacje nr 4, s. 41; Etnologia i Wojciech Korfanty nr 5, s. 37; To było 13 czerwca nr 6, s. 37; „Lecz cóż to za modlitwa? W ten sposób można więcej zgrzeszyć” nr 7, s. 37; Wilno – część „Kresowej Atlantydy” nr 8, s. 48; Ludwik ojciec Bogumiła nr 9, s. 49; W domu każdego dnia uczyli wszystkiego nr 10, s. 30; Grudzień – Adwent. I Zapomniane święta nr 12, s. 17.

Giba Marcin: Foto nr 1, s. 2 okładki.

Gierlotka Stefan: Budowa betlejski bożonarodzeniowej nr 12, s. 35; Carl Sacks: pierwszy badacz elektrycznych ryb nr 6, s. 74-75; Prestiż współczesnego inżyniera. Artykuł dyskusyjny nr 1, s. 42-43; Wilkakora. Uzdrawiające źródła o. Edmunda Szeli-gi nr 5, s. 54-55;

Foto nr 12, s. 2 okładki, s. 34.

Gołuch Krzysztof: Foto nr 6, s. 69-72.

Gomółka Anna: Uwagi o formach obecności (i nieobecności) kultury studenckiej nr 10, s. 6-7.

Grabowska-Markowska Jolanta: O bólu wszechogarniającym – z prezes Hospicjum Cordis w Katowicach rozmawia Piotr Skowronek nr 1, s. 4-7.

Grella Możejko Piotr: *Język w strunach*: Opowieść o trzech książkach nr 1, s. 25 (*Ewa Kowalska Zajęc*); Płyta, którą trzeba mieć nr 2, s. 30 (*Ewelina Błachul*); Muzyka jak chleb nr 4, s. 73 (*Mieczysław Litwiński*); Kompozytorka samotna (*Ewa Synowicz*) nr 5, s. 25; Aleksandra Lasonia muzyka katedr i gór nr 6, 73; Między ciszą a krzykiem nr 7, s. 73 (*Sonia Brauhoff*); Eugeniusza Knapika postmodernizm natchniony nr 8, s. 75; Uzdrowicielka niepamięci nr 9, s. 72; Arcydzieło niedokończony (Wspomnienie o Andrzeju Krzanowskim) nr 10, s. 73; Kilka słów o bezinteresownej artystce nr 11, s. 55; Wrocławianin

z Łucka (Richard Klisowski) nr 12, s. 73.

Gric Peter: Malarstwo nr 10, s. 69-72.

Grochowina R.: Foto nr 5, s. 27.

Grott Bogumił: Gorzkie oskarżenia śląskiej duszy? nr 10, s. 10-11; Tajna wojna Niemców z Polską nr 3, s. 22-24.

Gruszka Zych Barbara: Katowicki Hrabal. O Bogdanie Wierze nr 1, s. 28;

*** kto pozwala zrzucić z drzew płatki; *** oj dłonie takie miękkie opadają w dół; *** w popielec piłeś tylko nr 11, s. 17.

H

Hadło Wit: Foto nr 4, s. 37.

Hałaś Marcin: Odszedł Edward Szopa nr 4, s. 40; Turandot i jubileusz we Lwowie nr 1, s. 58-59.

Hałun Jakub: Foto nr 2, s. 12.

Hanzlik Andrzej: Domysły na temat Iskarioty; Odys miasta; Pytia; Theophaneia; *** pozwól trwać chwili nr 1, s. 46-47.

Herman Gunther: Malarstwo nr 3, s. 1 okładki.

Heska Kwaśniewicz Krystyna: Mój Kornel Filipowicz. Cz. 1. nr 9, s. 6-9; Mój Kornel Filipowicz. Cz. 2. nr 10, s. 41-45; Noc grudniowa w kopalni „Wujek” nr 11, s. 4-7; „Pieroński faros!” Ks. Karol Woźniak – Kapelan powstańczy nr 5, s. 8-9; Przypomnienie Jadwigi Kucianki nr 3, s. 56-59; Filipowicz utracony i odzyskany. Rec.: Justyna Sobolewska; Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu. Warszawa 2021 nr 10, s. 66.

J

Jagła Mieczysław Janusz: Foto nr 7, s. 2 okładki, s. 23.

Janoszek Laura: Sojusznictwo, nie siostrzeństwo. Rec.: Marek Beylin: Klimat, lewica, siostrzeństwo. Rewolucje trwają (kontrewolucje też), Warszawa 2021 nr 6, s. 64.

Jasionowicz Stanisław: Lekarstwo na trudny czas. Rec.: Barbara Gruszka-Zych: Mój cukiereczek. Czeladź. 2020 nr 1, s. 65.

Jaśnikowski Jarosław: Malarstwo nr 10, s. 69-72.

Jazz at Lincoln Center Orchestra. Foto nr 7, s. 34.

Jarczewski Andrzej: Hitler jako standuper nr 9, s. 21-23; Napędzają mnie konie. Z Eleonorą Joszko rozmawia (...) nr 2, s. 35; Szkoła ponienormalna. Cz. 1. nr 4, s. 30-31; Szkoła ponienormalna. Polacy zdobyli wysoką górę wykształcenia. Ale nie tę co trzeba. Cz. 2. nr 5, s. 38-39; Uprawnienia, głupcze nr 10, s. 28-29; Od Suleckiego do Buzka. Rec.: Gliwicka opozycja 1976-19909. Relacje świadków i uczestników. Katowice 2020 nr 6, s. 67;

Foto nr 9, s. 21, 22, 23; nr 10, s. 2 okładki, s. 28, 29.

Jendroska Przemysław: Foto nr 1, s. 56, 57; nr 8 s. 56, 57.

Jonderko Karolina: Pomysły przychodzą zniemacka. Z (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 12, s. 44-46.

Joszko Eleonora: Napędzają mnie konie. Z (...) rozmawia Andrzej Jarczewski nr 2, s. 35; Malarstwo nr 2, s. 34.

Juchniewicz Andrzej: Starość jako zadanie. O późnej poezji Tadeusza Śliwiaka nr 12, s. 21-23; Bez cenzury. Rec.: Angelika Kuźniak: Boznańska. Non finito. Kraków 2019 nr 9, s. 62; Biografia pierwszego po Bogu. Rec.: Witold Bereś, Krzysztof Burnetko: Edelman. Życie do końca. Warszawa 2020 nr 11, s. 62; Herstoria bez cenzury. Rec.: Agnieszka Cubała: Kobiety '44. Prawdziwe historie kobiet w powstańczej Warszawie. Warszawa 2020 nr 10, s. 63; Jest rewelacyjna. Rec.: Monika Głosowicz: Maszynie afektywne. Literackie strategie emancypacji w najnowszej polskiej poezji kobiet. Warszawa 2019 nr 6, s. 65; Kontur portretu. Rec.: Joanna Gromek-Illeg: Szymborska. Kraków 2020 nr 4, s. 65; Nadużywanie Holocaustu. Rec.: Marta Tomczok: Czy Polacy i Żydzi nienawidzą się nawzajem? Literatura jako mediacja. Łódź 2020 nr 11, s. 63; Nazistowskie ukąszenie lekarza. Rec.: Natalia Budzyńska: dzieci nie płakały... Katowice 2020 nr 3, s. 63; Niepochwytna Ginczanka. Rec.: Izolda Kiec: Nie upilnuje mnie nikt. Warszawa 2020 nr 5, s. 63; Próba jasnego. Rec.: Małgorzata Lebda: Mer de Glace. Wrocław 2021 nr 7, s. 62; Saga o węglowej krainie. Rec.: Anna Dziewit-Meller: Od jednego Lucypera. Kraków 2020 nr 2, s. 64; Wymyka-

jąca się Nireńska. Rec.: Weronika Kostyrko: Tancerka i zagłada. Historia Poli Nireńskiej. Warszawa 2019 nr 8, s. 64; Życie trzeba dobrze wypełnić. Rec.: Remigiusz Grzela: Podwójne życie reporterki Fallaci. Toruńska. Warszawa 2020 nr 12, s. 62

K

Kaczmarczyk Piotr: Foto nr 2, s. 23-25.
Kalarus Maciej: Rdzawy świat. Foto nr 7, s. 12-15.
Kaniewski Edward: Foto nr 12, s. 31.
Kapsa Jarosław: *Listy częstochowskie: Czarny Las...* nr 1, s. 8-9; Przejdzim Wartę... nr 2, s. 12-13; Z miłości do koni nr 3, s. 20-21; O Śląsk Lompy nr 4, s. 4-5; O krok od zbrodni nr 5, s. 16-18; Opowieść o rozbitkach nr 6, s. 14-16; Zalewajka nr 7, s. 24-25; Dzień, który miał nas odmienić nr 8, s. 22-25; Nasza górnicza dola nr 9, s. 10-11; Warszawiaci nr 10, s. 20-23; Gorąca jesień 1956 roku w Częstochowie nr 11, s. 14-16; Sługa sług Maryi nr 12, s. 18-20; Foto nr 1, s. 2 okładki, s. 8, 9; nr 3, s. 2 okładki; nr 4 s. 5.
Kawka Ewelina: Przed sobą nie da się uciec. Rec.: Szczepan Twardoch: Pokora. Kraków 2020 nr 3, s. 64.
Kiedroń Franciszek: Pamiętnik z września 1939 nr 8, s. 6-9.
Kijonka Tadeusz: Głos. (W 85 rocznicę urodzin Poety) nr 11, s. 3.
Kisiel Joanna: Brak, nieobecność, figuracja. Rec.: Ewelina Suszek. Figuracje braku i nieobecności. Miłobędzka- Białośzewski Kozioł. Kraków nr 1, s. 62-63.
Kisiel Marian (przel.): Andriejew Leonid: Wielkolud. Mar-sylianka nr 11, s. 73-74; **Azow Władimir:** Szkła kolorowe nr 7, s. 66-67; **Chlebnikow Wielimir:** [Gdy konie umierają...], [Krzesałem krzesiwem...], [Mało mi trzeba...], [Moje oczy brodzą...], [Ni kruche cienie Japonii...], [O, Dostojewskie-go...], [Obłoczki płynęły...], [Pękł mieszek...], [Wieczór, cienie...], [Zaspiewaj...] nr 9, s. 74-75; **Odojewski Władimir:** Fragmenty nr 4, s. 44-48.
Nowe wiersze prozą: Charlottenburg; Dom na Fontance; Ele-gia; Karły; Milczenie; Nad pieśniami; Ona; Poemat o śmierci (Karsawin 1,13); Wiersz o miłości nr 4, s. 3, 10-11; Choda-siewicz; Ciotka Stefka; Czytając poetę z IX wieku; Jak dobrze; Mama; Mama (II); Myśl zapisana; Ojciec; Patynina; Poświatow-ska; Przesilenie; Staw; Zapisać nr 8, s. 3, 16-17.
Leonard Neuger. 2 kwietnia 1947 – 9 lipca 2021. Kadisz sierocy nr 8, s. 46-47; Myśląc Ojczyzna. O medytacji Karola Wojtyły nr 3, s. 13-15; Poeta doctus. Na siedemdziesięciolecie debiutu Adama Czerniawskiego nr 7, s. 18-20; Profesor Beata No-wacka (Humanisci na Śląsku) nr 5, s. 42-44; Sonety czerwion-kowskie. Przypomnienie „Tryptyku” Wilhelma Szewczyka nr 9, s. 26; Zapach fajki. Marek Pytasz 9 kwietnia 1953 – 2 grudnia 2021 nr 12, s. 74-75;
Barokowe stroje poetów. Rec.: Anna Łozowska-Patynowska: Barok w poezji Jerzego Lieberta i Wojciecha Bąka. Słupsk 2020 nr 11, s. 60-61; Inny Różewicz. Rec. Tadeusz Różewicz. Wybór prozy. Wrocław 2021 nr 10, s. 56-57; Ultima scripta. Rec.: Hen-ryk Markiewicz: Pisma ostatnie. Kraków 2020 nr 4, s. 62; Za-piski z pamięci. Rec.: Antologia Toposu. Sopot 2021 nr 8, s. 67.
Klejnowski Różycki Dariusz: Pisanie ikon. Z ks. prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 4, s. 22-24.
Kmoch Maria Weronika: Florentyno Pojdowna, gdzie jesteś? nr 11, s. 26-27.
Kobierski Radosław: Ucieczka do wolności. Rec.: Piotr Za-czkowski: Ulice Wolności. Chorzów 2021 nr 10, s. 64.
Kohut Jacek: Foto nr 12, s. 31, 33.
Kołodziejczyk Lech: Malarstwo nr 1, s. 69-72.
Konopelska Wiesława: 100 lat Oddziału Górnośląskiego Polskie-go Instytutu Geologicznego. Z zagłębiowskim rodowodem nr 10, s. 17-19; Imponująca „Sól ziemi czarnej” w bytomskiej Ope-rze nr 7, s. 56-57; „La Rondine” czyli płonąca jaskółka w Ope-rze Śląskiej nr 6, s. 56-57; „Łucja z Lammermoor” w virtual-nej przestrzeni nr 1, s. 23; Potwór na skraju otchłani nr 1, s. 68.
Kopera Tomasz: Malarstwo nr 10, s. 69-72.
Koperska Dorota: Foto nr 11, s. 44, 45.
Korepta Edyta: Autorka jamborowych tekstów. Rec.: Zofia Kos-

sak: Szukajcie przyjaciół. Laska Jakubowa. Lublin 2020 nr 1, s. 64.
Korfanty Wojciech: Prośba nr 6, s. 2.
Korona Katarzyna: Foto nr 10, s. 58.
Korusiewicz Anna: Malarstwo nr 10, s. 1 okładki; Rys. nr 11, s. 13.
Korusiewicz Maria, Korusiewicz Anna: Nasłuchiwanie natu-ry, ogród japoński nr 8, s. 49-51.
Korusiewicz Maria: Sztuka w pandemii, odsłona I nr 3, s. 68. Foto nr 2, s. 14; nr 3, s. 29, 36; nr 4, s. 59; nr 6, s. 3, nr 8, s. 51; nr 9, s. 1 okładki, nr 10, s. 3;
Rys. nr 3, s. 44, 45; nr 9, s. 44; nr 11, s. 57.
Korusiewicz-Kowol Agnieszka: Foto nr 4, s. 1 okładki.
Korwin Piotrowski Krzysztof: Henryk Konwiński – mistrz choreografii i adoptowany Ślązak nr 12, s. 24-25; Rok bez Krzysztofa Pendereckiego nr 3, s. 4-5; Różewicz i jego gliwic-kie lata nr 4, s. 6-8;
Muzyka moja miłość: Bogusław Kaczyński – mistrz z Białej Pod-laskiej nr 1, s. 24; Walentynki – od Martyniuka do napoju mi-łosnego i śmierci nr 2, s. 40; Nie porzucaj nadzieje nr 3, s. 32; Charyzmatyczny Piotr Beczała nr 4, s. 37; Triumf Teatru Wiel-kiego w Łodzi nr 5, s. 24; Maria Sartova – reżyserka z Paryża nr 6 s. 41; Muzyczny festiwal w Łańcucie nr 7, s. 59; Festiwa-łowe życie – z Krynicy Zdroju do Białej Podlaskiej nr 8, s. 30; Małgorzata Walewska, Śląsk, Łódź I Konkurs im. Ady Sari nr 9, s. 37; Zbigniew Macias – słynny Tewje nr 10, s. 37; Po Kon-cercie Chopinowskim z Adamem Rozlachem nr 11, s. 39; Kon-kurs im. Jana Kiepury w Krynicy Zdroju nr 12, s. 37; Foto nr 4, s. 7, 8.
Kosiedowski Stanisław: Foto nr 1, s. 67.
Kosowska Ewa: Ideał wychowawczy nr 10, s. 4-5; Sapere auso. Pamięci dr. Eugeniusza Jaworskiego 31 października 1933 – 30 grudnia 2020 nr 1, s. 40; **Kościak Kinga:** Czarownice; Dzie-dzictwo; Moje zwierzę; Nietoperze; Noc; Poznanie; Kompromis; Plecy nr 11, s. 12-13.
Kowalski Antoni: Malarstwo nr 11, s. 1 okładki.
Kowalski Tomasz: Foto nr 9, s. 3, 16, 17.
Kowol Agnieszka patrz Korusiewicz-Kowol Agnieszka
Krajewski Jacek: Foto nr 11, s. 39.
Król Tadeusz: Rzeźba, malarstwo nr 7, s. 1 okładki, s. 69-72.
Kryński Wojciech: Foto nr 2, s. 2 okładki, s. 51.
Krzystyniak Andrzej: Demony duszy niemieckiej nr 9, s. 18-20.
Kubanowska Aleksandra: Indeks alfabetyczny nazwisk auto-rów i ich publikacji zamieszczonych w miesięczniku „Śląsk” w roku 2020 nr 1, s. 75-79.
Kubiowski D.: Foto nr 10, s. 46.
Kukulska Romer Barbara: Tak się zaczęło siedemdziesiąt lat temu na Koszutce. Cz. 1 nr 4, s. 74-77; Tak się zaczęło siedem-dziesiąt lat temu na Koszutce. Cz. 2 nr 5, s. 20-23.
Kwaśniewicz Krystyna patrz Heska-Kwaśniewicz Krystyna.

L

Laboratories Bell: Foto nr 1, s. 43.
Laksa Patryk: Arcydzieło; Bajka o książce; Dom; Krzesło; Ktoś to przemyślał; Las; Pamiątka; Spokój; Ucieczka; Wieczór; Wy nr 3, s. 28-29;
Ciało; Cisza; Przeżywanie; Rejs – piosenka na początek roku; Sens; Spokój; Tak bardzo chciałbym dzisiaj nr 10, s. 12-13.
Lekszycki Paweł: Dla mnie nie ma cię w twoim domu; Ta chwila w której wychodzę na prostą; Wrzenie; Wszystko, co teraz nastąpi; Wymyśliłem cię z nieczystych pobudek nr 1, s. 26-27.
Lenc Ryszard: Wojna i miłość nr 9, s. 38-39.
Lichecka Małgorzata: Dwa cmentarze, ten sam świat nr 11, s. 31-32; Gra światła, czyli bogate życie kin na prowincji gór-nośląskiej. Z Urszulą Biel rozmawia (...) nr 6, s. 58-59; Ogród społeczny nr 6, s. 32; Tożsamość jest dla mnie... ułatwieniem, ze Zbigniewem Rokitą autorem książki Kajś. Opowieść o Gór-nym Śląsku, która znalazła się w ścisłym finale nagrody lite-rackiej Nike 2021 rozmawia (...) nr 9, s. 66-67; Tropikalny raj w Gliwicach nr 7, s. 31-33.
Lipka Robert: Foto nr 9, s. 2 okładki.
Lipowski Wojciech: *Teatr:* Domostwo minionego życia. Rec.:

A. Czechow: Komedja. Wujaszek Wania. Teatr Zagłębia 2021, nr 7, s. 54-55; Dyskretny urok zmierzchu. Rec. Ingmar Bergman: Po próbie. Teatr bez sceny. Katowice 2021, nr 8, s. 58-59; Miejsce na ziemi. Rec.: Szczepan Twardoch: Pokora. Teatr Śląski 2021, nr 8, s. 56-57; Nic do ukrycia. Rec.: Tomasz Jachimek: Obserwator. Katowice 2021, nr 2, s. 74-75; Między słowami. Rec.: Eric Assous: Szczęście. Teatr bez sceny. Katowice 2021, nr 3, s. 74-75; Podróż do nicości. Rec.: Henoch Levin: Krum. Teatr Polski Bielsko-Biała 2021, nr 11, s. 44-45; Powrót do domu. Rec.: Henryk Sienkiewicz: Potop. Teatr Śląski 2020, nr 1, s. 56-57; Tylko chłód. Rec.: M. Sobieszkańska, N. Rakowski: Amator 2020. Teatr Śląski Katowice, Teatr w Opolu, nr 10, s. 54-55; Wypełnić nieobecność. Rec.: B. Bukowski, M. Zdunik: Powrót. Teatr Miejski w Gliwicach. Gliwice 2021, nr 4, s. 56-57; Wyprzedzić czas. Rec.: B. Graham, J. Feuer: The Big Bang czyli Wielki Wybuch. Teatr Polski Bielsko Biała 2021, nr 6, s. 54-55. **Lisiak Krzysztof**: Foto nr 3, s. 74,75; nr 8, s. 58, 59. **Loster Tadeusz**: Historia powstańczej mogiły nr 3, s. 54-55; Karami z Zabrza na Kopiec Grunwaldzki nr 7, s. 22-23; Kończyckie notgeldy Stanisława Ligonja nr 9, s. 34; Pomniki pamięci osobliwej nr 10, s. 51; Foto nr 3, s. 54, 55; nr 9, s. 34; nr 10, s. 51. **Lubowski Zbigniew**: Byłem internowany. W roku 1982 wysłuchał i zanotował (...) nr 12, s. 76-78; Cuda śląskiej natury. Bagienny rezerwat Rotuz nr 10, s. 32-33; Czas na kulturę. Ewa Weber, wiceprezydent Gliwic rozmawia z (...) nr 6, s. 35; Gałczyński i matematyka (Henryk Talar) nr 4, s. 28-29; Królestwo rzeźbiarskie w wiejskiej stodole nr 5, s. 32-35; Magia światła nr 11, s. 34-36; O kadzeniu i mewach trójpalczastych. Z turystyczną wizytą w gminie Ozimek nr 6, s. 53; Ocalała z sylwestrowej eksplozji. Niezwykłe losy oficyny dawnego pałacu w Miechowicach nr 3, s. 30-31; Pożegnanie damy polskiej piosenki (Maria Koterbska 1924-2021) nr 2, s. 42-43; Rejs pod czapłą nr 10, s. 53; Sceniczna noc cudów. Teatr na Śląsku Cieszyńskim nr 9, s. 31-32; Szczyrk kurort nad Żylicą nr 8, s. 31-32; Wiatr od Klimczoka nr 3, s. 73; Wiedeńska wspinaczka ku karierze. Sopranistka Kornelia Szczypka w rozmowie z (...) nr 1, s. 14-15; Zadyмка jazzowa bez śniegu nr 7, s. 35-36; Zgasł płomień ostatniej zapalki nr 4, s. 49-50; Foto nr 2, s. 43; nr 3, s. 30, 31, 73; nr 4, s. 2 okładki, s. 29, 49, 50, 51; nr 5, s. 2 okładki, s. 32, 33, 34, 35; nr 6 s. 2 okładki, s. 34; nr 7, s. 35, 36; nr 8, s. 31, 32, 33; nr 9 s. 2 okładki; nr 10 s. 2, 3 okładki; s. 32, 33, 52; nr 11 s. 34, 35, 36.

M

Majerski Paweł: Przyboś scalony. Rec.: J. Przyboś: Pisma rozproszone. Poznań 2020 nr 2, s. 60-61. **Malczewski Rafał**: Kopalnia w nocy. Malarstwo nr 2, s. 11. **Malicki Jan**: Było nie minęło. W dekadę po Kongresie Kultury Województwa Śląskiego. Kongres Kultury Województwa Śląskiego 23-25 września 2010. Artykuł dyskusyjny nr 2, s. 4-6; Wigilijne zamyślenie nr 12, s. 4-7. **Białe kruki**: Rządy pruskie w szkole. Materiały do dziejów oporu szkolnego w zaborze pruskim nr 1, s. 44-45; Siódmy ze stu. O Statucie Śląskiego Towarzystwa Miłośników Książki i Grafiki nr 2, s. 41; Nieznane Cochanowianum nr 3, s. 53; Autografy: niezbywalny symbol bytu nr 4, s. 78; Ktokolwiek zna, ktokolwiek czytał. Powstańcze archiwa nr 5, s. 66-67; Milianalia w 12 egzemplarzach nr 6, s. 38-39; „Słyszcież wierni narodo-wie”. O początkach dziennikarstwa zawodowego nr 7, s. 58; Meluzyna fenomen wiecznego trwania nr 8, s. 37; Wallenrodizm Konstantego Damrota nr 9, s. 54-55; Nieosiągalna kolekcja nr 10, s. 74-75; O Bibliotece Śląskiej ale nie tej – lecz Pinkusowej. Pamięci Wojtki Janoty nr 11, s. 20-21; Wielki mistrz festiwalu filmowych i jego unikalna kolekcja nr 12, s. 47. **Markiewka Tomasz** (Przeł.): Ruth **Padel**: Słuchaj nr 3, s. 3. **Markowska Jolanta** patrz **Grabowska-Markowska Jolanta** **Markowski Adam**: Foto nr 4, s. 53. **Melecki Maciej**: Czarna seria, czyli kto jeszcze żyje? O malarstwie Agnieszki Czyżewskiej nr 4, s. 68; Przymiar zejść, Roz-

trącenia, W końcu za złe nr 2, s. 44-45.

Michałek J.: Foto nr 8, s. 54.

Miodek Jan: *Śląska Ojczyzna Polsczyzna*: O podwrocławskiej Żórawinie nr 1, s. 36; Dzierż się, patrz tam jako! nr 2, s. 36; Toć słysza, co godosz! nr 3, s. 35; Alech mu nazdała! nr 4, s. 36; Pochop do spochopienia nr 5, s. 19; Śląski chwalipięta i skąpiec nr 6, s. 36; Niy fiksyruj sie, dekuj farorza! Pamięci Marianna Kosińskiego nr 7, s. 30; O nazwisku *Gansiniec* i dolnośląskim *Gęsińcu* nr 8, s. 19; Ślepersko technika nr 9, s. 36; Śląscy Teksańczycy nr 10, s. 31; Dej sie karnać! nr 11, s. 37; Wyskać i tyskać nr 12, s. 36.

Moczała Małgorzata: Kulturowy hurt-detel, czy kulturowy fast-food ? nr 12, s. 28-29.

Monniaux David: Foto nr 7, s. 39.

Montewska Julia: *Śląskie tajemnice*: Gdzie jest generał ? nr 1, s. 50; Pałac w Daszewie nr 2, s. 53;

Foto nr 1, s. 2 okładki, s. 51; nr 2, s. 2 okładki.

Mori Walter: Foto nr 4, s. 61.

Muschalik Piotr: Wytatuowani Śląskiem. Górnośląska i górnicza tożsamość wyrażona tatuażem nr 11, s. 68-72.

Muzeum w Gliwicach: Śp. Maciej Głowaczewski (1953-2021) fotografi nr 5, s. 36.

N

Neumann Robert: Foto nr 12, s. 1 okładki.

Nowak Zygfryd: Profesor Bolesław Krupiński, ambasador polskiego górnictwa nr 11, s. 30.

Nowara Lesław: Anzelm z St.G.; Marta K.; Shinichi T. nr 7, s. 3, 16-17.

O

Obchody wybuchu III Powstania Śląskiego 2/3 maja 1921 – 2 maja 2021. W setną rocznicę zrywu nr 5, s. 4-7.

Odojewski Władimir: Fragmenty. Przeł. Marian Kisiel nr 4, s. 44-48.

Odorkiewicz-Sikocińska Hanna: Historia ojca. Z (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 2, s. 20-22;

Foto nr 2, s. 21, 22.

Ogłozza Ewa: O prozie Anny Arno – „Okna” i „Ten Kraj” nr 10, s. 14-16.

Okoń Jacek: Miesięcznice „Wujka” w internowaniu nr 12, s. 40-43.

Ostrowska Maja: Rys.: nr 2, s. 15; nr 3, s. 28, nr 8, s. 17.

P

Padel Ruth: Słuchaj. Przeł. Tomasz Markiewka nr 3, s. 3.

Panek Izabella patrz **Zielecka-Panek Izabella**.

Parys Paweł: Nie tylko Henri Pautex. Francuzi i Belgowie w szeregach III Powstania Śląskiego nr 7, s. 10-11; Rozbark podczas III Powstania Śląskiego nr 4, s. 15-17.

Pasterski Janusz: Dwie czterdzieste ósme; Dzisiaj klucie; Korek; Lwów; My z XXI wieku; Na teraz; Napad; Natura samca; Ojciec objaśnia nad Ropą; Powtarzanie nr 2, s. 3, 14-15.

Paszek Jerzy: *Po-gwarki profesora*: Polonistyczne podsumowania. O księgach-manifestach trzech ostatnich zjazdów filologów nr 1, s. 60-61; Manuskrypt odnaleziony w Moskwie. Pierwodruk drugiego *Raptularza* Juliusza Słowackiego nr 2, s. 58-59; Startuje atleta w „cięższej zbroi”! Nowa edycja *Dzienników* Żeromskiego nr 3, s. 60-61; Spojrzanie skrablisty na „Adę” Nabokova nr 4, s. 60-61; Kwartet Nabokova: od *Daru* do *Ady* nr 5, s. 60-61; Co to jest fraza Pilcha? O polskim Nabokowie nr 6, s. 60-62; Horacio Oliveira a Poldy Bloom. O *Grze w klasy* Julio Cortazara nr 7, s. 60-61; Wygadany wyga Szwejk. Stulecie powieści *Haszka* nr 8, s. 62-63; Jak nie lubić gramatyk(a), gdy się poczyta Bralczyka? Nr 9, s. 60-61; Trojaki dowcip Szymborskiej: seryjny, półserio, „seriozny” nr 10, s. 60-62; *Tęgie głowy* Głowińskiego. O zawiłych losach ludzi pióra nr 11, s. 58-59; Wybrańcy o wybrańcach dla wybrańców. Księgi jubileuszowe polonistów nr 12, s. 60-61.

- Pawłowicz** Weronika: Moja kochana Sophie! Najdroższy mój Józku nr 8, s. 76-77.
- Petka** Grzegorz: Foto nr 8, s. 45.
- Piotrowski** Krzysztof patrz **Korwin-Piotrowski** Krzysztof
- Piwowski** Cezary: Foto nr 9, s. 61.
- Plewniak** Janusz: Drugi Hajmat? Artykuł dyskusyjny nr 12, s. 26-27.
- Podsiadły** Piotr: Foto nr 12, s. 5, 7, 71.
- Ptaśnik** Artur: Foto nr 6, s. 51.
- Pyka** Henryk ks.: Stojąc u prąródła nr 1, s. 10-11; Ludzie i maszyny nr 2, s. 10-11; Cień ojca nr 3, s. 8-9; Przy pustym grobie nr 4, s. 18-19; O ogrodach prawie wszystko nr 5, s. 12-13; W Nim wiara stała się kulturą nr 6, s. 10-11; Święciszek (Adam Bunsch) nr 7, s. 6-7; Portret Żołnierza Chrystusowego nr 8, s. 20-21; Wrzesień. Tyle przemyśleń nr 9, s. 12-13; Krzyż w porożu nr 11, s. 8-9; Pomniki na lawecie nr 11, 18-19; Theatrum fagi nr 12, s. 8-11.
- Pyzik** Tomasz: Ku sytuacji granicznej. Rec.: Bartłomiej Siwiec: Starsza pani poezja. Bydgoszcz 2020 nr 5, s. 64; Ostatni wpis. Rec. Janusz Szuber: Zdrój uliczny. Rzeszów 2020 nr 12, s. 64; Przerwana linia. Nagroda literacka Nike 2021 Rec.: Zbigniew Rokita: Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku. Czarne 2020 nr 10, s. 40; Wieczność uobecniona. Rec. Jan Adam Kobierski: Świat jednoczesny Warszawa 2021 nr 9, s. 65; Z pracowni dzieł ostatecznych. Rec. Janusz Nowak: Głód nadziei. Opole 2020 nr 2, s. 65.
- R
- Rączka** Eugeniusz: Muzeum Hutnictwa powstaje w Chorzowie nr 5, s. 56-57.
- Renk** Tomasz: Foto nr 1, s. 52; nr 7, s. 2 okładki, s. 51.
- Rokita** Zbigniew: Tożsamość jest dla mnie... ułatwieniem, ze (...) autorem książki „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”, która znalazła się w ścisłym finale nagrody literackiej Nike 2021 rozmawia Małgorzata Lichecka nr 9, s. 66-67;
- Romer** Barbara patrz **Kukulka-Romer** Barbara
- Różycki** Dariusz patrz **Klejnowski-Różycki** Dariusz
- Rybok** S.: Foto nr 2, s. 49.
- Rygielska** Małgorzata: nadobne ubiory; nota nicotina, nota odorata (Eugeniuszowi Jaworskiemu); po omacku; quot generationes, tot gradus; Word 2018, aktualizacje nr 1, s. 41.
- S
- Sadzikowska** Lucyna: Zofia Kossak jubileuszowo. Rec.: Zofia Kossak bezcenne dziedzictwo. Częstochowa 2020 nr 8, s. 66.
- Schmelter** Roman: Malarstwo nr 8, s. 1 okładki.
- Shalpak** Maryna: Grafika nr 7, s. 17.
- Sierny** Tadeusz: Z dyrektor Muzeum Śląskiego Marią Czarneczką rozmawia (...) nr 9, s. 4-5;
- Od Redaktora*: nr 1, s. 2; nr 2, s. 2; nr 3, s. 2; nr 9, s. 2; nr 10, s. 2; nr 11, s. 2; nr 12, s. 2.
- Sikocińska** Hanna patrz **Odorkiewicz-Sikocińska** Hanna.
- Sikora** Michał: (*IMP im. WK*) Granice państwa, granice Kościoła nr 2, s. 26-27; Niemiecki Korfanty (Carl Ulitzka) nr 12, s. 56-57.
- Simonides** Dorota: Odra moją ukochaną rzeką. Bąkiewicz Marta rozmawia z prof. dr hab. (...) nr 10, s. 8-9.
- Skowronek** Piotr: Człowiek mojego życia. Z ks abp Damianem Zimoniem rozmawia (...) Wspomnienie św. Jana Pawła II nr 3, s. 10-12; Historia ojca. Z Hanną Odorkiewicz-Sikocińską rozmawia (...) nr 2, s. 20-22; O bólu wszechogarniającym – z prezes Hospicjum Cordis w Katowicach Jolantą Grabowską-Markowską rozmawia (...) nr 1, s. 4-7; O rozumieniu praw zwierząt. Z prof. Grzegorzem Francuzem rozmawia (...) nr 6, s. 44-47; Pisanie ikon. Z księdzem prof. Dariuszem Klejnowskim-Różyckim rozmawia (...) nr 4, s. 22-24; Pomysły przychodzą zniemacka. Z Karoliną Jonderko rozmawia (...) nr 12, s. 44-46; „Staraj się spłacić zaciągnięty dług” Z prof. Marianem Zembalą rozmawia (...) nr 10, s. 46-48; W przyjaźni z muzyką. Z prof. Izabellą Zielecką-Panek rozmawia (...) nr 8, s. 12-15; Wybuch „Solidarności. Z ks. Henrykiem Bolczykiem rozmawia (...) nr 12, s. 14-16;
- By nie porwały go ręce złodziei. Rec.: Michał Muszalik: Hotel Globo. Katowice 2021 nr 12, s. 65;
- Co...? Psinco! Rec. Jan Baron: Psinco. Warszawa 2020 nr 5, s. 65; Gołba dramturg. Rec.: Kazimierz Gołba: Nad Odrą wstaje zorza nr 11, s. 65; Jestem niczyja. Rec.: Sylwia Jaworska: Echo serca. Katowice 2021 nr 9, s. 63; Obca staje obok. Rec.: Janina Barbara Sokołowska: Wiersze na przemiał. Katowice 2020 nr 2, s. 66; Ołów i ołowica. Rec.: Narracja o Zagładzie. Ołów/ ołowica w kulturze i nauce. Katowice 2021 nr 9, s. 64; Oswajanie tożsamości. Rec.: Zbigniew Rokita: Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku. Wołowiec 2020 nr 4, s. 63; Pojęcie krzywdy jest uniwersalne. Rec.: Piotr Pytlakowski: Ich matki, nasi ojcowie. Niewygodna historia powojennej Polski. Poznań 2020 nr 6, s. 66; Rozwidlające się poszlaki. Rec.: Wojciech Brzoska: Plejady. Katowice 2021 nr 7, s. 63; Wielcy Górnego Śląska. Leksykon Panteonu Górnośląskiego Katowice 2020 nr 8, s. 65; Zadmowić się w czasie. Rec.: Krystian Gałuszka: Fermata. Katowice 2020 nr 3, s. 65.
- Skwara** Bogna: Rys. nr 1, s. 12, 13, 26, 27, 46, 47; nr 4, s. 10, 11; nr 5, s. 14, 15; nr 6, s. 22; nr 8, s. 27, 29, 60, 61; nr 10 s. 12, 13, 38, 62; nr 11, s. 17, 47, 48, 73, 74; nr 12, s. 55.
- Skwara** Magda: Foto nr 3, s. 37; Rys. nr 9, s. 28, 31.
- Slonimski** Lee: Autor (Author), Koncert (Concert), Nauczyciel w lesie (Teacher in the Woods), Ostatnia cyfra „pi” (The Last Digit of Pi), Spuścizna Orfeusza (The Legacy of Orpheus), Zakochany filozof (Philosopher in Love). Przeł. Henryk Cierniak nr 3, s. 36-37.
- Słowik** Martyna: Foto nr 9, s. 67.
- Sobieszczyk** Ireneusz: Foto nr 8, s. 30.
- Soida** Krzysztof: Foto nr 1, s. 54, 55.
- Sokołowska** Janina Barbara: Drżenie, Kamyk; Skóra ze złudzeń, Spowiedź I. Czas zarazy; Spowiedź II. Sterylni; Spowiedź III Akt ostatni; W miasteczku Ż.; Wizja ze smokiem w tle; *** jeśli zapytasz się w lustro z liter; *** ostatnie słowa żegnają odchodzącego nr 4, s. 58-59.
- Sosiński** Jacek: Bez patrzenia do tyłu; Będzie lepiej; Na kolnach; Na śniadanie; Nowe ogniska zarazy; Nie robiąc nic; Nie wolnicy; Próba zrozumienia niezrozumiałego; Schronienie; Suchą stopą; Zabłąkana karawana nr 2, s. 78-79.
- Sowa** Paweł: Foto nr 12, s. 72.
- Spitzweg** Carl: Grafika. Mól książkowy nr 9, s. 13.
- Spurgiasz** Michał: Kim byli bardowie (Sekrety fantastyki) nr 2, s. 46-47; Maski w teatrze greckim i azjatyckim. Przedmiot codzienny o rodowodzie teatralnym nr 5, s. 28-31; Noc magii i czarów w kulturach przedchrześcijańskiej Europy nr 11, s.10-11; Przesilenie letnie w kulturach przedchrześcijańskiej Europy nr 7, s. 4-5;
- (*IMP im. WK*) Wojciech Korfanty a sytuacja ekonomiczna na Górnym Śląsku w trakcie III Powstania Śląskiego nr 3, s. 40-41; (*IMP im. WK*) I Powstanie Śląskie. 16/17 sierpnia 1919 – 24 sierpnia 1919 nr 8, s. 4-5.
- Starzyńska** Magdalena: Linoryt nr 12, s. 13.
- Stasiewicz** Jerzy: Hieroglify drogi. Rec.: Edmund Borzemski: Hieroglify drogi. Opole 2020 nr 4, s. 66.
- Strządała** Jan: Byłaś; Chronos; Cień; Cokolwiek; Czekam; Dusza; Krew; Na poblądziej ścianie; Obłok; Ponad; Rzeka; Wieczność nr 7, s. 46-47.
- Styrylska-Gałązyn** Joanna: Malarstwo nr 5, s. 1 i 3 okładki (Sztuka w pandemii), s. 68, 72.
- Sworzeń** Marian: *Błyski i zapatrzenia*: Witold Turant „Metapolis” nr 1, s. 38-39; Tadeusz Sobolewski” Dziennik” nr 2, s. 38-39; Tomasz Kurpierz” Henryk Słowik 1984-1944. Biografia socjalisty nr 3, s. 38-39; Joseph Roth „Legenda o świętym pijaku i inne opowiadania” nr 4, s. 38-39; Sven Lindqvist: „Wytępić” całe to bydło nr 5, s. 40-41; Jonathann Littell „Łaskawe” nr 7, s. 38-39; Roman Stopa „Spod chłopskiej strzechy na katedrę uniwersytetu” nr 8, s. 38-39; Bernard Newman: „Rowe-rem przez II RP” nr 9, s. 58-59; Krzysztof Bartnicki, Prospekt

Emisyjny Akcji Spółki Akcyjnej KOMANDOR Osoba Mieszana z siedzibami w Opolu(G) i Drumlezierze(A). Korporacja Ha! Art Kraków 2010 nr 10, s. 24-25; Dorothy Adams amerykańska Polka nr 11, s. 40-41; Czy wiesz kto to jest? nr 12 s. 38-39. Szalast Michał: Projekt „Hotel” nr 6, s. 68. Szczepański Henryk: Doktor Bogusław Parczewski nr 3, s. 16-18; Dzieciństwo pułkownika (Emanuel Twórz) nr 1, s. 20-22; Konrad Swinarski. Czy mogło być inaczej? Cz. I nr 7, s. 40-42; Cz. II nr 8, s. 43-45. Szczepański Mateusz: Foto nr 1, s. 21. Szczypka Kornelia: Wiedeńska wspinaczka ku karierze. Sopranistka (...) w rozmowie ze Zbigniewem Lubowskim nr 1, s. 14-15. Szewczyk Wilhelm: Tryptyk: Familoki wieczorem; Familoki nocą; Familoki o świcie nr 9, s. 24-25; Z pamiętnika. Z rękopisu oprac. Marian Kisiel nr 6, s. 24-27. Szkaradnik Katarzyna: Dwoje „księgołubów” nr 5, s. 45-47. Szmyd Aleksandra: Foto nr 1, s. 15. Sztoler Grzegorz: Tajemnicza biografia technika dentystycznego Muldka nr 2, s. 23-25; Kosą na mity. Rec.: Piotr Korczyński: Śladami Szeli. Warszawa 2020 nr 5, s. 62. Sztumski Janusz: Elity władzy a grupy opiniotwórcze i kulturotwórcze nr 6, s. 4-6. Szuba Andrzej: Postscriptum DCCLXXXVI; DCCLXXXVII; DCCLXXXVIII; DCCLXXXIX; DCCXCII; DCCXCIII; DCCXCIV; DCCXCV; DCCXCVI; DCCXCVII; DCCXCVIII; DCCXCIX; DCCC nr 9, s. 3, 16-17. Szwałkowska Krystyna: Czym jest swoboda twórcza nr 2, s. 1 okładki, s. 68-73.

T

Tałuć Katarzyna: Nieznana korespondencja. Rec. Głosy z „Ostatniego kręgu”... Katowice 2020 nr 4, s. 64. Tłałka Anna: Na chwilę; Prognoza pogody; Przedzianie; Stajesz się bliska; Po wędrowce; Wędrowne ptaki; Wykrot nr 1, s. 12-13. Tokarska Anna: Przestrzenie biblioteczne i literackie. Rec.: Obecność słowa w Zabrze nr 2, s. 62-63. Turant Witold: Wycieczka do Conflaus nr 3, s. 76-79. Tyl Lucyna: Foto nr 12, s. 5, 70, 72.

U

Uherek Marian: Pół wieku harcerskiej przygody. Ośrodek Harcerski Hufca Ziemi Rybnickiej w Bielsku-Białej Wapienicy im. Klary i Stanisława Szymańskich obchodzi 50-lecie istnienia nr 7, s. 26; Rybnik znany i nieznan. Rec.: Aleksander Żukowski: Rybnik wart poznania. Rybnik 2020 nr 2, s. 67. Urbaniak Michał Paweł: Kaczor Donald też musi umrzeć nr 6, s. 20-23.

W

Wątroba Juliusz: Krwawa Kaśka (Fragment) nr 2, s. 54-57. Weber Ewa: Czas na kulturę. (...) wiceprezydent Gliwic rozmawia ze Zbigniewem Lubowskim nr 6, s. 35. Wiczorek Edward: Architektura współczesna – duma czy obciach nr 2, s. 48-50; Gdy Górny Śląsk był drugą Anglią. Goethego szpiegowska podróż do Tarnowskich Gór nr 10, s. 35-36; Judaika Jury nr 4, s. 53-55; Kraina drewnianych cudniek nr 7, s. 50-53; Krzyże pokutne alias compositio nr 11, s. 49-50; Kto ma owce, ten ma co chce, czyli o tradycjach pasterskich w Beskidach i Szlaku Bacówek Beskidzkich nr 8, s. 53-55; Magia trójstyków nr 5, s. 49-52; Mikołaje, dziady, i Niedźwiedzie czyli o rozrywkach w zimowy czas nr 12, 30-32; Na lewo most, na prawo most nr 6, s. 48-50; O czym szumią stare drzewa nr 9, s. 50-53; Wąskotorówką przez Śląskie nr 1, s. 53-55; Foto: nr 1, s. 55; nr 2, s. 2 okładki, s. 48, 49; nr 3, s. 48, 49, 50, 51, 52; nr 4 s. 2 okładki, s. 52, 53, 54; nr 5, s. 2 okładki, s. 50, 51; nr 6, s. 2 okładki, s. 48, 49, 50, 51, 52; nr 7, s. 50, 52, 53; nr 9, s. 51, 52; nr 10, s. 2 okładki, nr 11, s. 2 okładki, s. 49, 50, 51. Wielgus Maria: „Służba całym życiem”. Życie i dzieło Eugeniusza Wróbla nr 3, s. 42-43.

Wieschołek Peter: Odszczepieniec nr 7, s. 74-77.

Więcek Krzysztof: Foto nr 9, s. 31, 32, 33.

Wilczek Natalia: Między polityką a ideologią „Powstaniec Śląski 1927-1936” nr 5, s. 10-11.

Wiśniewski Krzysztof: Malarstwo nr 10, s. 69-72.

Wilgusiewicz Antoni: Dwa miasta, dwa powstania Lwów – Warszawa 1944 nr 9, s. 56-57; Jestem z Galicji nr 5, s. 58-59; Lema powrót z gwiazd do Lwowa nr 10, s. 26-27; Leon Piniński i jego wizja miasta nr 6, s. 28-29; Smutni ludzie w wesołym mieście. O poezji Jana Zharadnika nr 1, s. 10-11; Społeczeństwo Lwowa wobec Powstań i Plebiscytu na Górnym Śląsku (czerwiec 1919 – czerwiec 1921) nr 2, s. 28-29; Śląsk, Wołyń i inne krańce świata nr 3, s. 46-47; Ślązak ekspatriowany. Rzecz o Ryszardzie Gansincu nr 4, s. 42-43; Urodzeni we Lwowie nr 11, s. 28-29; Foto nr 6, s. 28, 29.

Winiarska-Drzyzga Ewa: Intrologator nr 6, s. 42-43.

Wiśniewski Krzysztof: Malarstwo nr 10, s. 69-72.

Witkiewicz Stanisław Ignacy: Święciszek – rys. portret Adama Bunschana nr 7, s. 6.

Wojtal Tomasz: Wspólny dom. Rec.: W trosce o wspólny dom. Chryścjanin na drodze do ekologii. Katowice 2020 nr 2, s. 67.

Wosik Alicja: Notatki z życia. Rec.: Edward Zyman: Inaczej będzie nienasycone. Toronto-Rzeszów 2021 nr 12, s. 66.

Woźniczka Zygmunt (*Instytut Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfatego: IMP im. WK*): Wybuch III Powstania Śląskiego 2/3 maja 1921 nr 4, s. 9; Los Wojciecha Korfatego nr 7, s. 8-9.

Wyborski Roman: Kanclerz, czyli model Jana Jelonka nr 10, s. 38-39; Orzeł Biały dla farorza. Rzecz o księdzu Bernardzie Czerneckim i górniczej „Solidarności” nr 11, s. 42-43; Uniwersyteckie powinności po Chełkowskim i Pańce. Przed trzynastą rocznicą śmierci pierwszej ofiary III RP nr 8, nr 10-11.

Z

Zabierowski Stefan: Murale z Krzysztofem Kamilem Baczyńskim nr 10, s. 58-59; Odkrywca i prezenter. Kazimierz Wyka-badacz Baczyńskiego nr 2, s. 2, s. 7-9.

Zduńczyk Rafał: Foto nr 12, s. 2, 4 okładki, s. 68, 71.

Zembala Marian: Epitafium dla Lili Goldstein nr 1, s. 48-49;

„Staraj się spłacić zaciągnięty dług” Z prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 10 s. 46-48; W walce z Covid-19 każdy ma rolę do odegrania! Z prof. dr hab. n. med (...) dyrektorem Śląskiego Centrum Chorób Serca (ŚCCS) w Zabrze rozmawia Agnieszka Zielińska nr 4, s. 20-21.

Zielecka-Panek Izabella: W przyjaźni z muzyką. Z prof. (...) rozmawia Piotr Skowronek nr 8, s. 12-15.

Zielińska Agnieszka: Jak to z kibelem (nie tylko górniczym) bywało nr 7 s. 21; Kraina cynku i ołowiu nr 5, s. 26-27; Reduta znów otwarta. Zaczęło się od legendarnego czołgu T34 nr 2, s. 31-33; Starość na rozdrużu nr 8, s. 18; Szokujące odkrycie z Zagłębia. Bukowa Góra w Dąbrowie Górniczej może być polskim Stonehenge nr 11, s. 53-54; W walce z Covid-19 każdy ma rolę do odegrania! Z dyrektorem Śląskiego Centrum Chorób Serca (ŚCCS) w Zabrze rozmawia (...) nr 4, s. 20-21. Foto nr 11, s. 2 okładki, s. 52.

Zimoń Damian: Człowiek mojego życia. Z ks abp (...) rozmawia Piotr Skowronek. Wspomnienie św. Jana Pawła II nr 3, s. 10-12;

Zych Barbara patrz Gruszka-Zych Barbara

Zych Błażej: Bogdan Widera nr 1, s. 28.

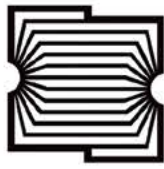
Zyman Edward: Mądre ruchy w ruchu nr 11, s. 46-48; Środowisko nr 8, s. 26-29;

List; Wigilia 81; Skończył się dobry czas dla poetów; Śmierć; Więzienna apostrofa; Z rubryki: Odpowiadamy naszym czytelnikom; *** nic nie jest pewne nr 12, s. 3, 12-13;

„Planeta kurczy się jak zajac”. Rec. Jacek Okoń: Wiersze porzucone. Ridero 2020 nr 10, s. 65.

Ż

Żabotyński Ze'ew: Ariel i Tamara. Bajka. Przeł. Marian Kisiel nr 12, 58-59.



Miejska
BIBLIOTEKA
Publiczna w Sosnowcu

GWOJNY GRAFIKÓW VOL.1

ŚWIATŁO

ALICJA LUDWICHOWSKA

VS

SEBASTIAN „STECYK” STEĆ

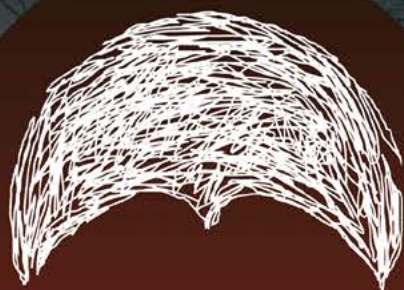
WYSTAWA GRAFIK

3 lutego - 31 marca 2022

Wernisaż: 3 lutego 2022, godz. 17:00

FILIA NR 7 „BIBLIOSFERA” - DAŃDÓWKA

Sosnowiec, ul. Kalinowa (pawilon); wstęp wolny



ODCZAROWAĆ CZAROWNICE

WIEDZMY WIESZCZKI ZIELARKI

16/02
15/05
2022

MUZEUM HISTORII KATOWIC GMACH GŁÓWNY UL. KS. J. SZAFRANKA 9



Muzeum Historii Katowic



Muzeum Katowic